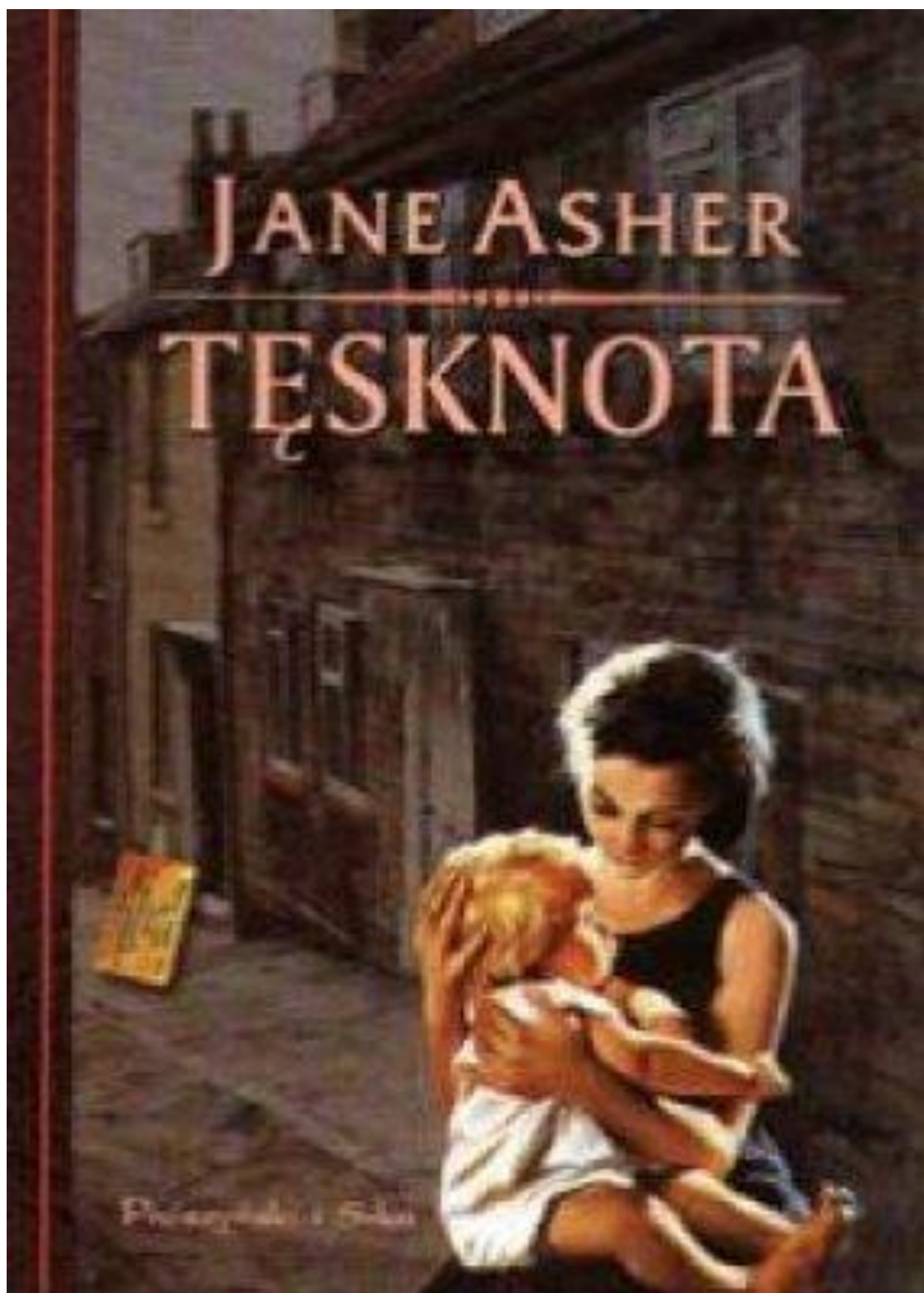


JANE ASHER
TĘSKNOTA

Przełożyła: Ewa



Asher Jane

Tęsknota

Julii i Michałowi wszystko dotąd przychodziło z łatwością: studia, kariera zawodowa, pieniądze, miłość. Teraz ich jedynym pragnieniem jest dziecko. Okazuje się, że Julia nie może zająć w ciążę. Decyduje się więc na zapłodnienie in vitro. Anna, samotna młoda matka, przyjechała do Londynu z robotniczej dzielnicy Glasgow. Nie ma pracy, pieniędzy ani żadnych perspektyw na przyszłość, ma tylko maleńkiego synka, który jest całym jej życiem. Wydawałoby się, że bohaterowie tej historii żyją w dwóch zupełnie różnych światach. Coś jednak połączyło ich losy.

Prolog

Był wykończony. Zamiast podniecenia czuł przygnębienie i zwątpienie. Westchnął i przeciągnął się, aż zachrzęściły mu kości w stawach. Znów zajrzał do magazynu, który, trzymał na kolanach. Przewrócił kolejną stronę. Wciąż to samo - nienaturalne miłosne pozy, bezwstydną, opalone pośladki i wypięte cycki. Brak reakcji własnego ciała powoli doprowadzał go do rozpacz.

Cisnął gazetę na stół i wstał. Podeszedł do małej biblioteczki z kasetami wideo i w poszukiwaniu inspiracji bacznie przejrzał obwoluty.

Pomrukując pod nosem przeczytał kilka pierwszych tytułów.

- Spróbujemy - powiedział do siebie. Po chwili wybrał jedną i włożył ją w otwartą gardziel odtwarzacza. Usiadł i zaczął oglądać.

Po kilku chwilach zachwytu nad proporcjami pańienek wylegujących się na plaży stwierdził, że całkiem zapomniał o celu, jaki przyświecał tym działaniom. Przyłapał się na obliczaniu, jak małe są linie na ekranie, skoro mieści się ich aż sześćset dwadzieścia pięć.

- Och, to niewiarygodne - stwierdził głośno, z rozdrażnieniem wydymając wargi. Wstał i wyłączył odtwarzacz.

Kolejna próba. Rozparł się w plastikowym fotelu ustawionym naprzeciwko ściany. Zamknął oczy i wyobraził sobie Julię. Rozbierała się powoli, niby obojętnie, jak zawsze, kiedy wiedziała, że ją obserwuje. Z ulgą poczuł nieznaczne drgnięcie, więc kontynuował. Julia wygięła się, odpinając stanik i pochyłona ściągnęła majteczki. Uśmie-

chała się przy tym nieśmiało, mimo że byli już dziesięć lat po ślubie. Nagle z żalem stwierdził, że znów jest ubrana i wkłada do piekarnika niedzielną pieczeń. Usiłował ponownie zdjąć z niej ubranie, lecz kiedy wreszcie mu się udało, natychmiast wrócił do punktu wyjścia. Otworzył oczy i z trudem powstrzymując się od spoglądania na zegarek, sięgnął po następny magazyn.

Rozdział 1

W końcu Harry zasnął. Po nocy spędzonej na masowaniu brzuszka i noszeniu malca, cierpiącego na uparty atak kolki, przez cały ranek Anna usiłowała ułożyć go do snu. Wreszcie się poddała i postanowiła wyjść na długi spacer. Miała nadzieję, że staromodny wózek w magiczny sposób ukołysze dziecko. Mały jednak nadal nie spał. Kiedy doszła do pasażu ze sklepami, gdzie zwykle robiła zakupy, znów zaczął marudzić.

Postanowiła więc pójść do położonego trochę dalej supermarketu, którego nie odwiedzała od urodzenia synka, czyli od trzech miesięcy. Tuż przed skretem w ulicę Streatham mały wreszcie zasnął. Wbrew swojej woli zamknął oczy, a naturalną ciekawość świata ukołysał jednostajny stukot kół.

Jedną ręką pchnęła ciężkie, szklane drzwi sklepu, a drugą, w której trzymała siatkę, kierowała wózek, napierając na niego całym ciałem. Niestety, okazało się, że duży, staromodny wehikuł nie zmieści się ani przy kasach, ani między półkami w wąskich przejściach, które co prawda nie były zatłoczone, ale za to ustawiono w nich kosze pełne promowanych towarów, niewątpliwie trudne do ominięcia.

Pozwoliła drzwiom zamknąć się za sobą, po czym schyliła się do wózka, aby wyjąć dziecko. Zrezygnowała jednak, ujrawszy spokojną, uśpioną buzię Harry'ego, wygładzone, beztroskie czoło i lekko drgające pod różowymi, delikatnymi powiekami oczy.

- Boże, przecież nie mogę cię znowu obudzić, nie mogę - powiedziała półgłosem. Z westchnieniem ustawiła wózek

tuż przy wejściu, tak aby mieć na niego oko. Nacisnęła stopą hamulec. Pochyliła się i musnęła ustami zarumieniony pyzaty policzek Harry'ego. Do małego uszka szepnęła cicho: - Muszę kupić tylko kilka rzeczy. Nie spuszczę cię z oczu. To nie potrwa długo.

Wzięła torbę oraz wózek na zakupy i popychając go szybko, bez entuzjazmu udała się pomiędzy półki. Nudziła ją sama myśl o zakupach, a do tego sumowanie cen potrzebnych rzeczy było takie męczące!

Tekturowe pudełka stały na półkach po obu stronach, wznosząc się do sufitu i przytłaczając burym kolorem. Wybrała kilka puszek z odżywkami dla dzieci i prażoną fasolą, po czym zajrzała do zamrażarki, w której piętrzyły się zapakowane w plastikowe worki warzywa, pokryte cieniutką warstwą szronu.

Na stercie puszek w koszu wylądowały dwie duże paczki mrożonego groszku. Zatrzymała się i wyciągnęła z kieszeni małą kartkę papieru. - No tak, o czym to miałam nie zapomnieć? - wymruczała do siebie pod nosem.

Stała na środku przejścia, trzymając w dłoni starannie wypisaną listę zakupów. Drugą ręką przytrzymała mały plecaczek z imitacji skóry, który zawiesiła na koszyku. Nagle odruchowo ścisnęła go mocniej. Zza rzędu półek wyłoniła się siwa, ubrana w pikowany płaszcz kobieta. Szturchnęła Annę, gniewnie mamrocząc.

Dziewczyna powiodła wzrokiem za gruszkowatą postacią, która kaczkowatym krokiem oddalała się w kierunku półki z przyprawami.

- Jakiś problem? - rzuciła obojętnie.

Kobieta zatrzymała się i spojrzała na Annę. Góra towarów zdawała się przytłaczać drobną dziewczynę z przystrzyżonymi na jeża kruczoczarnymi włosami. Ubrana była w luźny, biały podkoszulek, który wystawał spod grubej, czarnej bluzy, oraz legginsy, opinające szczupłe łydki. Do tego wszystkiego nosiła duże kolczyki.

- Problemem są ludzie tacy jak ty, mała - odpowiedziała starsza pani. - Lepiej naucz się dobrych manier.

- Spadaj - wymruczała cicho Anna, wracając do swojej listy.

Wtem poczuła napływającą falę niepokoju. Spojrzała w stronę wyjścia. Widok zasłoniła jej jakaś klientka w niebieskim blezerze, wchodząca do środka. Po chwili kobieta poszła po koszyk i Anna odetchnęła z ulgą. Wózek stał w miejscu, w którym go zostawiła. Wepchnęła kartkę do kieszeni i odwróciła się do półki z pieluchami.

Julia zawróciła od koszyków i szybkim krokiem podeszła do wózka. Dojrzała go przez duże okno wystawowe. Od razu wiedziała, co w nim znajdzie. Bobas wyglądał naprawdę słodko: leżał sobie owinięty w błękitny śpiworek, tak ufny i spokojny, że aż szkoda go było ruszać. Ale musiała. Nachylając się do wózka, wciągnęła nosem ciepłe, pachnące mlekiem powietrze i poczuła, jak jej serce wypełnia czułość. Odkryła bawełniany, niebieski kocyk i ujawszy małego pod pachy, pewnie wyjęła go z wózka. Buzia dziecka oparła się o jej wełnianą kurtkę. Przytrzymała go jedną ręką, a drugą wzięła koc. Mała główka podniosła się chwiejnie na różowej, pofałdowanej szyjce, a z ust dobiegło ciche kwilenie.

Niemowlę na chwilę otwarło oczy, a wilgotne usteczka próbowały ssać. Zaraz jednak westchnęło leciutko i z powrotem zapadło w głęboki sen. Julia uśmiechnęła się do siebie. Tuląc twarz do kędzierzawej główki, pchnęła szklane drzwi i pośpiesznie wyszła ze sklepu. Wolną ręką okryła dziecko kocykiem i przeszła przez jezdnię, oddalając się od sklepów: ot, wysoka kobieta, ubrana w drogie, choć zmięte spodnie i blezer, o rozczochranych blond włosach i bez makijażu - jakże często spotykany obrazek typowej, zatroskanej matki klasy średniej z małym dzieckiem na ręku.

Pieluchy były ostatnią pozycją na liście Anny, więc kiedy wybrała dużą, ekonomiczną paczkę, mogła już iść do kas. Zatrzymała się jednak. Jej wzrok padł na polewy czekoladowe. Stała tak przez chwilę, jeszcze raz obliczając w myślach ceny zakupów, które już miała w koszyku. Kropla czekolady dodałaby smaku waniliowym lodom. Chyba

zostało ich jeszcze trochę w zamrażalniku? Wyteżając pamięć, próbowała odtworzyć zawartość lodówki, ale zamiast lodów zobaczyła w niej miseczkę nie dojedzonej kaszki, którą wstawiła dzisiejszego ranka. Z poczuciem winy przypomniała sobie o Harrym. Ponownie obejrzała się za wózkiem, pozostawionym przy drzwiach. Widząc go, poczuła, że nagły lęk odbiera jej dech w piersiach. Przez ułamek sekundy wpatrywała się w wózek, próbując znaleźć przyczynę niepokoju. Znieruchomiała z przerażenia, uświadamiając sobie prawdę. Tak, wiedziała. Wózek był przesunięty. Tylko trochę, ale Annie wystarczył rzut oka. Czego tak się bała? Może po prostu jakiś klient go potrącił, przechodząc obok? Modląc się w duchu, zostawiła kosz z zakupami i biegiem rzuciła się w stronę przejścia. To, co wydawało się nie mieć sensu, z każdą chwilą stawało się bardziej oczywiste.

Buzia dziecka zmieniła kolor.

Wszystko zmięte i spłaszczone - przerażające.

Gdy do Anny dotarło, że wózek jest pusty, krzyknęła.

* * *

Po ukończeniu uniwersytetu Michał Evans rozpoczął pracę w firmie ubezpieczeniowej. Jego kariera była imponująco szybka. Piękna i mądra trzydziestoczteroletnia żona - która (musiał to przyznać, choć niechętnie) w społecznej hierarchii była stopień wyżej - dopełniała wrażenia, że wiedzie względnie szczęśliwe i spokojne życie. Jego typowo angielska powściągliwość emocjonalna, która kazała wątpić, czy pod powierzchnią szlachetności i poprawnej powierzchowności kryją się jakiegokolwiek uczucia, pociągała Julię, gdyż sprawiała wrażenie opanowania i rzetelności. Jej matka lekceważąco nazwała go małomównym, ale Julia lubiła tę jego cechę. Miał w zwyczaju długo rozważać każdą, nawet najprostszą odpowiedź. Kiwał wtedy głową i trzymał złożone przy ustach ręce, zupełnie jak święty na średniowiecznym tryptyku. Bawiło ją to, a odpowiedź, jakiej w końcu udzielał, zawsze była ukłonem w stronę rozmówcy. Miał dużo bardziej pogodne i optymistyczne poglądy na świat niż Julia. Pierwszy raz spotkali się podczas przyjęcia

w Kensington. Natychmiast przypadli sobie do gustu. Jej szlachetna uroda i widoczna pewność siebie rzuciła się w oczy na tle garniturów, poważnych krawatów i jaskrawych, falbaniastych koktajlowych sukien, które po kilku obowiązkowych tańcach same nieco się rozpiwały, obiecując kuszące sam na sam w taksówce podczas powrotu do domu... Upięte w lśniący, luźny kok blond włosy Julii, jej biała, jedwabna suknia i kosztowna, choć stonowana biżuteria mówiły o wyrafinowanych i subtelnym wymaganiach właścicielki. Wyglądała oszałamiająco, chociaż nieprzejednanie. Michał był nią zachwycony, a Julię zdumiewała jego powściągliwość i spokój, wyróżniający go z rozkrzyczanego i zbyt pewnego siebie towarzystwa.

Cały wieczór spędzili razem. Wkrótce przyszły następne - wyjścia do kina, kolacje w małych restauracjach Chelsea, aż wreszcie (po wizycie w Albert Hall, co miało zaspokoić upodobania Michała po mniej udanych operach) w jego małym mieszkanku na Fulham została u niego na noc. Wkrótce najwłaściwszym rozwiązaniem okazała się przeprowadzka Julii. Pobrali się w ciągu roku, a ich życie szybko przeistoczyło się w przewidywalną, wygodną rutynę.

Michał był inteligentnym, uczciwym i ciężko pracującym biznesmenem, a praca w markowej agencji nieruchomości doskonale pasowała do gustu i daru przekonywania Julii. Podczas pierwszej poważnej rozmowy zarówno ona, jak i Michał stwierdzili, że chcą mieć dzieci. Dlatego Julia, mimo że była cenionym i poważanym pracownikiem, poświęciła się firmie w ograniczonym zakresie. Przygotowywała się w ten sposób na moment, w którym będzie zmuszona odłożyć na bok karierę zawodową, przynajmniej do czasu, kiedy mali Evansowie szczęśliwie wylądują w którejś z obowiązkowych szkół podstawowych. Chciała skoncentrować się na ważnym obowiązku prowadzeniu domu, żywieniu wymagającego męża i wychowania stadka przyszłych pełnowartościowych Anglików lub Angielek.

W kilka miesięcy po ślubie przenieśli się do przytulnego domu z tarasem na Battersea. Na piętrze znajdował się tam mały, jasny pokój, który obydwójce w duchu przeznaczili

na pokój dziecienny. Zakładali, że jego mieszkańcy przyjdą na świat w ciągu kilku lat. Oczywiście z taką samą łatwością, jak wszystko, co do tej pory udało im się osiągnąć podczas szczęśliwego, choć krótkiego narzeczeństwa i małżeńskiego pożycia. Czas jednak płynął, a potomstwo nie przybywało. W sercu Julii coraz częściej tliła się iskierka obawy. Po dziewięciu latach szczęśliwego, seksualnie aktywnego, choć monotonnego małżeństwa iskierka ta stała się huczącym płomieniem. Julia sama przed sobą musiała przyznać, że z jej dobrze zaplanowanym, gładko płynącym życiem dzieje się coś, co trudno określić słowami. W każdym razie fala niepokoju zachwiała panującą dotychczas równowagę. I chociaż Julia sama była coraz bardziej świadoma, że jej codzienne życie okrył cień, to zachowanie najbliższych jeszcze bardziej utrudniało przejście nad tym faktem do porządku dziennego.

Szczególnie boleśnie brak dzieci wytykała jej matka. Będąc chyba najmniej taktowną z niewiast skrupulatnie wykorzystywała każdy moment, aby wtrącić swoje trzy grosze. Wciąż robiła niezręczne aluzje co do obietnic rychłych narodzin potomstwa, jakimi zbywała ją córka. Julia popełniła raz fatalny błąd. Przyznała potulnie, że oboje z Michałem są rozczarowani niemożnością powołania na świat potomstwa i bardzo im z tego powodu przykro. Natychmiast poczuła - mimo pozorów zrozumienia i współczucia - że dostarczyła matce jeszcze jednej broni, która będzie użyta przeciwko niej samej.

-Cóż... i tak nie mam wnucząt, którym mogłabym coś zapisać, gdy przyjdzie na mnie pora - miała zwyczaj wtrącać starsza pani w środku dyskusji na temat testamentów podczas swych przyjęć. Ponieważ średnia wieku gości, nie licząc Michała i Julii, wynosiła zwykle około siedemdziesiątki, ten uroczy temat zawsze obowiązywał przy stole Pal-merów.

- Oczywiście każdy powinien go napisać - dodawał Michał, ostrożnie omijając aluzję, dotyczącą braku kontynuacji rodzinnej dynastii. - To zdumiewające, jak wielu ludzi zupełnie się tym nie przejmuje, a później pozosta-

wiają swych współmałżonków w szalenie skomplikowanej sytu...

- Tak, ale jak wiesz, ja nie mam współmałżonka. Moja córka jest wszystkim, co mi pozostało - przerwała pani Palmer, uśmiechając się słodziutko do Julii. W ten właśnie sposób, z właściwym sobie wyrachowaniem, zwykła była podkreślać swoje wypowiedzi. -

Wszystkim, co mi pozostało. Oczywiście nie licząc ciebie, drogi Michale. Zresztą i tak nie byłoby kogo wspomóc moimi oszczędnościami. Zawsze myślałam, że pojawi się jakaś szkoła, którą można by opłacić, albo coś w tym rodzaju. Teraz nie mam nawet mojego kochanego pieska.

Michał i Julia przygarnęli czarnego labradora Palmerów trzy lata temu. Śmierć pana Palmera oznaczała dla wdowy po nim zamianę wielkiego domu w Hertfordshire na wynajęte mieszkanie w Londynie. Trzymanie w nim domowego zwierzaka było niemożliwe. Julia nie mogła nawet myśleć o tym, by oddać gdzieś psa, więc ubłagała Michała, żeby wzięli go do siebie. Mimo że wymagało to rozmaitych skomplikowanych operacji, takich jak zorganizowanie wśród znajomych wyprowadzania psa w czasie, kiedy sami byli w pracy, mąż się zgodził. Pani Palmer jednak uważała, że posiadanie zwierzaka było dla nich błogosławieństwem, i nigdy nawet słowem nie podziękowała za to, że postanowili się nim zająć. Michał i Julia puścili to w niepamięć, ale gdy pani Palmer, mimo upływu lat, ciągle narzekała na brak starego psa, Julia czuła rosnącą irytację.

Jej związek z matką był dziwną mieszaniną bliskości i obcości zarazem. Czasem myślała, że matka umyślnie ją rani, aby w ten sposób znów mieć nad nią przewagę. Julia stała się specjalistką w pomijaniu aluzji na temat wnucząt, nie tylko dlatego, że ją bolały, lecz również z obawy, że poważne ich traktowanie uczyni problem jeszcze bardziej realnym.

Pewnego wieczoru, kiedy zauważyła, jak Michał tęsknie przygląda się małym chłopcom z sąsiedniego domu, którzy grali za oknem w piłkę, postanowiła, że musi coś zrobić. Po cichu zakradła się do niego i obserwowała, jak jego spojrzenie podąża za roześmianymi dziećmi.

Aż podskoczył z miną winowajcy, kiedy zdał sobie sprawę z jej obecności.

- Zastanawiałem się tylko, czy potrzebny mi płaszcz. Znowu się chmurzy.

- Na miły Bóg, Michale! -Co?

- Sam wiesz.

Chociaż Michał starał się, żeby nie dać po sobie nic poznać, Julia stanowczo zdecydowała, że nadszedł czas konfrontacji. Późnym wieczorem jeszcze raz studiowała artykuły w magazynach i ulotki, które przechowywała w szufladzie przy łóżku.

* * *

- Kupiłam termometr owulacyjny - oświadczyła po przyjściu z pracy następnego dnia.

- Co takiego?

- Jak będę wiedziała, kiedy mam owulację, będziemy się mogli szczególnie postarać. No wiesz, o co mi chodzi.

- Ależ oczywiście, że wiem. Brzmi nieźle. Proponuję, abyś zmierzyła temperaturę od razu - roześmiał się Michał, rzucając kurtkę na kanapę, i zaczął rozpinąć koszulę.

- Co ty wyprawiasz, Michale? - zaśmiała się Julia. - Nie bądź głuptasem. Nie o to mi chodziło, wiesz przecież. Nie, przestań w tej chwili; chcę przeczytać instrukcję obsługi -powiedziała, wyrywając się z jego objęć. Usiadła i przewiesiła jego kurtkę na poręcz sofy. - Popatrzmy, tu jest taka duża skala, widzisz? Mogę więc...

- Chodź do mnie, kochanie. - Michał usiadł obok i wsunął rękę pod jej bluzkę. - Zbadam cię osobiście, szczególnie dokładnie, że się tak wyrażę. Jestem pewien, że momentalnie się uporamy z twoimi problemami.

-Kochanie, zamknij się. Posłuchaj. Natychmiast po owulacji temperatura wzrasta i nie spada - czytała na głos, marszcząc brwi. - I to ma być ten cudowny sposób? Mamy się kochać jak szaleni tuż przed i w czasie owulacji? Przecież temperatura wzrasta dopiero po niej. To po co, u licha, jest ten termometr, skoro poinformuje mnie o tym, co już było?

- Odpowiedź jest dziecinnie prosta. Będziemy się kochać częściej lub rzadziej przed wzrostem temperatury. Potem zrobimy sobie kilkudniową przerwę, aby nabrać sił, i znowu zaczniemy. Co ty na to?

Julia się uśmiechnęła, ale czytała dalej.

- Mam wypełnić wykres, stawiając na nim krzyżyki, kiedy temperatura będzie wzrastać. Mhmm, rozumiem. Poznam swój cykl i tak dalej.

Przynajmniej będę wiedziała, kiedy mam tę owulację. - Popatrzyła na Michała. - Tak cię kocham, wiesz? Nawet jeśli złościsz mnie swoimi uwagami. Poza tym, gdzie jest powiedziane, że to moja wina? Może to twoja sperma jest odrobinę fełerna?

- Bzdura! Jest pierwszej klasy. A teraz pozwól, że ci to udowodnię.

* * *

Jednak po kilku miesiącach mierzenia temperatury, rysowania wykresów i starannie planowanych sesjach na podwójnym łóżku nic nie wskazywało na to, że Julia spodziewa się upragnionego potomka. Michał widział, mimo że tego nie okazywała, jak bardzo się martwi. Zauważył irytację, z jaką zaczęła się do niego odnosić. Z jego strony konieczność dostosowania się do ustalonego rytmu zaczęła być coraz trudniejsza i przygnębiająca. Właściwie trudno było sobie przypomnieć, kiedy kochali się dla czystej przyjemności. Robili to tylko dlatego, aby wypełnić wymagany program.

- Dzisiaj możesz - powiedziała Julia wieczorem, siedząc przy toalecie i szcietkując włosy. Po sześciu miesiącach prób zapłodnienia to zwięzłe, jeśli nie załamujące zdanie stało się częścią regularnego rytuału.

- Znowu? Jesteś pewna?

- Dlaczego pytasz, nie masz ochoty?

- Nie, nie, oczywiście, że mam. A ty?

- No cóż, nie mamy wyboru, prawda? Nie chcę zmarnować kolejnego miesiąca.

Michał powstrzymał się od komentarza. Westchnął tylko, odsunął kóldrę i wszedł do łóżka. Próbował wzbudzić w sobie odpowiedni nastrój, ale czuł się raczej jak bank nasienia niż kochanek.

* * *

Wieczorem, po wizycie u swego domowego lekarza, pierwszy raz płakała. Do tego czasu myślała trzeźwo i rozsądnie, że coś się wreszcie wydarzy. Podświadomie miała nadzieję, że doktor wyśmieje jej obawy, powie, żeby się nie wygłupiała, i odeśle do domu. Odkąd zamieszkali w Battersea i zostali jego pacjentami, zawsze przybierał tę samą zdrową i pragmatyczną postawę wobec nekających ją dolegliwości. Tym razem jednak z powagą i spokojem wysłuchał jej zwierzeń, a z jego oczu wyczytała, że na szybką odpowiedź nie ma co liczyć.

- Chciałbym, abyście oboje poszli do profesora Hewletta - stwierdził. Wyszła właśnie zza parawanu po zakończeniu badania i usiadła przy biurku. Notując, kontynuował: -Nie mogę postawić jednoznacznej diagnozy, ale nie widzę powodów, dla których miałabyś na nią czekać. Zwykle po stwierdzeniu objawów niepłodności poleca się pacjentom, aby popróbowali jeszcze rok albo dłużej. Wy jednak jesteście razem od kilku lat i mogę być pewien, że uprawiacie seks we właściwy sposób i z tego, co mówisz, próbowaliście dostatecznie często w odpowiednich momentach. Dziwne, że do tej pory bez skutku. Twój cykl jest ciut dłuższy niż przeciętnie, ale wygląda na regularny. Wykresy wskazują, że masz regularną owulację. Idźcie do Boba Hewletta, tutaj nie będziemy tego załatwiać. Specjalistów w tej dziedzinie jest sporo, ale właśnie on leczył wielu moich pacjentów i wiem, że was nie zlekceważy. Powiem Jennifer, aby was umówiła.

Wzmianka na temat jej okresów przypomniała Julii, jak kiedyś ustały, a zaniepokojona matka zaciągnęła ją do lekarza. Miała wtedy szesnaście lat; była chorobliwie wychudzona i wciąż odmawiała przyjmowania pokarmu.

- Pamięta pan, doktorze, że kiedyś byłam anorektyczką?

- Tak, oczywiście. Sama mi mówiłaś, poza tym mam tu kartę, którą przesłał mi doktor Chaplin. To nie powinno mieć z całą sprawą nic wspólnego. Twoja waga jest całkowicie normalna od - przerwał, wertując poźółkłe kartki - od dziesięciu lat, czyli zanim jeszcze do mnie trafiłaś. Zabu-

rzenia menstruacyjne miałaś dużo wcześniej, prawda? -Julia przytaknęła.
- Przypuszczam, że zostało nam do zbadania jeszcze wiele innych powodów.

Całą drogę do domu była spokojna. Wciąż sobie powtarzała, że doktor nic nie stwierdził. Ma iść do specjalisty, ale nic się nie dzieje, więc powinna się cieszyć. Musiała jednak porozmawiać z Michałem, a to oznaczało wywleczenie problemu na światło dzienne. Pozorny spokój prysnął niczym bańka mydlana.

* * *

Kiedy Julia weszła do salonu, Michał popatrzył na nią z niepokojem.

- No i jak? Co powiedział?

- Och, Michale! Coś mi jest. Wiem to! Wiem! Coś bardzo złego!

Rzuciła płaszcz na kanapę i opadła na fotel. Podparła głowę i uciskając skronie z trudem powstrzymywała się od płaczu. Lucy przydreptała do niej i siadła przy kanapie, ze współczuciem liżąc jej dłoń.

- Jak to, co ci powiedział!? Julio, błagam, mów! Co ci jest? Czy będą mogli ci pomóc?

- Nic złego nie stwierdził, to po prostu...

- No to dobrze, to znaczy, że wszystko w porządku, tak? Przecież nie wiadomo, że to twoja wina! Sama wiesz! Przecież równie dobrze to ze mną może być coś nie tak. Co ci powiedział?

- O rany, przestań mnie o to pytać! Wiem po prostu, że coś mi jest.

Mówiłam ci. Nigdy nie będę miała dzieci, Michale, czuję to! Boże, co ja mam zrobić?!

Rozszlochała się rzewnymi łzami. Cały świat skupił się na jej pustym, bezużytecznym łonie.

* * *

Policjant nie mógł zrozumieć, co mówi zalewająca się łzami Anna. Kiedy wezwano go przez radio z sąsiedniej przecznicy, był pewien, że znowu włamano się do jakiegoś samochodu albo skradziono portmonetkę.

Zupełnie nie miał doświadczenia, jeśli chodzi o kradzież dzieci. Pełna

bólu rozpacz, wyzieraająca z rozszerzonych oczu stojącej przed nim dziewczyny, wprawiła go w zakłopotanie.

- Proszę na chwilę usiąść, moja droga - powiedział, próbując delikatnie odsunąć ją od drzwi supermarketu. -A teraz niech mi pani spokojnie opowie, co się stało. Spróbujemy coś poradzić. Niech się pani nie martwi, kochana. Znajdziemy maleństwo, nie może być daleko stąd.

Anna jednak nie mogła się ruszyć z miejsca. Jedną ręką kurczowo trzymała wózek, drugą próbowała wycierać łzy, płynące po jej szczupłej, bladej twarzy. Opuchnięte oczy i pokryta różowymi plamami twarz nadawały jej wygląd pomarszczonej starszej pani. Pionowe bruzdy wokół ust świadczyły o goryczy, która, jak sądził komisarz Anderson, musiała gościć na tej twarzy dużo wcześniej, zanim wydarzyła się dzisiejsza tragedia. Z pewnością życie nigdy jej nie głaskało, ale teraz wyglądała tak, jakby od ogromu cierpienia, które tak nieoczekiwanie na nią spadło, miało jej pęknąć serce. Tusz na rzęsach całkiem jej się rozmazał.

Przypominała przerażoną pandę.

-Idę... i...idę i...i... znajdę go! - wyjąkała z silnym akcentem, łatwo zauważalnym mimo przerywanego chlipania. -Moje dziecko! Moje dziecko!

To rzekłszy szarpnęła wózek i ruszyła do drzwi. Anderson chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie. Miała szeroko otwarte, przerażone oczy, a na twarz i szyję wystąpiły krople potu. Jeśli nie każe jej usiąść, dziewczyna zaraz zemdleje. Podtrzymał ją za ramię i delikatnie poprowadził w stronę kas.

Wokół nich zebrał się już szepczący tłumek kasjerek. Ich podekscytowane twarze wyrażały jednocześnie zainteresowanie, współczucie i mimowolne zadowolenie z dramatyzmu całej sytuacji, która bądź co bądź urozmaiciła im rutynowy dzień pracy.

- Drogie panie, proszę się odsunąć. Dziękuję. Gdzie jest kierownik?

Muszę porozmawiać z tą młodą damą w jakimś ustronnym gabinecie.

Proszę także, aby żadna z pań nie wychodziła teraz bez mojej wiedzy,

dobrze? Chciałbym jeszcze z wami pomówić. Niech jedna z was weźmie wózek i pójdzie z nami.

Obejrzał się za siebie i zobaczył korpulentną kobietę, która idąc w jego kierunku, odgarniała z czoła strzechę jaskrawoczerwonych włosów.

- Proszę za mną, panie komisarzu. Nazywam się Paulton, jestem kierowniczką. Na tyłach sklepu mamy pokój, gdzie będziecie mogli się czuć jak u siebie. Przyniosę państwu herbatę. Biedactwo!

Roztrzęsiona Anna i komisarz Anderson podążyli za panią Paulton.

Mijając półki, zastawione paczkami z płatkami kukurydzianymi, ryżem i proszkami do prania, Anna resztką sił zastanawiała się, w jaki sposób świat nadal może istnieć. Jak ludzie mogą normalnie jeść, nosić ubrania i je brudzić? Nie, to było niemożliwe. Bez Harry'ego jej świat zapadł się w ciemną otchłań.

Kiedy pani Paulton delikatnie sadzała Annę w pokoju na zapleczu, policjant został na korytarzu. Nadał wiadomość do swojej bazy.

Informacja o porwaniu dziecka da sygnał do wszczęcia akcji poszukiwawczej.

- A teraz proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa? -zapytał, wchodząc do pokoju i siadając obok Anny.

- Anna Watkins.

- Niech mi pani dokładnie opowie, co się stało.

- Zostawiłam go tylko na chwileczkę. Potrzebowałam kilku rzeczy i on... och, Boże, ja nie chciałam, nie miałam zamiaru go zostawiać. Tak bardzo go kocham! O Jezu, co ja mam robić?!

- Proszę, niech się pani uspokoi, nie ma powodów do takiej rozpacz. Im szybciej mi pani powie, jak to się stało, tym prędzej go znajdziemy.

- Zabiorą mi go, prawda?

- Niech pani da spokój, nikt pani o nic nie obwinia. Proszę się wziąć w garść i opowiedzieć, co pani pamięta. Jak mały był ubrany? Czy widziała pani kogoś przy wózku?

* * *

Malec zaczął płakać. Kiedy Julia szła szybkim krokiem Streatham High Road, zaczął się wiercić. Krzywił się, odwracając główkę na bok i próbując ssać. Otwarte oczy wypełniły się łzami gniewu i głodu.

- Już dobrze, kochanie - wyszeptała do różowego uszka - już dobrze, mamusia jest przy tobie. Zaraz będziemy w domu.
Nawet jeśli to była prawda, Harry'emu nie spieszyło się do domu. Po prostu chciał jeść.

Rozdział 2

-Proszę, no proszę, nie płacz. Mamusia już jedzie do domu, a tam poczekamy na Antoniego. Czyż nie będzie szczęśliwy, widząc cię z powrotem w domu? Od dziś wszystko się ułoży, skarbeczku, znowu będziemy szczęśliwi. No nie płacz, malutki, proszę, nie płacz. Cii, no już, przestań, dziecinko. Nie krzycz. Mamusia jest z tobą.

Julia dotarła wreszcie do swojego volvo. Coraz głośniejsze krzyki dziecka umieściła w dużym koszu na zakupy na tylnym siedzeniu. Ruszyła pośpiesznie, aby być jak najdalej od supermarketu i ulicy Streatham. Dawno nic tak jej nie poruszyło jak to nieustanne chlipanie. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego nagły ból w trzewiach wydaje się dziwnie znajomy. Tak, już kiedyś czuła coś takiego. Było to w innej, jakby odbitej w lustrze sytuacji. Mroczne i znajome wspomnienie. To było wiele, wiele lat temu. Co się wtedy działo? Jadąc starannie zaplanowaną trasą, powoli sobie przypominała: dźwięk brzęczy w jej głowie nie był płaczem dziecka, lecz jej własnym. Wtedy w szpitalu, kiedy trzymali ją za ręce i nogi, aby nie biegła - im bardziej wierzgała i wrzeszczała, tym mocniej ściskali jej wycieńczone ciało. Łyżka z niechcianą zawartością wciskała się w jej usta aż do momentu, kiedy mogła poczuć smak jedzenia, albo, jeszcze gorzej - czekała w jej otwartym gardle, aż się zakrztusi i na siłę przełknie.

Zerknęła przez ramię na leżące z tyłu dziecko, ale nie widziała nic poza zwyczajnym, brązowym koszykiem, którego wygląd nie wskazywał na szczególną zawartość. Zadowo-

lona potrzęsnęła głową, starając się pozbyć nieprzyjemnych wspomnień, które wkradły się niepostrzeżenie w teraźniejszość. Zostawi te myśli na później, kiedy już i ona, i dziecko bezpiecznie dojadą na miejsce. Dopiero wtedy przyjdzie czas, aby się nimi zająć; na razie zepchnęła je do podświadomości.

* * *

Anna, załamana i nieszczęśliwa, starała się w opanowany sposób odpowiadać na pytania policjanta. Była dziewczyną inteligentną i z natury odporną, co znacznie ułatwiało jej życie, które nigdy nie było usłane różami. Gdyby los był dla niej łaskawszy, z pewnością potrafiłaby korzystać ze swoich zalet. Być może uniknęłaby wielu pułapek, jakie zastawiło na nią życie. Urodziła się w Glasgow, które co prawda pozbyło się już wtedy slumsów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ale chyba tylko po to, żeby wpaść w jeszcze gorsze tarapaty. Nastąpiła era nowej, podstępnej zarazy - szerzącej się na podatnym gruncie wśród bezrobotnych i biedoty. Zasiane w przeludnionym mieście ziarna znalazły doskonałe warunki rozwoju. Mogły się rozmnażać, zawsze gotowe, aby atakować i niszczyć. Postaci w ciemnych zaułkach dyskutowały już nie o handlu zegarkami i złotą biżuterią, lecz kokainą i heroiną. Narkotyki stały się sposobem na życie. Do tego wszystkiego doszedł HIV, a z nim nowa era strachu i bezsensowności jego ofiar - nawet ci, którzy w tym ciemnym i pieniącym się interesie stali na szarym końcu - tak jak Anna i jej rodzina - byli skażeni jego piętnem.

Czasami się zastanawiała, czy zamazane, wczesne wspomnienia o ojcu nie były jedynie wytworem jej wyobraźni. Może sama wymyśliła sobie czasy, kiedy w domu panowało szczęście, ojciec nie wrzeszczał na matkę, dzieci - ona i jej młodszy brat Piotr - dostawały całusy na dobranoc, a w weekendy były zabierane na wycieczki. Lata oglądania w telewizji ulubionych seriali o dobrych i szczęśliwych rodzinach mogły namieszać jej w głowie. Tak bardzo marzyła, aby się w nich znaleźć, że siedząc przez ekranem, mocno zaciskała powieki i modliła się, by wskoczyć do środka.

Ale nie - wspomnienia były prawdziwe. Pogorszenie nastąpiło wtedy, gdy Ian Watkins został bezrobotnym po dwudziestu latach pracy w wytwórni tytoniu, którą zamknięto. Lata bezrobocia uczyniły z niego człowieka zgorzkniałego i posępnego. Brak uczuć do żony i dwójki dzieci z czasem doprowadził go do przejawów okrucieństwa. W wyraźny sposób odbiło się to na dzieciach: Anna w szkole nie miała żadnych przyjaciół, a nauczycieli odstręczała cynizmem wyrażanym z błyskotliwą inteligencją. Postanowiła, że przy pierwszej okazji wyrwie się z rodzinnego gniazda. Z tym nastawieniem kontynuowała codzienną dietę, karmiąc się serialami, które i jej, i bratu pomogły żyć w przeświadczeniu, że wystarczy tylko wydostać się gdzieś na południe, a życie się odmieni. Po latach wróci w chwale, sławna i bogata, tak jak w bajkach, które czytywała jako mała dziewczynka.

Ucieczkę zaczęła planować, kiedy miała czternaście lat. Zbierała makulaturę i oszczędzała zarobione dzięki temu pieniądze. Wbrew woli ojca, który uważał, że powinna pomóc opłacać matce rachunki, udawało jej się nieźle kłamać, ukrywając prawdziwą sumę, która - grosz do grosza - stopniowo rosła. Pieniądze przechowywała na starej szafie w sypialni, którą dzieliła z bratem.

Kiedy skończyła szesnaście lat, spakowała swój niewielki dobytek do podróżnej torby, a forszę do portmonetki. Uciekła w środku nocy. Autostopem udała się do Londynu, kupując tylko tyle jedzenia, aby przeżyć. Rodzina chciała jej szukać, ale matka w głębi duszy zazdrościła Annie wolności i wiedziała, że jeśli nawet ją znajdą i sprowadzą do domu, nie ma nic, co mogliby jej zaoferować. Jedynie Piotr naprawdę cierpiał z powodu odejścia siostry - wiele wieczorów przeplakał, leżąc sam w ich wspólnej sypialni. Miesiącami czekał na jakąkolwiek wiadomość - list czy telefon - ale stopniowo musiał zaakceptować fakt, że odeszła z jego życia na zawsze.

* * *

szybko poznała realia wielkiego miasta, w którym go adresu nie można dostać pracy, a bez pracy nie

da się zarobić na mieszkanie i stały adres. Nie miała rodziny ani przyjaciół, do których mogłaby się zwrócić, ale zauważyła, że pomocnych rąk nie brakuje - wyciągają się z niewidzialnych, ale podstępnych czeluści. Nie była już seksualnie niedoświadczona; jako piętnastolatka straciła dziewictwo na tylnym siedzeniu ciężarówki, a potem miała kilka krótkich i nieciekawych przygód. Ulica jednak nauczyła ją wystarczająco dużo, aby do każdego obcego odnosić się podejrzliwie.

Dlatego nieoczekiwanie dla siebie samej stwierdziła, że pierwszej napotkanej osobie dała się złapać na życzliwe, ciepłe słowa. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jego motywacja może być daleka od altruistycznej. Trudno jednak było nie ulec delikatności jego głosu ani poczuciu bezpieczeństwa, które dawały jej jego ramiona. Nazywał się Dawid, miał osiemnaście lat i pochodził z Brighton. Podobnie jak Anna żył na ulicy i tak jak ona przekonał się, że pieniądze na niej nie leżą. Poznali się na Piccadilly. Schodzili się tam bezdomni, by popatrzeć na toczące się życie lub w oparach narkotycznego dymu i alkoholu osiągnąć przyjemne odrętwienie, dzięki któremu wszystko stawało się łatwiejsze. Anna, której ucieczka z Glasgow była częściowo spowodowana chęcią wyrwania się spod wpływu narkotycznego interesu, nagle wpadła w niego po uszy. Było jasne, że Dawid żyje ze sprzedaży niewielkich ilości cracka i ekstazy, którymi handluje na Wardour Street i Soho. Starła się wspomóc ich ubogie zasoby finansowe, zebrząc. Tłumaczyła sobie, nieco pokrętnie, że w ten sposób przynajmniej coś z siebie daje, sama zdobywa pieniądze - lepszy rydz niż nic.

W sytuacji, kiedy za każdym groszem trzeba się nachodzić, nawet drobne wydatki stają się problemem. Anna wkrótce stwierdziła, że skoro Dawid sypia jedynie z nią, a wierzyła jego zapewnieniom o wierności, prezerwatywy są zbędnym luksusem, z którego śmiało można zrezygnować. Coś się jej tłukło po głowie, że czasami rozdają je gdzieś za darmo, ale nigdy nie zdołała się dowiedzieć, w którym miejscu. Nie zrobiła poza tym nic konstruktywnego, aby jakoś się zabezpieczyć. Jako że kilkoro jej przyjaciół miało AIDS lub pozytywny wynik badań na obecność

HIV, zdawała sobie sprawę, że ryzykuje. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że o wiele bardziej prawdopodobnym ryzykiem, na jakie się naraża, jest nie planowana ciąża.

Miesiącami nie robiła żadnych badań. W ciągłym zamieszaniu, jakim było jej życie, brak miesiączek i mdłości wydawały się mało znaczące. Zmiana, jaka dokonywała się w jej własnym ciele, wydawała się tak nierealna, jakby zachodziła w kimś obcym. Może zdawała sobie sprawę, choć nigdy tego nie przyznała, jaka będzie reakcja Dawida, i wolała udawać, że problem nie istnieje, jakby w ten sposób można było zapobiec nieuchronnej przyszłości. Oczywiście nie było to żadne wyjście.

Wychudzone i niedożywione ciało Anny wbrew jej własnej woli pozwalało żyć niepożądanemu gościowi. Embrion - późniejszy Harry - rósł i rósł, żądając coraz więcej przestrzeni, aż jej brzuch zaczął się powiększać.

Co do Dawida miała rację. Usiłował zadbać przede wszystkim o własne życie i nie miał zamiaru brać na swoje barki dodatkowego obciążenia. Gdy tylko Anna przyznała się do tego, co od dawna podejrzewał, uciekł. Anna nie była zaskoczona, że ją porzucił; widocznie takie było jej przeznaczenie. Od początku wyglądało na to, że niezależnie od jej zamiarów życie i tak potoczy się swoim torem. Być może do muru, jaki wokół siebie budowała, doszła jeszcze jedna, mała cegiełka goryczy. Gdyby wierzyła w Boga, z pewnością pokusiłaby się, aby mu pogratulować sumienności, z jaką planował zdarzenia zachodzące w jej pełnym nieszczęściu beznadziejnym życiu.

Tak oto Anna wpadła z deszczu pod rynnę: chcąc uciec do Londynu w poszukiwaniu lepszego życia, wplątała się w jeszcze większe tarapaty. Teraz to już na pewno nie miała szans ani na wymarzoną pracę, ani małżeństwo. Przyszłość malowała się w czarnych barwach. Od przyjazdu do miasta rzadko wspominała dom. Starła się nie myśleć o Piotrze i matce w obawie, że wspomnienia mogą jedynie zwiększyć poczucie osamotnienia. Teraz jednak uczucia wzięły górę nad rozsądkiem. Pierwszy raz przyznała się do tego, jak bardzo tęskni nie tylko za nimi dwojgiem, ale, ku swemu zdziwieniu, także za ojcem.

Oczywiście zastanawiała się nad usunięciem ciąży, ale wiedziała, że upłynęło już zbyt wiele czasu na podjęcie takiej decyzji. Poza tym teraz, kiedy zabrakło Dawida, zaczęła postrzegać nieznanego przybysza w swoim brzuchu jako jedyne go sojusznika przeciwko całemu światu. Jednocześnie była realistką i wiedziała, że obecność dziecka zapewni jej teraz dom. Skorzystała z pomocy, jaką oferowało jej państwo. Do tego feralnego dnia, kiedy poszła na zakupy i cały jej świat legł w gruzach, mieszkała na Streatham, gdzie umieściła ją opieka społeczna. Żyła z zasiłku całkiem przyzwoicie, choć może nie dostаточно, mając tylko jeden cel - kochać i wychować małego chłopczyka, który stał się dla niej wszystkim.

* * *

Numeracja ulic Harley i Wimpole napawała grozą nie mniejszą niż otaczająca je szpitalna atmosfera. Domy, które stały na przyległych uliczkach, również miały adresy tych dwóch głównych arterii, a ponieważ latami dodawano kolejne oznaczenia do numerów - jakieś „A” i „AA” - jedynie kilka posiadłości zachowało właściwy i jednoznaczny adres. Według książki telefonicznej klinika profesora Hewletta mieściła się przy ulicy Harley, więc Julia i Michał stracili dobrych kilka minut, zanim trafili do białej willi z filarami. Klinika znajdowała się na rogu ulicy Weymouth, oddzielona od skrzyżowania przynajmniej czterema innymi domami.

Byli zdziwieni jej prostotą, jakby wcześniej oczekiwali, że budynek, za którego ścianami zachodzą tak niecodzienne wydarzenia, będzie nosił widoczne tego oznaki.

Kiedy weszli do środka, okazało się, że trudno by było wyobrazić sobie mniej szpitalne wnętrze. Korytarz wyłożony był wykładziną, a światło dawały oryginalne żyrandole. Wrażenie luksusu psuła duża, praktyczna recepcyjna lada, stojąca naprzeciw wejścia. Za jej wysoką drewnianą fasadą chowały się dwa komputery i uśmiechnięta miło panienka.

- Czym mogę służyć? - zagadnęła odrobinę protekcyjnie.

No tak - pomyślała Julia - w tym medycznym świątku oni wszyscy tak się zwracają do pacjentów.

- Jestem Michał Evans, a to moja żona. Mamy wizytę u profesora Hewletta.

Julia szybko podniosła wzrok. Spodziewała się wyrazu powątpiewania i wyższości na twarzy recepcjonistki, ale dostrzegła jedynie szczerzy i pełen zrozumienia uśmiech. Na plecach poczuła rękę Michała, który jakby wyczuł jej ostrożność.

Wprowadzono ich do poczekalni, gdzie usiedli na dużej i wygodnej kanapie. Michał czuł się tak, jakby wszedł do baru szybkiej obsługi i miał zamówić śniadanie. Zwrócił uwagę na to, co przedtem widział jedynie kątem oka: na ścianie wisiała cała seria oprawionych w ramki fotografii personelu medycznego. Każda osoba na zdjęciu uśmiechała się pogodnie, a pod nią umieszczone było nazwisko, kwalifikacje i opis wykonywanej pracy. Wszyscy oni wyglądali na tak nadzwyczajnie gotowych, aby sprostać wszystkim żądaniom, że Michał miał ochotę coś zamówić. „Jajka, proszę pana? Mają być zapłodnione czy nie zapłodnione, proszę pana? Poproszę bliźniacze”. Musiał się otrząsnąć z tego wrażenia, aby przypomnieć sobie, gdzie się właściwie znajduje.

W fotelu, stojącym po drugiej stronie, siedział łysiejący mężczyzna. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat. Głowę oparł na rękach i kiedy Ewansowie usiedli, nawet nie drgnął, aby na nich popatrzeć. Michał uściśnął lekko rękę żony. Chciał powiedzieć coś pokrzepiającego, ale instynktownie wyczuł, że dźwięk jego głosu zaburzy tę spokojną, melancholijną atmosferę. Chrząknął, jakby coś przeszkadzało mu w gardle.

- Przestań - szepnęła Julia.

- Słucham? - odszepnął. Mężczyzna na fotelu nadal się nie poruszał. - Co mam przestać? Chrząkać?

- Nie, przepraszam, to bez znaczenia.

Kolejne kilka minut upłynęło w ciszy. Pojawiła się jakaś pielęgniarka, która podeszła do nieznanego. Usiadła obok i szepnęła mu coś do ucha. Michał usłyszał „O Jezu” i „Tak, tak, dobrze. Za chwilę”. Powiedziawszy jeszcze kil-

ka słów do ucha mężczyzny pielęgniarzka wstała i ruszyła do drzwi, posyłając mu na odchodnym pokrępowy uśmiech. Ten podniósł głowę i popatrzył, jak odchodziła, potem westchnął ciężko, wstał i potrzęsając dłońmi, lekko się przeciągnął. Wyszedł wolnym krokiem, nie obdarzając kanapy nawet przelotnym spojrzeniem.

- Biedny człowiek - stwierdził Michał, uwalniając dłoń z uścisku Julii. Aby jakoś usprawiedliwić ten gest, strzepnął z kurtki nie istniejący paproch.

- Czemu?

- Och, no nie wiem. Wyglądał po prostu nieszczęśliwie, to wszystko.

- Nie rozumiem.

- No wiesz, chodzi mi o to, że wyglądał tak, jakby był strasznie przygnębiony.

- Skąd to możesz wiedzieć? Przecież go nie znasz, widziałeś go tylko przez dwie i pół minuty i mówisz, że jest strasznie przygnębiony? O Boże, czasami mnie denerwujesz!

- Julio, rozumiem, co czujesz w tej chwili, ale uważam, że nie ma powodu, abyś była taka nieprzyjemna. Tak tylko powiedziałem. Nie sądziłem, że potraktujesz to tak poważnie, ja...

- No dobrze, już dobrze.

Opuściła głowę. Z drobnej postaci biła rozpaczliwa rezygnacja. Za każdym razem, kiedy przypomniał sobie, jak bardzo cierpiała, że nie mają dziecka, Michał czuł w sercu ukłucie miłości i współczucia.

Objął ją mocno, tuląc twarz do jej pięknie ułożonych włosów.

Uśmiechnął się do siebie, wdychając znajomy zapach perfum i szamponu.

- Nic się nie martw, kochanie. Poradzimy sobie. Zobaczysz.

- Tak mi przykro, Michale.

- Wiem, wiem.

Naprawdę było jej przykro. Za własną opryskliwość, za to, jak mu odwarknęła i wyładowała na nim swoją złość. Michał był przecież tolerancyjnym człowiekiem, na którego zawsze mogła liczyć. Lata wspólnego życia sprawiły, że

lekceważyła jego uczucia, ale czasami jasno widziała, jak go rani, i nienawidziła się za to. Ostatnie miesiące i z góry zaprogramowany seks obojgu dały w kość. Nawet prosty gest, taki jak zwykły uścisk czy przytulenie kojarzył się im z upartym dążeniem do poczęcia dziecka. Właściwie nie pamiętała, kiedy kochali się dla samej przyjemności.

- To nie twoja wina. Ja po prostu nie mogę poradzić sobie z samą sobą, wiesz?

-Tak.

- Nie, jestem pewna, że nie wiesz. Nie masz pojęcia, jakie czuję do siebie obrzydzenie. - Patrzyła teraz na niego, powoli wyswobadzając się z jego objęć. Co prawda jeszcze nie płakała, ale w oczach miała tyle żalu, że było to kwestią sekund. - Czuję się taka... taka pusta i taka beznadziejna - trudno to wytłumaczyć - jakbym tylko udawała -jak to powiedzieć...

- Co udawała?

- Nie wiem, jak... jakbym udawała, że żyję. Udawała, że wstaję rano, że idę do pracy. Nie, ty nie rozumiesz, o czym mówię, oczywiście, że nie. Mam na myśli to, że... że jestem sztuczna. Nieprawdziwa.

Poza niezbędnymi rozmowami o tym, jak zaplanować kolejną wspólną noc, temat nie istniejącego dziecka rzadko pojawiał się tak otwarcie jak teraz. Przeważnie po prostu go pomijali, jakby był jakąś niezauważalną wyrwą, którą trzeba obejść, aby w nią nie wpaść. Czasami, pośrednio oczywiście, poruszała go Julia, mówiąc na przykład: „No cóż, przynajmniej nie mamy kłopotów z niańką” albo „Nie sądzę, aby było nas stać na wakacje, jeśli sprawy potoczą się po naszej myśli”. Mały pokoik na piętrze nosił miano „pokoju dzieciennego”, a nazwa ta tak do niego przylgnęła, że nigdy nie przyszło im do głowy, aby ją zmienić, choć z czasem stawała się coraz mniej odpowiednia. Starali się nawzajem odwracać swoją uwagę od tego zagadnienia, ale kiedy Julia próbowała mówić o swoich prawdziwych uczuciach, Michała przepelniała nadzieja. Irytowało go tylko to, że z całej siły próbowała je ukryć aż do momentu, kiedy nie wytrzymała napięcia, wyładowując je płaczem i szlochaniem.

Michał tak bardzo przejmował się Julią, że mówienie o własnym poczuciu przegranej przysparzało mu wiele trudności. Ponieważ, jak to mężczyzna, lubił myśleć o sobie w sposób racjonalny i starał się panować nad uczuciami, dziwił się, jak bardzo się obwinia za to, że nie potrafi spłodzić upragnionego potomka (nigdy nie zwrócił uwagi na fakt, że wyobrażał sobie potomstwo rodzaju męskiego). Co więcej - całkiem nieoczekiwanie odkrył w sobie pokłady smutku, spowodowanego myślą, że nigdy nie będzie mu dane tulić synka w ramionach, grać z nim w parku w piłkę czy z dumą obserwować, jak mały Evans idzie w jego ślady na studia. Jego myśli stały się prawie biblijne, przypominały mu się frazy typu: „Owoc przez niego poczęty”, „Evans spłodził Evansa”, „Jego potomstwo zapełni ziemię”. Dziecko w jego wyobraźni było coraz bardziej żywe, z czasem widział każdy szczegół małej postaci - włosy, wyraz twarzy - tak jakby chłopiec naprawdę istniał. Czasami wydawało mu się, że oszalał; w takich chwilach uspokajał się myślą, że dzięki sile wyobraźni przynajmniej nie obarcza swymi emocjami Julii.

Nawet w pracy zwykle był pogodny i spokojny. Niekiedy zazdrościł kolegom, że potrafią swoje frustracje wyładować krzykiem. Dziwił się, że tak bardzo mogą poruszyć ich opłaty za parking czy polityka. Z rozbawieniem rozważał, w którym miejscu na skali, zawierającej opłaty parkingowe i bezdzietność, mieściłaby się manifestacja jego zdenerwowania, rozpaczliwie do tej pory tłumionego. Powściągliwość nigdy nie osłabiała jego pozycji w biurze; łagodny, lecz nieco cyniczny sposób analizowania problemów świadczył o mądrości i dojrzałości. Spokój wyróżniał go na tle gwałtownych reakcji kolegów.

Dzieciństwo spędził w Nottingham. Był bystrookim synem właściciela sklepu meblowego i nauczycielki gry na pianinie. Począwszy od szkoły podstawowej, a kończąc na uniwersytecie w Manchester zawsze wiedział, czego się od niego wymaga. Odkąd zauważył, jak bardzo dziwi rodziców jakkolwiek sprzeciw wobec gładkiej przyszłości, jaką mu zaplanowali, nauczył się nie ujawniać swoich zmartwień.

Inaczej było z problemem nie istniejącego dziecka. Pierwszy raz w życiu poczuł brak jakiejkolwiek możliwości ucieczki czy wyładowania emocji, które się w nim burzyły. Powstrzymywała go świadomość, że dodatkowe obciążanie tym Julii, jedynej osoby mogącej go zrozumieć, tylko przysporzy jej cierpienia. Swe uczucia próbował przelać na la-bradorkę Lucy, ale starał się nie przypisywać jej zbyt wielu ludzkich cech. Wiele razy widział, jak dla innych par zwierzę staje się z czasem substytutem dziecka; według niego było to wyrazem braku godności.

Michał cieszył się, że Julia nie wie o jego rozterkach. Skupiał się na tym, aby ją wspierać i pocieszać.

Być może nie było to najlepsze rozwiązanie.

Rozdział 3

- Polycystis ovaries.

- Poly co ovaries?

- Cystis. -Aha.

Nastała chwila ciszy, podczas której Harriet trawiła tajemniczą informację.

- Czy to coś groźnego?

Dwie kobiety przypatrywały się sobie nawzajem. W końcu Julia, krzywiąc się, stwierdziła:

- No, tak myślę. - Dalej przyglądała się przyjaciółce, po czym obie wybuchnęły śmiechem.

- To oczywiste. - Śmiały się dalej. - Jak ci się podobają cysty na twoich jajnikach? Nie mono, ale aż poły? Fascynujące!

Harriet chichotała, bujając się na krześle. Z ulgą stwierdziła, że jej stara przyjaciółka Julia jeszcze raz daje sobie radę z przeciwnościami losu.

Julia także się śmiała. Kamień spadł jej z serca. Oto jedyna na świecie osoba, z którą można pogadać w ten sposób. Mogła podzielić się problemem, nie obawiając się zbyt niespokojnej reakcji Michała czy narzekania matki. Prawdę mówiąc, zdawała sobie sprawę, że Harriet w duchu zazdrości jej udanego małżeństwa, ale za to Julia odwzajemniała to uczucie wobec dwójki dzieci przyjaciółki, co w sumie dawało pewną równowagę. Czasem Julia wyobrażała sobie, że połówka jej i połówka Harriet stają się jedną osobą. Doskonała matka dwójki dzieci,

szczęśliwa w małżeństwie. Drugie połowy mogłyby tworzyć inną kobietę, która jako nienaprawialna i w dodatku jałowa trawiłaby czas w jakimś dożywotnim więzieniu, przeznaczonym dla osobników nie zasługujących na społeczną akceptację z powodu zbyt wielu niedoskonałości.

- No dobra, powiedz lepiej, czy coś się da z tym zrobić. Może mogą je jakoś przepchać albo co? - pomysł ten stał się powodem kolejnego wybuchu śmiechu. Harriet odgarnęła za uszy brązowe, długie włosy (zbyt długie jak na trzydziestopięciolatkę, jak czasami mówiła jej Julia - niestety, na próżno) i wytarła rozmazany tusz pod oczami.

Julia pochyliła się do niej i, już spokojniej, stwierdziła:

- Trzeba było widzieć, jak mi zaglądali do środka. Co za dziwactwo! Powiedzieli, że muszą mnie zbadać, więc myślałam, że to będzie coś takiego, jak ci robili, kiedy byłaś w ciąży z Adamem. Gdzie tam! - Wróciła pamięcią na kozetkę w ciemnym pokoiku na Weymouth. Lekarz wyjaśnił, jak wygląda badanie, ale i tak była zaskoczona, kiedy nawilżony przyrząd o kształcie penisa, zakończony ultrasonograficznym wziernikiem delikatnie wsunął się do jej pochwy, aby bezwstydnie rozejrzeć się po macicy i jajnikach. Zupełnie jak smutny, pospolity wibrator. - Boże, jaka byłam zadowolona, że coś znaleźli. Nieważne co, byle tylko coś się dało zrobić. Wiesz, powinnam być brunetką, grubą i owłosioną.

- Co takiego?

- Typowe kobiety z tym schorzeniem są zwykle duże, ciemne i owłosione. Oczywiście zdarzają się wyjątki. Czy mogę poprosić o jeszcze jedną lampkę wina?

- Jasne. - Harriet podniosła się, sięgając przez stół po kieliszek Julii. - Teraz dostaniesz czerwone bułgarskie, innego nie mam. A przy okazji, czy możesz pić? - Poszła do małej kuchenki, zbierając po drodze porzucane stare czasopisma i zabawki.

- Daj spokój, Harriet. Wierz mi, jeśli zajdę w ciążę, nie tknę nawet kropli alkoholu, ale teraz powiedzieli, że wszystko, co mnie odpręży, jest dla mnie dobre.

-W takim razie w porządku. Powiedz jeszcze, skąd się wzięła u ciebie ta choroba?

- Tego nie stwierdzili. - Julia rozparła się na krześle i rozejrzała po wygodnym, przestronnym saloniku. Mieszkanie Harriet mieszczące się na drugim piętrze w Pimlico zawsze było miejscem, w którym można się było schronić, mimo boleśnie kłującej w serce obecności malutkich, a potem trochę starszych dzieci. - Gdzie maluchy? - zapytała.

- Piotr zabrał je na weekend. Dziś pewnie pojedą do Chessington. Ta okropna Laura oczywiście uwielbia szybką jazdę. No i będzie ją miała. Kolejny punkt dla niej. -Głos Harriet dobiegał z kuchni i Julia pomyślała, że nie pasuje do niej ta nuta goryczy. Jej ton zawsze się zmieniał, kiedy wspominała eksmałżonka czy jego nową miłość. Przypominało to Julii wczesne szkolne lata, kiedy jej szy-derczość i tyrania robiły takie wrażenie, że wszystkie dziewczyny chciały należeć do jej gangu. Dopiero po dwóch czy trzech semestrach, odkąd zaczęły się przyjaźnić, Julia poznała jej drugie, łagodniejsze oblicze. Harriet czasami porzucała zwykłą szkolną szorstkość, co dość szybko zaczęło dominować w jej stosunkach z Julią. To właśnie do Harriet Julia zawsze zwracała się po radę, a koleżanka otaczała ją opieką, używając swej przewagi jak skrzydeł - nigdy agresywnie. To Harriet pierwsza zauważyła, że dzieje się coś niedobrego, kiedy zobaczyła chudą jak szkielet Julię rozbierającą się w sypialni. To ona zwróciła uwagę na jedzenie, upychane po kieszeniach, słyszała charczące odgłosy, dobiegające w nocy z toalety. Była zbyt młoda, aby móc zrozumieć, co się właściwie dzieje. Szybko jednak pojęła, że przyjaciółka potrzebuje pomocy; działo się z nią coś niebezpiecznego, powoli zmieniając ją nie tylko fizycznie, ale i psychicznie.

Dziewczęta pozostały przyjaciółkami mimo ukończenia szkoły. Pomiedzy Paryżem, w którym Harriet kończyła ciekawy, choć mało praktyczny kurs sztuk pięknych, a uniwersyteckim mieszkaniem Julii w Exeter nie kończącym się strumieniem płynęły długie listy. Przeważały tematy kolejnych miłości, pełne szczegółów opisy konkurentów, ich zalety i zdolności od naprawiania elektroniki począwszy, a kończąc na uprawianiu seksu. Ale kiedy Harriet spotkała Piotra w jakiejś kafejce niedaleko Luwru, ton listów uległ

zmianie. Julia weszła wielką miłość. Parę lat później pobrali się w Londynie, a szorstka i wiecznie niezadowolona dziewczyna zamieniła się w szczęśliwą i wspaniałą kobietę.

Julia po cichu zazdrościła Harriet całkowitego oddania się miłości. Piotr stał się jej całym światem, a to, jak bardzo była w niego wpatrzona, co najmniej zdumiewało. Tak, taką miłość przeżywa się raz w życiu, myślała Julia. Jej własne uczucia do Michała przez porównanie wydawały się blade. Czasami nawet stwierdzała, że to, co do niego czuje, nie jest wcale miłością, ale sympatią i przyjaźnią, która, doprawiona namiętnością, wydawała się głębsza i ważniejsza, niż była w rzeczywistości. Jednak po telefonie, jaki odebrała od Hattie pewnego wieczoru, kiedy smutnym głosem mówiła o niewierności Piotra i beznadziei, jaką tchnęła przyszłość bez niego, Julia stwierdziła w duchu, że w parze z taką miłością zawsze idzie cierpienie.

Sama miała nadzieję nigdy go nie doświadczyć.

Julia zostawiła samochód na uboczu publicznego parkingu przy Streatham. Wyjęła z samochodu dużą, brązową torbę oraz koszyk na zakupy z cenną zawartością, śpiącą dzięki Bogu spokojnie. Było prawie ciemno. Szła pośpiesznie do celu, podświadomie unikając miejsc oświetlonych ulicznymi latarniami. Szczęśliwym trafem kilka tygodni temu odkryła na wpół opuszczony dom na Andover Road. Wracając z zakupów zatopiona w myślach, skrzyła nie tam, gdzie powinna; klucząc coraz bardziej zapuszczała się w nieznane okolice. W końcu przycupnęła przy krawężniku i wyjęła plan miasta, ale nie zdało się to na nic. Zajęta myślami znów się zgubiła. Przyglądając się rzędowi opuszczonych willi niespodziewanie znalazła rozwiązanie. Wtedy właśnie zaczęła układać ten przerażający plan.

Teraz wreszcie tu dotarła. Miała dziecko i wkrótce wszystko samo się ułoży. Kiedy będzie już gotowa, wezwie Antoniego. Musi przyjść.

Upewniła się, że nikt jej nie widział, i przemknęła ścieżką koło domu.

Popchnęła połamane drzwi i po schodach weszła na pierwsze piętro. Gdy znalazła się w obszernym pokoju, rzuciła na podłogę koc,

który przyniosła w torbie, delikatnie wyjęła dziecko z kosza i położyła je na kraciastej tkaninie. Malec westchnął przez sen, ale się nie obudził. Śnił pewnie o jedzeniu, o wygodnych objęciach matki i strumieniu ciepłego, słodkiego mleka. Jego mózg wypełniały na razie jedynie pragnienia, doznania, emocje i obrazy, a wspomnienia nie miały więcej niż kilka miesięcy.

Julia rozpięła niemowlęcy kombinezon i ostrożnie rozebrała dziecko. Rozwinęła pieluszkę i wyjęła ją spod niego, mimowolnie krzywiąc się na silną woń amoniaku. Mały wierzgnął i zakwilił. Gdy patrzyła na jego nagie ciało, oświetlone nikłym blaskiem ulicznych latarni, poczuła, że po policzkach spływają jej łzy. Pochyliła głowę i ucałowała okrągły brzusek, po czym przytuliła do niego policzek. Chciała poczuć tę żywą i ciepłą delikatność.

- Och, moje maleńkie kochanie. Najśłodsze maleństwo. Moje kochane dzieciątko.

Uniosła głowę i znów na niego popatrzyła. W miejscu, gdzie jej mokry policzek dotykał skóry, widoczna była wilgotna smuga. Nagle zaczęła się bać. Szybko wstała, zdjęła blezer i przykryła nim dziecko. Przestraszyła się, że zmarzło, ale spało spokojnie. Głęboką ciszę, przerywaną jego westchnieniami, z rzadka zakłócał dźwięk samochodów, przejeżdżających małą uliczką. Kiedy pojazdy znikają za rogiem, ich światła odbijały się od ścian i sufitu pokoju. Biały blask i hałas silników wdzierały się w tę milczącą scenę, niepokojąc Julię, ale za każdym razem, gdy znów zapadała cisza i ciemność, czuła się coraz bardziej przestraszona. Nigdy przedtem nie była w tym pokoju, ale zakładała, że jest pusty. Czym były majaczące w kątach przedmioty?

- O Boże, żeby już przyszedł. Żeby przyszedł! - wyszeptała. Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach. - Cholera, czy mu powiedziałam? Chyba powiedziałam, prawda? Skup się, Julio, przypomnij sobie. Jeśli tylko mu powiedziałaś, przyjdzie.

Nadal trzymała ręce przy twarzy, czując ich ciepło i ostry zapach dziecięcego moczu. Naraz, klęcząc z zamkniętymi oczami i zasłoniętą twarzą przy małym, coś usłyszała. Nie odwracając głowy, otworzyła oczy i spoglądając

przez palce, powstrzymała oddech. Znowu. Cichy szmer, gdzieś za nią. Z obawy przed tym, co może zobaczyć, nawet nie drgnęła, zamieniając się w słuch. Żołądek skurczył się jej w panice. Nic. Tylko jej własny oddech, który starała się tłumić, aby nie było go słychać, oraz cichutkie posapy-wanie dziecka.

* * *

I znowu - tym razem głośniejsze - szelest i odgłos kroków, coraz bliżej niej. Odwróciła się i odjęła ręce od twarzy. Z mroku wyłoniła się duża postać mężczyzny. W tym samym momencie Julia otworzyła usta do krzyku.

Rozdział 4

Kiedy profesor Hewlett zasugerował zapłodnienie in vitro, Michał i Julia byli kompletnie zaskoczeni. O dzieciach z probówki czytali jedynie w gazetach. Tak jak katastrofy samolotów i wygrane na loterii dotyczyły innych, a jako sprzeczne z prawami natury były może nawet trudniejsze do zaakceptowania. Po przejściu wszystkich testów i badań znowu siedzieli w przestronnym gabinecie. Julia za wszelką cenę starała się skupić. Nie udawało się to jej, gdy po raz kolejny słuchała wykładu na temat stanu jej jajników oraz problemów hormonalnych, jakości komórek jajowych i poziomu takich czy innych substancji, aż do momentu, kiedy pod koniec wizyty padły słowa „zapłodnienie in vitro”. Choć wydawało się, że mają możliwość wyboru, a profesor roztaczał przed nimi perspektywy świadomego i aktywnego podejmowania decyzji, Julia zrozumiała, iż nieubłaganie zmierzają w kierunku tej szczególnej terapii. Jeśli poza przytakiwaniem nie zrobią nic i będą tak godzić się na wszystko, obudzą się na jakimś niezwykle wysokim kursie. Z pewnością taki był kolejny krok.

- W dziedzinie zapłodnienia pozaustrojowego w takich przypadkach jak państwa mamy niezaprzeczone sukcesy. Trzydzieści pięć lat to odpowiedni wiek, aby się poddać takiemu leczeniu. Po trzydziestym ósmym, dziewiątym roku życia komórki jajowe mają coraz gorszą jakość. Jak zapewne państwo słyszeli, odnieśliśmy wiele sukcesów u starszych kobiet, ba, nawet po czterdziestce. Im wcześniej jednak zaczniecie, tym większe macie szanse. Sugerowałbym,

aby z pani jajnikami nie poddawać się laseroterapii ani diatermii - moim zdaniem byłaby to strata czasu. Są inne metody zapładniania in vitro. Będziemy musieli bardzo uważać, bo istnieje duże ryzyko nadwerżenia jajników, które są przecież chore, ale mamy naprawdę duże doświadczenie w leczeniu takich przypadków jak pani i jestem szczęśliwy, mogąc pani pomóc w ten sam sposób. Będą państwo pewnie chcieli porozmawiać o tym w cztery oczy, no i może uciąć sobie pogawędkę ze swoim lekarzem domowym, ale wydaje mi się, że jest to najlepsze wyjście... Poproszę Sally, żeby dała państwu kilka ulotek. Oczywiście rozumiem, że trzeba rozważyć również stronę finansową.

Coś łaskotało Julię w okolicy żołądka. Zastanawiała się nad tym dziwnym, ekscytującym uczuciem. Kiedy Hewlett przerwał swój wywód i spojrzał na nią, wiedziała, że powinna zadać całe mnóstwo inteligentnych pytań. Była jednak zajęta badaniem najgłębszych pokładów swojej duszy. Uśmiechnęła się do siebie; tak, wiedziała. Oto po długim czasie zaświtała w jej sercu prawie zapomniana nadzieja.

Domyślając się, że wizyta dobiegła końca, schyliła się po torebkę leżącą na podłodze obok krzesła. Na twarz opadły jej włosy, które prostując się, odgarnęła.

- Chyba nie musimy rozmawiać o pieniądzach, prawda Michale? Chcę zacząć jak najszybciej.

Michał przytaknął.

- Zgadza się całkowicie. Nie znaczy to oczywiście, że jest nam wszystko jedno w tej kwestii, ale sam pan rozumie, że ta sprawa jest dla nas ważniejsza niż cokolwiek innego. Najwyżej sprzedamy wszystko, co mamy.

-Miejmy nadzieję, że nie będzie to konieczne -uśmiechnął się profesor, wstając zza biurka. - Ważne, aby państwo dobrze zrozumieli, o co chodzi, i nie mieli do siebie nawzajem pretensji. A teraz proszę pozwolić, że zajmie się wami Sally. Zobaczymy, od czego mamy zacząć.

Wracali do samochodu w milczeniu, zatopieni we własnych rozmyślaniach, lecz świadomi, że dotyczą one tego samego. Michał objął Julię ramieniem, a ona przytuliła się do niego. Szli najpierw ulicą Weymouth, potem skręcili w Wimpole. Błękitny rover stał sobie spokojnie przy parko-

macie. Julia patrzyła na Michała, który stojąc po przeciwnej stronie samochodu, wyciągnął kluczyki i nacisnął przycisk na małym, czarnym pilocie. Nic się nie wydarzyło. Nacisnął ponownie, potem jeszcze raz, wreszcie, w nadziei, że znajdzie przyczynę, delikatnie potrząsnął urządzeniem. Julia oparła ręce na masce.

- Co o tym myślisz, kochanie?

- To ta cholerna bateria, to...

- Co? Nie, nie o to mi chodziło...

- Och, rozumiem! Oczywiście, przepraszam cię. - Przestał naciskać i spojrzał na nią. - Uważam, że powinniśmy to zrobić. Myślę, że to działa.

- Ja też.

Nacisnął znowu. Zamki odskoczyły z przenikliwym kliknięciem.

** *

Po tygodniu używania specjalnego sprayu do nosa, zawierającego substancję, jak jej wyjaśniono, „blokującą cykl”, Julia zaczęła przyjmować zastrzyki, które miały stymulować jajniki. Terapia zaczynała się od gromadzenia komórek jajowych. Mogła chodzić na zastrzyki do lekarza rodzinnego, nauczyć Michała, aby sam je robił, albo codziennie jeździć do kliniki. Wybrała to ostatnie. Cieszyła się, że każdego dnia robi coś ważnego, poza tym nie mogła sobie odmówić przyjemności rozmawiania z pielęgniarkami. Zawsze z zadowoleniem i cierpliwością odpowiadały na każde zadane pytanie i gotowe były dyskutować z nią o wzruszających tematach ciąży i rodzenia tak długo, jak tylko chciała. Jeździła tam o ósmej trzydzieści, przed pracą. Spotykała inne kobiety, które próbowały już trzeci czy czwarty raz, i momentami czuła lęk, że i ją czeka rok albo dwa, podczas których będzie coraz starsza i bardziej zrozpaczona, nieubłagane zbliżając się do czterdziestki, z coraz mniejszą nadzieją na powodzenie. Mimo to było jej przyjemnie, ponieważ czuła, że kobiety poddające się leczeniu ją rozumieją.

Dzień w dzień gościła w małym, przedzielonym parawanem gabinecie. Szybko zapamiętała poszczególne etapy rytuału. Po złamaniu górnej części szklanej ampułki przeje-

rzysty płyn znajdujący się w środku wsysała strzykawka, z której z kolei wpuszczano go do drugiej ampułki, wypełnionej białym proszkiem. Tam obie substancje stopniowo się mieszały, a kiedy proces ten dobiegał końca, strzykawka z nową igłą nabierała ciecz do środka. Czuła ukłucie w pośladek i magiczny specyfik powoli wpychał się w oczekujący go mięsień. Po kilku minutach odpoczynku szła do biura, myśląc o cudownym leku, który bezszelestnie pracował wewnątrz jej ciała, czyniąc marzenie o dziecku coraz bardziej realnym. Z upływem dni Julia czuła się coraz bardziej wypełniona, jakby wewnątrz niej rosły wielkie worki pełne komórek jajowych.

-Jestem jak kura, Hattie. Gdybym tylko mogła wziąć jedną z nich i wsadzić do któregoś z moich inkubatorów.

- Skąd będą wiedzieć, że jesteś gotowa?

- Chodzi ci o to, kiedy dojrzeją?

Jedynie z Hattie mogła tak lekko rozmawiać o najważniejszej w swoim życiu sprawie. Z Michałem dyskusja na ten temat musiała się odbywać z pełną czcią, całkowicie poważnie. Obiad z przyjaciółką, w ich ulubionym lokalu w Kensington, przynosił jej ulgę. Śmiały się nad talerzami z lasagne, plotkując o komórkach jajowych i dzieciach, jakby to były rozmowy o pogodzie czy rządzie - no, może trochę ciekawsze.

- Zaglądamy mi tam co kilka dni, aby zobaczyć, jak się mają. Ach, ten obślizgły przyrząd. Właściwie już się przyzwyczyłam.

- A Michał?

- Och, czuje się dobrze. Ma już dosyć tego wszystkiego, rzecz jasna.

Myśli, że nie widzę, jak go rozsadza. Szczerze mówiąc, czasem mnie to drażni.

- Julia pochyliła się nad stołem, przykrytym różowym obrusem.

- Nie chodzi mi o to, że powinien coś zrobić, ale niech zwyczajnie czeka.

W końcu to ja się czuję jak mechaniczna kura, nie on. To nie jemu cały czas wsadzają to urządzenie.

-Nie przesadzaj. - Harriet uniosła brwi. - Zapewniam cię, że niektórym z nas to musi wystarczyć.

- O nie, bez przesady! To najmniej przyjemne doświadczenie, jakie kiedykolwiek mnie spotkało. Nawet ty nie znalazłabyś w tym nic wspólnego z seksem. Ciesz się, że sama zaszłaś w ciążę w normalny sposób. Jeśli chodzi o mnie i Michała, nie byliśmy w łóżku od kilku tygodni. Dziwne, kiedyś tyle razy musieliśmy uważać, no wiesz, używać prezerwatyw i tak dalej, a teraz, kiedy nie musimy, nawet nam się nie chce kochać.

- Hmm, no tak. - Harriet wypła kolejny łyk wina. Nie pokazała po sobie, że jak zwykle w takich chwilach przypomniła sobie o Piotrze. Zadzwoił do niej wczoraj wieczorem, żeby porozmawiać o szkolnych problemach Adama. Słyszała włączony telewizor, a wyobraźnia z uporem podsuwała jej obraz Lauren, która na pewno oglądała wtedy wieczorne wiadomości, wyciągając na sofie te swoje strasznie długie nogi. Wlepiała w ekran duże oczy obramowane firanką rzęs i nadstawiła różowych uszek, aby podsłuchać, jak jej kochanek dyskutuje przez telefon ze swoją starą, rumpłowatą, obwisłą żoną.

* * *

Profesor Hewlett studiował ostatni wynik badania Julii i na koniec obdarzył ją uśmiechem.

- No cóż, proszę pani, jesteśmy gotowi.

Jakie to dziwne, pomyślała Julia bezradnie. Ten mężczyzna zna mnie na wylot i nadal nie uważa za właściwe mówić mi po imieniu.

- Jak to dobrze. Więc kiedy mam...

- Już wszystko mówię. Wyznaczam państwu wizytę na jutro rano. Proszę przyjść razem. Dostanie pani niewielką ilość środka znieczulającego, który na chwilę panią uśpi. Pobierzemy od pani tak dużo komórek jajowych, jak się da, a następnie połączymy je z nasieniem pani męża. Reszty dokona natura. To bardzo krótki zabieg, po obudzeniu i filiżance herbaty będzie się pani czuła całkowicie normalnie.

Rozdział 5

Był wyjątkowo piękny, październikowy dzień. Krótki, poranny deszcz obmył niebo, a kiedy jechali taksówką wzdłuż Hyde Parku, słońce złociło swym blaskiem kilka ostatnich mokrych liści, wiszących jeszcze na drzewach. Julia, starannie uczesana i umalowana, miała na sobie kremowy sweterek i brązową garsonkę, która podkreślała złocisty kolor włosów i harmonizowała z jesiennymi kolorami przyrody. Michał popatrzył na nią i pomyślał, że bardzo ładnie wygląda. Drobne zmarszczki, które zaczęły się rysować wokół jej oczu i ust, dodawały urody, ale i wyrazu troski jej twarzy. Miał wielką ochotę zatrzymać samochód, wziąć ją w ramiona i tulić tak długo, dopóki nie zniknie z niej cały smutek i stanie się na powrót beztroską, młodą dziewczyną, taką samą jak wtedy, kiedy ją pierwszy raz zobaczył.

On sam także czuł się nieswojo. Włożył nawet swój najlepszy garnitur i krawat w niebieski wzorek, który dostał od Julii na ostatnią gwiazdkę - jakby wytworny wygląd mógł jakoś umilić czekające go wrażenia. Nie chcieli brać samochodu. Nie wiedzieli, jak długo im zejdzie, a poza tym trudno było liczyć, że o tej porze znajdą miejsce na parkingu. Z taksówki wysiedli na rogu Wimpole i Weymouth. Do kliniki zostało im parę kroków. Chociaż po wielu wizytach Julia dobrze знаła ten budynek, dzisiaj wydał jej się inny - trochę jakby przerażający. Do fizycznego dyskomfortu doszło więc jeszcze poczucie niepokoju. Brzuch miała tak wypełniony jak nigdy dotąd. Zwykle płaski, teraz z góry wydawał się rozdęty i trochę się go wstydzi-

ła. Za ciężarem w łonie tęskniła bardziej niż za czymkolwiek na świecie, ten jednak był pozorny. Świadomość tego, że nie nosi w sobie dziecka, ale sztucznie wytworzone komórki jajowe, stawała się nie do zniesienia. Po drodze przyłapała się na liczeniu wózków i ciężarnych kobiet, które mijali. Zawsze to robiła. Świat wydawał się jej zaludniony szczęśliwie brzemiennymi niewiastami. Mogła przysiąc, że kiedy patrzyła na nie przez okno taksówki, śmiały się do niej szyderczo, jakby należały do ekskluzywnego klubu -dostępnego dla wszystkich, z wyjątkiem niej samej.

- Proszę ze mną, proszę pani. Wielki dzień dziś mamy, prawda? - Julia ucieszyła się, widząc przy drzwiach przyjazną twarz Janet. Ta miła Irlandka była jej ulubioną pielęgniarką. Jak to dobrze, że dziś ma dyżur! - Zajmę się panią, kochaniutka, a pan, panie Evans, pójdzie na górę i tam dopełni obowiązku.

Julia zniknęła, a Michał poszedł na piętro do pomieszczenia, w którym miał oddać nasienie. Ten mały, dziwaczny pokoik nie był mu obcy - od pierwszej wizyty musiał tu przychodzić, aby oddać próbkę na badania - ale dzisiaj patrzył na niego inaczej. Co innego wytrysk dla celów diagnostycznych, a co innego poczęcie własnego dziecka! Ciężała na nim odpowiedzialność, a na myśl o ewentualnym niepowodzeniu robiło mu się niedobrze.

Julia także była spięta. Zdjęła już brązową garsonkę i wkładała dziwny, bawełniany fartuch, zapinany na plecach. Jej Irlandka zniknęła, widocznie obsługując kogoś innego, a pojawiła się inna, młoda pielęgniarka, której Julia dotąd nie знаła. Pomogła jej zawiązać tasiemki z tyłu. Niepokój Julii spotęgowało jeszcze poczucie braku opieki i bezsilności. Może dlatego każą nam wkładać te dziwne ubrania, pomyślała gorzko, żeby człowiek nie mógł się nawet sam ubrać i żeby wiedział, że jest w ich rękach.

- Gotowe, proszę pani - powiedziała wesoło, lecz serdecznie pielęgniarka - może pani iść do doktora Northfielda, który dzisiaj się panią zajmie. Proszę jeszcze włożyć te bawełniane majtki. Już? Zaprowadzę panią. Pomieszczenie, w którym się znalazła, wyglądało raczej jak biuro niż sala operacyjna. Znajdowało się na parterze

i miało zaledwie około czternastu metrów kwadratowych powierzchni. W oknach wisiały szare, weneckie zasłony, a czarne, regulowane łóżko przypominało Julii fotel dentystyczny. Na stoliku stały dwa monitory, a obok nich duża, szklana skrzynka z próbkami. Łóżko przysłaniał parawan. Jedynym znakiem szczególnym, wskazującym na prawdziwe przeznaczenie tego pokoju, była przyczepiona w nogach łóżka para metalowych podpórek, z których zwisały dwie skórzane pętle. Julia oczyma wyobraźni ujrzała własne ciało, rozciągnięte na tym fotelu z rozsuniętymi nogami i stopami zawieszonymi na pętlach, a z jego wnętrza wyciągane na sznurku komórki jajowe - zupełnie jak chustki z kapelusza magika. Wzdrygnęła się. Pielęgniarka położyła już na fotelu duże prześcieradło i kazała jej na nim usiąść. Na razie nogi Julii pozostały na dole. Trzymała je razem kurczowo i wstydliwie.

- Jestem trochę zdenerwowana. Nie mam doświadczenia w tych sprawach.

-Wszystko będzie dobrze, proszę pani - pocieszyła ją siostra, nadając swemu głosowi uspokajające, matczyne brzmienie. Była od Julii niemal o połowę młodsza, ale strój i fachowy wygląd sprawiały, że £ rzy swojej zdenerwowanej podopiecznej to ona wyglądała na bardziej dojrzałą. - To normalne, że się pani przejmuje, ale nie ma czym. Anestezjolog zaraz tu przyjdzie i wszystko pani wyjaśni; oni się na tym znają, proszę mi wierzyć, dostanie pani słaby środek usypiający, a kiedy się pani obudzi, będzie już po wszystkim. Zaparzę dobrą herbatę, będzie na panią czekała.

-Owinęła czarną taśmę ciśnieniomierza wokół przedramienia Julii. Na tym rozmowa się urwała; pielęgniarka włożyła do uszu słuchawki i zaczęła pompować powietrze.

Julia położyła głowę na łóżku i wzięła głęboki wdech. Próbowwała się uspokoić. Nagle zdała sobie sprawę, jak nadzwyczajna była ta cała sytuacja. Jej mąż był gdzieś na górze, pozostawiony sam sobie, ona tu, na dole, w sali operacyjnej, otoczona dziwnymi przyrządami. Przez następne kilka minut będą musieli wydobyć ze swych ciał dwie małe ampułki płynów, które na zawsze odmienia ich życie.

Doktor Northfield był bardzo młodym i atrakcyjnym brunetem. W błękitnym uniformie z krótkim rękawem wyglądał raczej jak lekarz z amerykańskich seriali niż z małej kliniki na Harley. Miał owłosione, opalone ramiona. Julia zaczęła marzyć: oto w przyszłości ręce jej syna - takie same jak te - będą nosić zakupy, obejmować ją, a pewnego dnia nianńczyć jej małego wnuka.

Z marzeń na jawie wyrwał ją zaskakująco niski głos.

- Witam panią. Nazywam się Antoni Northfield i to ja dzisiaj pobiorę pani komórki jajowe. To doktor Chang, embriolog - dopiero teraz Julia zauważyła za plecami Northfielda niskiego mężczyznę o wschodniej urodzie, ubranego w biały fartuch. Ukłonił się jej i usiadł przy stole, na którym stał mikroskop, kilka próbek i monitory.

Dr Northfield podszedł do Julii.

- Mam tu kilka urządzeń, które chciałbym pani podłączyć, jeśli pani pozwoli. Proszę się wygodnie położyć, a my zrobimy wszystko, aby się pani dobrze czuła. W porządku?

Uśmiechnął się do niej zachęcająco. Posłuchała. Wziął do ręki przyrząd, który wyglądał jak mała obręczka z przymocowanym do niej przewodem, i włożył jej go na palec. - Dzięki temu będziemy mieć oko na poziom tlenu we krwi. Proszę, jakie mamy mądre przyrządy!

Zakładaniu aparatu do pomiaru ciśnienia towarzyszył kolejny chłopięcy uśmiech. Następnie Northfield usiadł z założonymi rękami na plastikowym taborecie.

- Gotowe. Teraz poczekamy na wielkiego człowieka. Julia domyśliła się, że chodzi o profesora Hewletta. Z jej trzewi wydobyło się nieprzyjemne burczenie, spowodowane paniką, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Myśląc o tym, co się za chwilę stanie, Julia mimowolnie westchnęła.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - spytała pielęgniarka, pochylając się nad nią i uspokajającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

- Tak, tak, oczywiście. Przepraszam, po prostu nie czuję się zbyt pewnie - odparła Julia.

Zarówno doktor, jak i siostra mieli na sobie zielone buty. Wyobraziła sobie, jak brodzą po kostki we krwi. Musiała potrząsnąć głową, aby pozbyć się tej wizji.

- Będzie dobrze - uśmiechnęła się pielęgniarka.
- Nie ma się czym przejmować - dodał doktor. - Zanim się pani obejrzy, już będzie po wszystkim. Ot, krótka drzemka. My zatroszczymy się o resztę - uśmiechnął się.

Julia poczuła się odrobinę spokojniejsza.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł siwowłosy mężczyzna, odziany w niebieski uniform z krótkimi rękawami -taki sam, jaki miał na sobie doktor Northfield. Jednak wielka, stateczna postać nie miała w sobie nic z bohatera telewizyjnych seriali. Ubranie było pomięte i znoszone. Materiał ciasno opinał wydatny brzuch, a modny fason przy dziwaczych okularach o kształcie półksiężyca oraz artystycznie rozczochranych włosach pozostawał nie zauważony. To musiał być ten „wielki człowiek”, jak instynktownie wyczuła Julia - nikt inny nie mógłby sobie pozwolić na taką niedbałość i ekscentryzm, nie mając odpowiednio ważnej pozycji.

- No to jedziemy!

Ta krótka wypowiedź była zarazem jowialna i pompatyczna. Julia poczuła przyływ niechęci.

-Mamy tu jakieś dobre żyły? - pochylił się i ujął jej dłoń.

- A oto i nasz anestezyjolog, doktor Andrews. Proszę się nim nie przejmować - warczy, ale nie gryzie.

Julia z wdzięcznością przyjęła tę uwagę. Gotowa była powstrzymać się od wydawania sądów na temat szpakowatego dziwaka, który przez ten czas obmacywał jej rękę w poszukiwaniu żył. Może nawet go polubi.

- Chyba jestem dość nerwowa - powiedziała nie pytana.

- O tak, skarbeczku, to widać. - Siwa głowa, podobna do miotły, w którą strzelił piorun, przysunęła się bliżej. Na ramieniu poczuła silny, krzepiący uścisk. - Nic się nie bój, za chwilę zaśniesz jak dziecko. Za to po obudzeniu będziesz świeża jak skowronek, gwarantuję. O taak, dobrze, co my tu mamy? Teraz tylko drobne ukłucie, już dobrze, dobrze. Siostró, proszę mi podać cewkę. Dziękuję. A teraz proszę zakasać, o tak, w porządku. I jeszcze raz.

-Przepraszam, nie jestem dobrą pacjentką, ja...auu! -Julia aż podskoczyła. Jej ramię przeszył ostry ból.

- Spokojnie, spokojnie. Jest pani w sam raz. Gotowe, skończyliśmy. Niech się pani nie rusza, bo znowu wypadnie.

- Proszę pamiętać, że to anestezjolog panią kaleczył, nie ginekolog! - zawołał z przeciwnej strony pokoju doktor Northfield. Wydał się Julii śmieszniejszy niż kiedykolwiek. Teraz, gdy jej zdrowie i przyszłe szczęście leżało w ich rękach, była wdzięczna za każdy przejaw zainteresowania ze strony ubranych na niebiesko lekarzy; nawet jeśli przybierało formę protekcyjnego, sztubackiego humoru, który w innej niż ta sytuacji uważałaby za dziecinny i mało zabawny.

- Kroplówka podłączona. - Kiedy doktor Andrews mówił do siebie, był spokojniejszy i nie tak jowialny. - Tętno tylko sześćdziesiąt sześć na minutę, Antoni. Dobrze, moja droga. - Znow ten żartobliwy ton. - Teraz ci wstrzyknę to świństwo. Działa bardzo szybko. Myśl o czymś przyjemnym, może o mężu? No daj spokój, nie bój się! - Kątem oka Julia dostrzegła dużą strzykawkę, której tłoczek powoli przesunął się w dół. - Trzeba ci tego całkiem sporo, jeśli się nie mylę - dodał, widząc, jak nerwowo drżą jej nogi. Po chwili znieruchomiały.

Atmosfera w gabinecie uległa zmianie. Teraz, kiedy uszpono świadomość Julii, wszystko zaczęło się dziać o wiele szybciej.

- Tlen spada. Za wolno oddycha, podkręćmy ją trochę. Już lepiej. Dobrze, jest twoja, Antoni.

Z pomocą pielęgniarki Northfield uniósł nogi Julii i umieścił je w skórzanych pętłach. Odsunął do góry jej fartuch, przystawił bliżej niski taboret i usiadł pomiędzy nogami pacjentki. Następnie wsunął do pochwy wziernik (czyli oślizgły penis, o którym Julia opowiadała Harriet), którym rozpoczął poszukiwania dojrzałych pęcherzyków. Swoje poczynania śledził na ekranie monitora. Natknąwszy się na ciemny kształt, ostrożnie zbliżył do niego sondę z pompką. Kiedy przyrząd dotarł do celu, zawartość pęcherzyka została wessana do próbówki, która następnie powędrowała do embriologa, mającego sprawdzić pod mikroskopem, czy zawiera oczekiwane komórki jajowe. Kiedy

Antoni kontynuował poszukiwania, ta część jego mózgu, która nie rozpamiętywała wczorajszego meczu w Sky Sports, w skupieniu oczekiwała na mającą nadejść wiadomość.

- Jajo! - głos doktora Changa był wyraźny, a informacja jednoznaczna, zupełnie jakby ogłaszał ją na giełdzie papierów wartościowych.

- Dobrze - odparł Antoni, obserwując ekran. Po chwili znowu:

- Jajo!

Rozdział 6

Udało się.

Michał z dumą patrzył na dowód swojej męskości, znajdujący się wewnątrz fiolki. Poprawił ubranie, zapiał suwak od spodni i zadzwonił po pielęgniarkę. Czekał, aż przyjdzie i odbierze mu jego potencjalnego potomka, który zapewne pływał sobie energicznie w swoim domowym zaciszu, usiadł wyczerpany. Pozbywszy się z głowy fantazji, dzięki którym zdołał osiągnąć orgazm, stwierdził, że gapi się bezmyślnie na okładki czasopism, będących przedtem źródłem koniecznej podniety. Nachylił się, aby je poukładać, bezwiednie zasłaniając te najbardziej wyuzdane, po czym uśmiechnął się do siebie przyłapawszy się na tym. Co chowa i przed kim? Przecież ten pokój istniał tylko w jednym, ściśle określonym celu. I tak nie zdoła ukryć, co robił za zamkniętymi drzwiami. Przypomniawszy sobie lata wczesnej młodości, jak wałęsał się w pobliżu apteki, czerwony ze wstydu i podniecenia, chcąc wejść do środka i kupić paczkę prezerwatyw. Kiedy wreszcie się zdecydował, zdziwiła go rzeczowa reakcja ubranego na biało aptekarza.

Teraz chłopaki mają łatwiej - pomyślał. - W garażach i toaletach stoją automaty.

- Nie doceniają tego - stwierdził półgłosem. - Niech spróbują je kupić jak prawdziwi mężczyźni, zamiast iść na łatwiznę! - Uśmiechnął się i westchnął.

Do jego uszu dobiegły niespokojne, lecz dobrze znane odgłosy szpitalnego korytarza. Szeleszczące fartuchy sunące z cicha, jakiś inwalidzki wózek, wiozący swego pasażera i

do jednego z niezliczonych pokoi, położonych w tej części budynku. Dziwne, że każdy głos, jaki słyszał, pochodził z ciała, które zaistniało na skutek spotkania plemnika i komórki jajowej. Czy z jego synem będzie tak samo? Czy zaaranżowana w probówce randka nasienia z jajem zaowocuje narodzinami ludzkiej istoty tak samo doskonałej jak te poczęte z okrzykiem rozkoszy w ciepłe matczyne łono?

Popatrzył w okno. Zasłonki były odsunięte i widać było czyste niebo. Ze swojego miejsca mógł dostrzec jedynie wierzchołki drzew. Gdyby zignorował hałas ulicy i trzaskających drzwi, mógłby sobie wyobrazić, że leży w swoim łóżku, w domu, i właśnie zakończył bezpłodny, choć satysfakcjonujący seks. Ogarnął go smętny nastrój, jaki zwykle pojawia się po masturbacji. Na myśl o absurdalności tego wszystkiego roześmiał się głośno: czy powinien przed zaśnięciem wyszeptać do swej szklanej partnerki kilka słodkich, choć nic nie znaczących słówek?

Rozległo się krótkie pukanie i otworzyły się drzwi, w których ukazała się uśmiechnięta twarz ciemnowłosego, młodego mężczyzny.

- Dzień dobry, panie Evans, jestem Antoni Northfield, jeden z tutejszych ginekologów. Pobierałem pańskiej żonie komórki jajowe. Mam dla pana dobre wieści: udało się nam wydostać pięć, z których trzy są w doskonałym stanie. W samą porę, co?

Na widok fiolki, którą Michał trzymał w ręku, uśmiechnął się komicznie, z męskim zrozumieniem - tak jakby solidarnie przyznawał się do tego, że sam spędza rozpaczliwe godziny nad świerszczykami i ma te same problemy.

- O tak, istotnie - mruknął Michał. Nie mógł się zdecydować, czy stojąc przed tym młodym, dowcipnym lekarzem powinien się wstydzić czy raczej być dumny.

Jakże młodo i świeżo wygląda - pomyślał - tak beztrosko i czysto. Założę się, że nie załatwia tych spraw sam, do tego w ciemnym pokoju. Swoje dziecko spłodzi po bożemu, zwyczajnie, rach-ciach. Kilka szybkich ruchów. Sperma popłynie, komórki jajowe wyjdą im na spotkanie, pierś zafaluje i w jakimś młodym, płaskim brzuszku zawita jego własny, niesforny i naturalny bobas.

Później Michał wspominał to pierwsze spotkanie z Antonim Northfieldem z czymś w rodzaju fascynacji. Z perspektywy kilku trudnych miesięcy, które potem nastąpiły, niełatwo było mu wierzyć, że zupełnie nic nie wyczuł. Coś powinno go ostrzec, jakiś męski radar. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Oddał fiolkę i wstał. Wiedział, że ma pogniecione spodnie i potargane włosy. Śmieszne, że gdy ma się dwadzieścia pięć lat, potargane włosy dodają uroku, a po czterdziestce jedynie odsłaniają łysinę - pomyślał. Julia stwierdziła, że nie da rady włożyć swoich butów od Wellingtona. Tak bardzo spuchły jej stopy w ciągu ostatnich kilku minut. Rzuciła więc jednym w Michała.

- No już - usłyszała w uchu łagodny głos. - Już po wszystkim.

Otworzyła oczy. Mamrotała coś nieprzytomnie, a jej umysł po dziwnym, nie wiadomo jak długim śnie powoli wracał do rzeczywistości.

Stwierdziła, że osobą, która do niej mówi, nie jest Michał, lecz anestezjolog. Usiadła szybko, zakłopotana.

- Ostrożnie - powiedziała groźnie siwowłosa głowa, a włochata, różowa łapa przytrzymała ją za bark. - Niezła z ciebie wiercipięta.

W drzwiach zobaczyła młodą, miłą twarz Antoniego.

- Pięć - ogłosił triumfująco. - Pięć, a trzy doskonałe. Jestem bardzo zadowolony, to więcej, niż oczekiwałem.

- Och, to cudownie. - Julia czuła się nieprawdopodobnie dumna i rozluźniona. Obudziła się już całkiem i z trudem się powstrzymywała, aby nie podskakiwać z radości. Jedną ręką zasłoniła sobie oczy i w wyobraźni ujrzała stojące w rzędzie dzieci: trójkę pulchną, uroczą i uśmiechniętą, a pozostałych dwoje - poważnych i szczuplejszych. Pielęgniarka pomogła jej wstać z fotela, podtrzymując ją pod rękę.

-Pójdziemy teraz do gabinetu wypoczynkowego. Tam podam pani tę obiecaną herbatę - powiedziała.

Wyprowadziła Julię z jasno oświetlonej salki. Wąski korytarz wiódł do małego pokoiku. Stał w nim stolik zawalo-

ny czasopismami oraz dwa fotele. Pielęgniarka posadziła Julię, nakryła ją niebieskim pledem i uśmiechając się zachęcająco, opuściła pokój.

Julia żałowała, że zamiast herbaty nie zamówiła kawy, ale zupełnie nie miała siły zawołać siostry. Poza tym szkoda jej było psuć tę tak doniosłą chwilę. Pragnęła całkowicie oddać się radości i podnieceniu, które ją wypełniały. Pierwszy krok był już za nią, tak, zrobiła go! Dopiero teraz zobaczyła, jak wiele irracjonalnych myśli zalegało pod powierzchnią optymizmu - bała się, że nie znajdą u niej żadnych komórek albo same złe, zepsute czy Bóg jwie jakie. Powiedział „doskonałe”, tak, „doskonałe”. Widziała, jak to wspaniałe słowo wiruje w jej głowie i jak miękka szmatka wyciera kurz strachu i niepewności, oczyszczając jej mózg, gotowy teraz na przyjęcie innych, cudownych myśli.

- Pięć - wyszeptała - a z tego trzy doskonałe. Tak! - Zamachała nogami, tym razem z radości, i roześmiała się do siebie. Pięcioro ślicznych, małych niemowląt znów zaistniało gdzieś na dnie jej duszy, ale odmawiając sobie przyjemności marzenia o nich, próbowała zobaczyć szklane naczynie, które właśnie w tym momencie pokonywało drogę do laboratorium.

Była zdziwiona, ujrawszy wchodzącego do pokoju Michała. Zdała sobie sprawę, że odkąd oprzytomniała po zabiegu, nie poświęciła mu ani jednej myśli.

- Witaj, kochanie - powiedział, pochylając się, aby ją pocałować. - Jak się czujesz? Wyglądasz dobrze.

- Bo czuję się dobrze. - Dlaczego mu nie mówi? Co ją powstrzymuje przed wykrzyczeniem tej wspaniałej wiadomości?

- Julio, czy wiesz, że zdołali pobrać aż pięć? Czy to nie cudowne?

Poczuła się oszukana. Więc wiedział? Nie to, żeby sama chciała mu powiedzieć, ale traktowała to jak osobisty triumf, tajemnicę między nią a dziećmi. Nie była gotowa, aby się nią podzielić, i poczuła się dotknięta widząc, że sam ją sobie przywłaszczył.

- Oczywiście, że wiem. Przecież tam byłam.

- No tak, po prostu nie wiedziałem, jak długo już nie śpisz. Jak by nie było, to wspaniała wiadomość. - Przez ostatnie kilka tygodni Michał tak się przyzwyczaił do jej ciągłego rozdrażnienia, że nie zwracał na nie uwagi, jakby nie istniało. - O, jest nasza herbata.

Pielegniarka odsunęła ze stolika gazety. Postawiła tacę z ciasteczkami i herbata.

- Jak już pani wróci do siebie, może się pani ubrać i iść do domu. Proszę się jednak nie spieszyć i zostać tu tak długo, jak pani chce.

- Bardzo pani dziękuję, sestro - powiedział Michał, kiedy wychodziła. Wsypał do herbaty dużą, kopiastrą łyżeczkę cukru i podał filiżankę Julii, posyłając jej jednocześnie niemy pocałunek. Uśmiechnęła się do niego.

- Tak mi przykro, jestem okropna. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Ja wiem. Mam to samo. Szkoda, że mnie nie widziałaś pół godziny temu, kiedy siedziałem w tym strasznym pokoju; każdego bym pogryzł.

- Udało się przynajmniej?

- Tak, w końcu tak. Podobno naliczyli kilkaset tysięcy czy coś takiego. Nieźle, w porównaniu z twoimi pięcioma.

- Tak, ale moje trzy były doskonałe. Mogę się założyć, że 0 twoich nikt nie powiedział „doskonałe”. - Zachichotała

1 pociągnęła łyk herbaty. Odstawiła filiżankę, nachyliła się i pogłaskała go po policzku. - Dzięki, kochany.

- Za co, u licha? Za moją wspaniałą spermę?

- Nie bądź głupi. Dziękuję za to, że byłeś dla mnie taki dobry. Czasami trudno ze mną wytrzymać.

- Kocham cię, przecież wiesz. Nie musisz dziękować. Postaraj się tylko, aby to był chłopiec.

* * *

Tymczasem w laboratorium oddzielano komórki jajowe Julii. Pięć maleńkich, potencjalnych istotek było gotowych na spotkanie przyszłych partnerów. Embriolog w białym fartuchu wziął dużą pipetę, za pomocą której wyjął je z naczynia i po jednej wkroplił do maleńkich probówek,

umieszczonych we wspólnej podstawie. Następnie przysunął menzurkę z czystą i odpowiednio przygotowaną spermą Michała. Kiedy dodał do probówek po kropli męskich komórek, tysiące żywotnych plemników wystartowało w wielkim wyścigu. Każdy z nich chciał być pierwszy u celu - czyli wbić się w ścianki komórki jajowej, rozpoczynając tym samym łańcuch przemian, którego owocem miał być przekaz informacji genetycznej.

* * *

Do pokoju ponownie weszła pielęgniarka.

- Czy może się już pani ubrać, pani Evans? - spytała, zdejmując z Julii błękitny koc.

- Tak, oczywiście. Co dalej...

- Już mówię. Proszę do nas zadzwonić jutro, około dziesiątej rano. Do tego czasu będziemy już wiedzieć, ile mamy zapłodnionych jaj, i umówimy się, kiedy ma pani przyjść na implantację.

- Rozumiem. Dziękuję pani. Czy sądzi pani, że się uda? Pielęgniarka przywykła do takich pytań. Kobiety, którymi się zajmowała, zawsze potrzebowały zapewnień.

- Nigdy nie można być pewnym. Lepiej poczekajmy, a wkrótce się dowiemy. Ma pani szczęście, że znaleźli pięć.

- Tak, wiem - odpowiedziała Julia, w myślach nie mogąc się pozbyć widoku kartonowego pudełka z jajami, w którym jednego brakuje. - Dziękuję, sestro. A herbata była pyszna, wielkie dzięki.

Wiedziała, że jest zbyt wylewna, ale nic nie mogła na to poradzić. Była tak wdzięczna - za okazywaną jej uprzejmość, zrozumienie i współczucie - że z przykrością opuszczała to miejsce. Pragnęła nadal czuć nadzieję i radość, a nie strach, który zaczął jej towarzyszyć zaraz po wyjściu z kliniki.

- Dlaczego pani uważa, że to była moja żona?

Michał nie mógł sobie poradzić z tym, co przed chwilą usłyszał. Przez kilka ostatnich miesięcy przeszedł wiele, ale tym razem naprawdę się załamał. Wiedział, że to ona

porwała dziecko, kiedy tylko policjant wyjawiał mu cel swojej wizyty, ale jednocześnie modlił się, aby przeczucia go myliły. To musiała być pomyłka, Julia nie mogła mieć z tym przestępstwem nic wspólnego!

- Skąd pan wie?

- Matka dziecka podała nam całkiem dokładny rysopis kobiety, którą tuż przed tym zajściem widziała przy wózku, proszę pana. Porównaliśmy go z listą osób zaginionych w naszym komputerze. Stwierdziliśmy podobieństwo opisaney osoby i pańskiej żony, której fotografię posiadamy, tego, w co była ubrana - zbyt wiele, aby móc to zignorować. Oczywiście równie dobrze może się okazać, że to wcale nie była ona, ale znając sprawę...

- W porządku, niech pan nie kończy.

Oczywa wyobraźni Michał ujrzał Julię, pochylającą się nad wózkiem. Wyjęła z niego małe zawiniątko i przycisnęła je do piersi. Zamknął na chwilę oczy i przez chwilę nie słyszał, co mówi policjant.

- To była ona. Wiem to. Ma pan rację.

- Nie, proszę pana, ja tego nie stwierdziłem, powiedziałem jedynie...

- Proszę pozwolić mi się z nią widzieć.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Mam na myśli tę kobietę, dziewczynę. Chciałbym się z nią spotkać.

Kiedy pomyślał o nieszczęsnej matce dziecka, na powrót ogarnęła go fala żalu i tęsknoty. Wiedział, co czuje, ponieważ sam przeżywał to samo. Instynktownie pragnął do niej dotrzeć i ją pocieszyć. Siedzący przed nim oficer obruszył się na tę impulsywną reakcję.

- Nie sędzę, aby to był dobry pomysł, proszę pana. Ona jest szalenie zdenerwowana i...

- Ależ to oczywiste - przerwał mu Michał z goryczą. - Chyba nie sądzi pan, że tego nie zrozumie? Mamy wiele wspólnego, sam pan wie. Po prostu myślę, że mógłbym jej pomóc. Proszę, niech mi pan pozwoli ją zobaczyć.

Na myśl o wspólnych cechach Michała i Anny detektyw prawie się uśmiechnął. Szczerze mówiąc, trudno było wyobrazić sobie bardziej różne typy ludzkie niż wykształcone-

go, spokojnego i czarującego Michała i tę opryskliwą młodą dziewczynę, jaką była Anna Watkins.

- Proszę!

W spojrzeniu Michała było tyle uczciwości i błagania, że detektyw zaczął się wahać. Z jednej strony nie widział nic dobrego w spotkaniu tych dwojga smutnych ludzi, a z drugiej nie śmiał stawać pomiędzy nimi.

- Porozmawiam z nią - powiedział w końcu. - Mam jednak nadzieję, że jeśli nie zechce się z panem spotkać, będzie pan wyrozumiały.

- Tak, obiecuję. Ale proszę zapytać.

Był późny wieczór. W laboratorium sąsiadującym z pomieszczeniem, w którym czekały komórki Julii i Michała, doktor Timothy Stark z próżnością rozważał, czy nie jest Bogiem. Nie *minęło* jeszcze wiele czasu od momentu, kiedy jako trzydziestoletni laborant nauczył się techniki intracytoplazmatycznego wtrysku spermy, i fakt, że był nie tylko świadkiem zapłodnienia, ale i jego sprawcą, nadal go zdumiewał.

Rozważania o własnych, boskich dokonaniach stanowiły doskonały temat do dyskusji podczas wieczornych przyjęć urządzanych przez jego żonę. Zwykle najpierw zadawał pytanie, kim jest Bóg, a następnie delikatnie kierował rozmówcę do sformułowania definicji, że Bóg jest kreatorem życia. W tym momencie wstawał z krzesła, podnosił do góry rękę i triumfująco ogłaszał, że jest Panem. Oczywiście wzbudzało to ogólną wesołość, gwarantowało udany wieczór, choć zapewne nieco szokowało bardziej religijnych gości.

Kiedy nachylał się do mikroskopu, jego biała postać oświetlona biurową lampą rzuciła cień na kremową ścianę. Oprócz lampki źródłami światła w laboratorium była tylko żaróweczka mikroskopu i błękitnawy blask stojącego obok monitora. Przyjrzał się wierzgającej kropelce spermy. Nie podnosząc głowy, dotknął trzonką cieniutkiej igły, za pomocą której miał wstrzyknąć odrobinę nasienia prosto w oczekującą komórkę jajową.

Skomplikowany mechanizm dostroił jego niezgrabny ruch do potrzeb mikroskopu. Przyglądał się z bliska, jak po prawej stronie pojawia się coś,

co przypomina dużą wskazówkę. Igła leciutko drgnęła. Stark uniósł się ze stołka i wziął głęboki oddech. W ciszy pomieszczenia tkanina jego fartucha delikatnie zaszeleściła, a ?, piersi wydobył się ledwie słyszalny świst - pozostałość ostatniego przeziębienia. Dotknął leżącej w kręgu światła kropli i końcem igły z łatwością wessał podobny do kijanki plemnik, po czym ponownie go wypchnął. Zanim zdołał mu umknąć, zaczepił o tę część komórki, którą zwykł nazywać głową. Odczekał, aż przestanie się ruszać -zawsze w tym momencie czuł się winny, jakby walił kogoś w głowę - zdając sobie sprawę, że zbyt mocny uścisk może go uszkodzić, a zbyt lekki pozostawi plemnik na tyle żywotnym, iż w momencie poprzedzającym spotkanie z komórką jajową zawróci i ucieknie. Mimo tych utrudnień uważał, że zapłodnienie było naprawdę rzeczą prostą. Konstruując dorosłe ludzkie ciało i chcąc tchnąć w nie życie, Frankenstein popełnił błąd. Z pewnością wolałby proste i mądre sposoby lat dziewięćdziesiątych. Wszystko, co trzeba zrobić, to wybrać i połączyć dwa składniki, a potem stać i patrzeć, jak się odbywa cud tworzenia. W dodatku owoc tego cudu był w takim samym stopniu doskonały i kompletny, jak osoba laboranta, który go umożliwił. Doktor Stark nie zwracał sobie głowy rozważaniami, czy biorąc udział w tym nadzwyczajnym procesie, dokłada się w jakiś sposób do szczęścia czy też powodzenia całej ludzkości. Mało tego, nie był nawet świadom, że zapłodnione komórki, które po opuszczeniu laboratorium mają się stać zdrowymi dzieciakami, staną się bezpośrednią przyczyną czyjejś osobistej radości, a te, którym się to nie uda - rozpaczy. Jego świat kończył się na czterech ścianach laboratorium, a wszystkie sukcesy i porażki miały miejsce w małych, szklanych probówkach i pod mikroskopem.

Za następnymi drzwiami, w jednej z małych, ponumerowanych, plastikowych skrzynek, stojących w oszklonej szafce, maleńki, wiercący się plemnik dotarł do komórki jajowej Julii.

Stark wziął na igłę kolejny ospały plemnik pana Jephco-ta. Pokonał mikroskopijną odległość, jaka dzieliła go od wyczekującego jajeczka pani Jephcot. Gruba, powiększona

igła zastygła przez chwilę przed błoną komórkową, po czym gwałtownie ruszyła do ataku. Ostre pchnięcieomal nie przebiło elastycznej jak guma powłoki. Za drugim razem igła sforsowała przeszkodę i nieruchomy plemnik został wepchnięty w samo serce komórki jajowej. Doktor Stark przyglądał się teraz, jak na jego oczach rozgrywa się niewyobrażalnie mikroskopijny dramat. Wyobraził sobie, jak potem w nocy wsunie się do łóżka, położy obok śpiącej żony i wyszepcze do jej ucha: „Wiesz, udało mi się kilka następnych cudów”.

Jeden z plemników Michała także przebił oporną ścianę komórkową jednego z jajeczek Julii. Dostał się do środka, aby rozpocząć nowe życie.

Rozdział 7

Starsza pani bardzo powoli upychała dwa okazałe rulony, chyba dywany, w jedynej windzie, jaka działała w tej czynszówce. Oferowana pomoc spotkała się ze zdumiewająco energiczną odmową, dlatego Michał i policjant weszli na piąte piętro po schodach. Na końcu wąskiego balkonu, który wychodził na betonowe podwórko i rzędy kontenerów na śmieci, znajdowały się drzwi mieszkania Anny.

Kiedy zabrzmiał dzwonek, Michał usłyszał szybkie kroki i drzwi szeroko otworzyła młoda dziewczyna. Na jej bladej opuchniętej twarzy malowało się zdziwienie i nadzieja. Zanim zdążyła coś powiedzieć, policjant pospieszył z wyjaśnieniem.

- Anno, przyprowadziłem pana Evansa. Mówiliśmy o tym. Nie zabierzemy ci dużo czasu.

Druzgoczące rozczarowanie dziewczyny było tak oczywiste, że nie sposób go było nie zauważyć. Kiedy Michał je spostrzegł, zacisnęła usta. W jej czarnych oczach błysnęło coś, co można było określić jako nienawiść. Odsunęła się, robiąc im przejście do ciemnego, wąskiego przedpokoju.

- Wejdźcie - powiedziała cicho, wskazując drzwi po prawej stronie, wiodące do małej jadalni.

Mężczyźni weszli przed nią do pokoju i stanęli zakłopotani, rozglądając się dookoła. Czerwone, nylonowe zasłonki były ściągnięte w połowie okna. Promienie słońca, które padały na wąski fragment odsłoniętej szyby, podświetlały tysiące szarych kropek, czyli wszędobylski londyński kurz, który pozostał po wyschnięciu porannego deszczu.

Pokoik

był nieskazitelnie czysty i prawie pusty. Jedyne umeblowanie stanowiła mała kanapa, obita czerwonym dralonem, zniszczony żółty fotel, dwa drewniane krzesła z plastikowymi siedzeniami i niski stoliczek, przykryty białym, koronkowym obrusem. Stały na nim dwie na wpół opróżnione filiżanki kawy i talerz z herbatnikami. W telewizorze leciał jakiś czarno-biały, stary film. Dźwięk był wyłączony.

Na jednym z krzeseł siedziała policjantka. Kiedy weszli, wstała, zebrała filiżanki i zaniósła je do małej kuchni, znajdującej się za drugimi drzwiami.

- Napijcie się kawy? - zapytała, posyłając jednocześnie zachęcający uśmiech Annie, która wyszła z przedpokoju.

- Ja dziękuję - powiedział policjant - a pan?

" - Nie, ja także dziękuję - odparł Michał. - Proszę się nie fatygować.

- Panie Evans, to jest porucznik Calvert, a to, oczywiście, panna Watkins.

- Bardzo mi miło - skinęła z kuchni policjantka, przepraszającym gestem pokazując, że nie może podać ręki, bo w obydwu trzyma filiżanki.

Michał odwrócił głowę i spojrzał na bladą dziewczynę, która patrzyła na niego z przeciwnego kąta pokoju.

- Dlaczego panowie nie siadają? - spytała.

Kiedy Michał spoczął na drewnianym krześle, zauważył za sofą starą, wysłużoną kołyskę. Leżały w niej kolorowa grzechotka i malutki miś, które dziwnie nie pasowały do tego cichego, skromnego pokoju, przesyconego ciężką atmosferą smutku.

Policjant stanął pod oknem i patrzył uważnie, jak Anna siada w fotelu i wlepia w Michała buńczuczne spojrzenie. Ten nachylił się do niej i uśmiechnął, próbując zatrzeć barierę agresji i lęku, która dzieliła go od dziewczyny, nastroszonej niczym podejrzliwe zwierzątko.

- Jestem Michał Evans. Podejrzewam, że to moja żona porwała pani syna. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale tak strasznie mi przykro. Boże, to brzmi beznadziejnie. Tak naprawdę to wiem, że nie mogę nic zrobić, żeby mi pani uwierzyła, ale rozumiem, co pani czuje. Po prostu chcę powie-

dzieć, jak bardzo, bardzo mi przykro. Ja także straciłem dziecko, choć nie tak jak pani, oczywiście... nie wiem, jak to nazwać. Moje dziecko nawet nie istniało... Boże, co ja plotę. Proszę mi wybaczyć. Chcę pani powiedzieć, że moja żona na pewno nic złego dziecku nie zrobi. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że przez twarz dziewczyny przemknął cień ulgi.

- Jestem tego pewien - ciągnął - na pewno stara się dbać o niego. Proszę pozwolić, bym w jakikolwiek sposób mógł pani pomóc. Przynajmniej tyle. Czy mogłaby mi pani pokazać jakieś jego zdjęcie? Ile ma lat?

Nie odpowiedziała, ale ledwie widocznym ruchem głowy skinęła na policjanta, nie odwracając jednak ostrego spojrzenia od Michała. Może chciała cały czas mieć go na oku i nie przeoczyć czegoś, co mogłoby zaburzyć jej i tak wątpliwą równowagę.

Policjant wyjął z plastikowej teczki brązową kopertę. Wyciągnął z niej trzy małe fotografie. Jedną z nich pokazał Michałowi.

- To Harry - powiedziała dziewczyna. Zabrzmiało to bardzo smutno i tęsknie. - Trzy miesiące. Ma trzy miesiące.

Michał wziął zdjęcie. Przez moment zaległa dziwna cisza. Popatrzył na ciemnowłosego bobasa w niebieskim ubranku, leżącego w wózku z uśmiechem na buzi. Zasłonił ręką usta, aby ukryć westchnienie, którego nie mógł powstrzymać. Na widok surowej miny Anny z jego twarzy zniknął dzielnie podtrzymywany uśmiech. Wpatrywał się w zdjęcie, jakby starał się coś sobie przypomnieć.

W pokoju zrobiło się nieswojo. W oczach Anny pojawił się nowy cień strachu, jak gdyby z nie wyjaśnionego powodu dostała gęsiej skórki.

- Wszystko w porządku, proszę pana? - Policjant również był zaniepokojony. Ze słów, które Michał wymamrotał w odpowiedzi, zrozumiał jedynie „to dziecko”.

- Słucham?

- Znam to dziecko.

Ciszę przerwał odgłos kroków. W kuchni policjantka podeszła do zlewozmywaka. Anna twardym spojrzeniem mierzyła mężczyznę, który siedział przed nią na fotelu.

- Jak to pan go zna?! To niemożliwe! Przecież to moje dziecko!
Prawie krzyczała, urażona sugestią, że ktoś obcy mógł wcześniej zawrzeć z nią jakąś znajomość. Ogarnęły ją wątpliwości, czuła się wywiedziona w pole. Gniew i lęk sprawił, że wyglądała na jeszcze młodszą, niż była naprawdę. Rozmazany tusz i blada buzia nadawały jej wygląd małej dziewczynki, która się przebrała za dorosłą, ale nagle odkryła, że zgubiła mamusię, więc nie chce się już bawić.

- Nie, nie rozumie pani. - Michał popatrzył Annie w oczy. - Ja go znam. Znam go od lat.

Anna zerwała się na równe nogi i wrzasnęła tak, że z kuchni szybko przybiegła policjantka.

- Wynoś się! Wynoś! Wiedziałam, że nie powinien tu przychodzić! Co to znaczy znać go od lat! Jesteś tak samo szalony jak ta twoja cholerna żonka! Moje dziecko ma dopiero trzy miesiące, moje dziecko, och, mój Harry! Chcę go z powrotem, oddajcie mi go! Oddajcie!

Policjantka uspokajającym gestem poklepała Annę po ramieniu i kiedy krzyk przeszedł w szloch, delikatnie posadziła ją w fotelu. W tym samym czasie jej kolega pochylił się do Michała i szepnął mu na ucho:

-Myślę, że lepiej będzie, jak już pójdziemy, proszę pana. Nie chcemy przecież bardziej denerwować młodej damy, prawda?

Wyprostował się i skinął do pani Calvert, która nadal obejmowała Annę. Kidnaperstwo było na tyle rzadkim i poważnym przestępstwem, że wymagało od policji natychmiastowego, starannie przeprowadzonego działania. Annie zapewniono wszelką możliwą pomoc. Udało się zapobiec nagłośnieniu sprawy przez media, i dzięki temu uchroniono dziewczynę przed atakami prasy. Dodatkowym zabezpieczeniem była obecność porucznik Calvert, opiekunki do spraw rodzinnych. Jeżeli cokolwiek jeszcze mogłoby ulżyć w jej cierpieniu, natychmiast zostałoby zrobione. Chociaż tak naprawdę nic nie mogło pomóc Annie, z wyjątkiem miękkich rączek, obejmujących ją za szyję, puszystej główki, leżącej na jej piersiach i cichego posapywania małego, słodkiego bobasa. To było jak psychiczny głód, a poczucie

winy, że zostawiła go samego w wózku, gryzło ją do bólu. Tęskniła. Zdawała sobie sprawę, że jeśli za chwilę nie poczuje zapachu małego, pulchnego ciała, z pewnością oszaleje.

Michała odprowadzono do drzwi wyjściowych, prowadzących na pokryty graffiti balkon. Czuł się źle i głupio. Nawet nie zaczął mówić tego, co zamierzał powiedzieć. Ledwie wyjąkał kilka współczujących słów. Może policjant miał rację; pomysł odwiedzenia dziewczyny był beznadziejny, tylko ją zdenerwował. Ale przecież tak bardzo chciał jej to powiedzieć, uspokoić. Gdyby tylko nie zobaczył tych zdjęć! Co miał mówić? Jak wytłumaczyć, że widział to dziecko dniami i nocami, w myślach i snach od dziesięciu lat? Jak to się stało, że jego wyobraźnia stale i wciąż tworzyła coraz doskonalszy obraz, który ziścił się w jakimś małym mieszkanku na rogu Streatham? Twarz na fotografii nie była tak po prostu znajoma - widział buzię własnego synka.

* * *

- O, witam, pani Evans, jak się pani czuje?

- Dobrze, dziękuję, ale chciałam...

- Tak, oczywiście. Wiem, dlaczego pani dzwoni. Jestem pewna, że się pani ucieszy, mam dla pani dobrą wiadomość: trzy komórki zostały zapłodnione i...

- Och, to cudownie! Jak wspaniale! Dziękuję, dziękuję bardzo!

- Moja droga, nie musi mi pani dziękować, ale cieszę się, że mam dla pani takie informacje. Aha, chwileczkę, doktor... doktor Northfield powiedział, że jeśli to pani odpowiada, proszę przyjść dziś około piątej po południu.

- O tak, oczywiście, przyjdę, dziękuję pani.

- W porządku, w takim razie widzimy się po południu. Zabieg nie potrwa długo, po krótkim odpoczynku będzie pani mogła wrócić do domu.

- Dziękuję bardzo.

Julia powiedziała do widzenia, ale nie odłożyła słuchawki i wykręciła numer Michała do pracy. Wybierając trzy pierwsze cyfry wyobraziła sobie, jak będzie z nim roz-

mawiać: „Michał! Michał! Udało się! Mam przyjść! Są zapłodnione!" Już widziała, jak krzyczy w słuchawkę i jak Michał, siedzący 'ż początku przy biurku w swoim małym biurze na St Martin's Lane, zrywa się na tę wiadomość uradowany. Szybko zamknęła oczy i skasowała tę scenę. Była zbyt oczywista, aby mogła się jej podobać. Odłożyła słuchawkę i popatrzyła w okno. W szybie, rozświetlonej słabym londyńskim słońcem, zobaczyła słabo zarysowane odbicie swojej twarzy, zbyt rozmyte, aby można było dojrzeć szczegóły. Poczła nieodpartą potrzebę, aby przejrzeć się w lustrze. Podeszła do toaletki. Kupili ją na przecenie w sklepie z używanymi meblami na Wandsworth Bridge, zaraz kiedy się tu sprowadzili. Na twarzy, która spoglądała na nią ze srebrnej tafli, nie widać było żadnego śladu, że właśnie usłyszała tak nadzwyczajną wiadomość. Natomiast gdzieś w głębi duszy poczuła nagle ukłucie rozpacz. Powstrzymała oddech.

- Co jest? - spytała na głos. - Co znowu? Jaki u licha masz problem? Cofnęła się i usiadła przy stoliczku, na którym stał telefon. Tym razem wykrciła inny numer i uśmiechnęła się, słysząc znajomy, przyjazny głos Harriet.

- Cztery sześć dziewięć dwa, halo?

- To ja, Julia.

- O, cześć, co porabiasz? Właśnie o tobie myślałam. Jakie wieści?

- Świetne. Trzy! Trzy gotowe!

- Nie żartujesz? To fantastycznie! Pewnie skaczesz z radości. Hej, stara, udało się, co?

- O Chryste, nic mi nie mów, to...

-Wiem, wiem. Udało ci się. Teraz tylko czekaj. Michał pewnie skacze z radości, hmm, to znaczy mam na myśli, że chociaż wstał, co?

- Mhmmm.

- Co? No daj spokój, mężczyźni tacy są. Na pewno jest tak samo podniecony jak ty, Julio, musi być bardzo szczęśliwy, no Julio, tak czy nie? Hej, co się dzieje? Dlaczego nic nie mówisz, co się stało?

- Nie powiedziałam mu jeszcze.

- Co? Dlaczego? Gdzie on jest?
- W pracy.
- No to na co czekasz? Dzwon do niego, do diabła!
- Właśnie zamierzałam, ja tylko...
- Aha, po prostu najpierw chciałaś poinformować swoją starą kumpelę? Rozumiem. Oni są tacy narwani, poza tym - sama nie wiem - czasem dobrze jest pewne sprawy przegryźć samemu, prawda?
- Tak, właśnie.
- W porządku, ale teraz zrób mu przerwę i zadzwoń. Albo ja to zrobię.
- Nie, nie kłopotcz się, on...
- Nie bądź głupia, przecież tylko żartuję.
- Rozłącz się, ja trzeszczę.
- Co takiego?
- Telefon trzeszczy. Ktoś próbuje się dodzwonić. Zakręcę później.
- Dobrze, już dobrze. Ale pamiętaj, kretynko, że to bardzo ważna wiadomość. Tak czy nie?
- Tak, tak, wiem. Cześć.

Julia nigdy nie mogła zapamiętać, jakiego kodu użyć, aby połączyć się z rozmówcą oczekującym na linii, więc zamiast próbować na chybił trafił, nacisnęła widełki. Telefon zadzwonił prawie natychmiast.

- Julia? Dzwoniłaś tam? Co powiedzieli?
- Nie, teraz nie dzwoniłam, tylko wcześniej. Dobre wieści, Michał, mam trzy do wyboru.

Michał już wcześniej zauważył, że Julia często używa „ja” zamiast „my”, ale tym razem, w połączeniu z obojętnym tonem jej wypowiedzi, poczuł się dotknięty. Przez ostatnie pół godziny - a może dłużej - siedział przy telefonie w nieznośnym oczekiwaniu na wiadomość; miał ochotę sam do nich zadzwonić i wreszcie z ulgą usłyszeć potwierdzenie tego, na co miał nadzieję.

- My mamy trzy, Julio, my mamy trzy. Dlaczego do diabła od razu do mnie nie zadzwoniłaś? - Przerwał na chwilę i wziął głęboki oddech. - Ale to cudownie, kochanie! To wspaniale! A nie mówiłem, pamiętasz? Julia nie odpowiedziała i przez chwilę było cicho.

- Do kogo dzwoniłaś?
- Do Harriet.
- Jezus.
- Nie, Harriet.
- Nie kpiluj ze mnie, Julio. Powiedziałaś jej?
- Oczywiście.
- Jak mogłaś?! Dlaczego najpierw nie zadzwoniłaś do mnie?! Czy nie rozumiesz, jakie to dla mnie ważne?! Cały czas...

Przerwało mu stukanie do drzwi. Podniósł wzrok i zobaczył wyglądającą zza nich sekretarkę.

- Przyszła pani Rutherford.
- Jeszcze chwilę, za kilka minut możesz ją wpuścić. Głowa zniknęła i Michał wrócił do rozmowy:
- Nie znoszę tego. Czy celowo chcesz mnie zranić, czy...
- Dobrze, już dobrze, przepraszam, nie rób z igły wideł...
- Tak, właśnie, zawsze to mówisz.
- Nieprawda.
- Prawda. Znowu cisza.
- O której mamy przyjść?
- Około czwartej. Ale chcę pójść sama, Michale, proszę. Przepraszam, że nie zadzwoniłam. Wszystko będzie dobrze. Nie chcę, aby to było coś nadzwyczajnego, po prostu pozwól mi to zrobić. Spotkamy się wieczorem, dobrze? Zgodziłeś się, pamiętasz? Boże, jaka szkoda, że to nie teraz. Kochanie, chciałabym już tam być. Chcę już mieć je w środku, rozumiesz?
- Poczekaj, wrócę z pracy i cię zabiorę...
- Nie, nie. Już o tym rozmawialiśmy i zgodziłeś się wtedy, że sama pojedę. Mówili, że to prościutki zabieg, pamiętasz?
- Nie, uważam, że powinienem jechać z tobą. Jestem tego pewien.
- Michał, ja naprawdę nie chcę. Czuję się bardzo dobrze. Wezmę taksówkę.
- Czy włożą ci jej wszystkie naraz?

Zanim usłyszał odpowiedź, drzwi otworzyły się ponownie. Zakrył ręką słuchawkę, a do gabinetu wtargnęła elegancka pani w średnim wieku.

- Przepraszam panią bardzo, proszę mi wybaczyć, ale właśnie otrzymałem bardzo dobrą wiadomość. Poczekaj pani chwilę? - Wskazał jej krzesło przy biurku, odwrócił się i, już spokojniej, powtórzył do telefonu: - Czy włożą ci je wszystkie naraz?

- Właściwie to... nie, nie wiem. Tak mi się wydaje. Dowiem się wkrótce.

- No dobrze, kochanie, skoro jesteś pewna. Wolałbym być z tobą, ale...

- Michał, przestań się denerwować. To jest proste jak zastrzyk. Wolę być sama. Nie rób z tego problemu. Wszystko ci opowiem.

- Wiem. Po prostu chciałem mieć w tym swój udział, wiesz dobrze. -

Przyciszył głos i odwrócił głowę od swojej klientki. Taktownie przeglądała szczegóły w polisie, którą trzymała w rękach, przyobleczonych w rękawiczki.

- No cóż, nie możesz. Nikt nie może - och, Michale, nie chcę już o tym mówić. Nie psuj wszystkiego, zawsze wszystko psujesz denerwując się za bardzo, ja...

- No dobrze. Wiesz, muszę kończyć. Zadzwoń, jak tylko wrócisz, dobrze?

- Tak, oczywiście, zadzwonię. Pa kochanie.

- Pa. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do klientki. -Przepraszam panią za ten telefon. A teraz zajmijmy się składką.

- Jeśli musi pan gdzieś iść, proszę się nie krępować...

- Nie, dziękuję. Już wszystko załatwione. Mimo to dziękuję, to miło z pani strony. - Nie mógł się zdobyć na uśmiech, choć siedząca przed nim

kobieta wzbudziła nagły przypływ życzliwości. - Pani ubezpieczenie.

Wiem, że zależy pani na zabezpieczeniu dzieci. To bardzo ważne.

-Uśmiechnął się w końcu i to od ucha do ucha.

* * *

O czwartej trzydziści tego samego dnia Julia leżała z uniesionymi nogami, zawieszonymi w pętłach, ale tym ra-

zem całkowicie przytomna i niestety świadoma, jak upokarzającą pozę przybrała. Czuła nieodpartą chęć, aby zasłonić rękami rozwarte krocze, ale zmusiła się do wzięcia paru głębokich oddechów i pozostania sztucznie spokojną. Odpłynęła myślami z tego miejsca i tysięczny raz oddała się marzeniu, które inspirowało jej życie i nadawało mu znaczenie. Uczepiła się tej wzruszającej i jednocześnie strasznej myśli, która stała się jej wewnętrzną mantrą. Zobaczyła siebie, jak leży tak samo za dziewięć miesięcy. Nie będzie wtedy czekać, aż wstrzykną jej do środka mililitr płynu, ale przeżyć się w bólach, aby wydać na świat dziecko, jakie przez ten czas z tej substancji powstało.

- Teraz wsuwam pipetę, proszę pani.

Dźwięk głosu doktora Northfielda sprowadził ją na ziemię - do kliniki i poczucia osamotnienia. Patrzyła, jak jego głowa pochyla się nad nią, a ręce sięgają do najbardziej intymnej części jej ciała, która teraz wydawała się należeć do wszystkich, tylko nie do niej. Pomyślała z goryczą, jak bardzo zawsze była nieśmiała; wyobraziła sobie, że patrzy na tę niezwykłą scenę z góry: na siebie i tego młodego mężczyznę, który robi coś pomiędzy jej rozsuniętymi nogami. Poczowała dreszcz podniecenia. Na chwilę jej napięcie zniknęło, a uda rozchyliły się bardziej na zewnątrz. Stała się rozpustna i świadoma swej seksualności i rąk doktora, które operują przy jej waginie. Czy zauważy, że puchnie i czerwienieje na skutek myśli, jakie krążą po jej głowie? Wysunęła biodra nieznacznie w przód, chcąc mu pomóc.

- No to jesteśmy na miejscu! Gotowe, proszę pani, nic dodać, nic ująć. Teraz zostanie z panią pielęgniarka, a my zobaczymy się za kilka minut w moim gabinecie.

To mówiąc delikatnie wyplątał jej nogi z uchwytów. Wstał i ściągnął gumowe rękawiczki. Julia poczuła się niemal rozczarowana. Mógł mieć ze dwadzieścia dziewięć lat, był bardzo chłopięcy, a jego wydatny nos, ciemne oczy i cera sprawiały, że przypominał jej kelnera z greckiej restauracji. Uśmiechając się do niej cisnął rękawiczki do kosza, podszedł do drzwi, otworzył je i zdejmując z głowy zielony czepek odwrócił się jeszcze raz.

- Powodzenia - powiedział z uśmiechem.

Patrzył wciąż na nią, jakby czekał na odpowiedź. Julię ogarnęło dziwne, ale nie przykre uczucie. Jakby gęsia skórka na plecach. Lekarz odwrócił się i wyszedł. Siłą woli skoncentrowała się na swoim wnętrzu, starając się zobaczyć trzy śliczne jajeczka, szukające miejsca w jej macicy. Czy ta okaże się ich domem, czy tylko chwilowym schronieniem?

- Grzeczna dziewczynka! - szepnęła jej czule do ucha siostra.

Jak mogła! Nieznośnie poufały głos i troskliwy, obłudny, niby-uprzejmy ton, trudny do zniesienia jak akt wandalizmu. Znowu była tutaj: zimny gabinet, przerażająco czysty, zapach środków dezynfekujących i wypolerowana podłoga. Napychali ją. Śmierząca brązowa rurka, którą wciskali jej do gardła... Czy nie wiedzieli, że jest już duża, nie mogli zostawić jej w spokoju, pozwolić, aby była chuda, lekka, aby znów stała się człowiekiem? Nikt nie rozumiał... ciągle tylko wracali z tą rurką... nie mogła znieść bólu ani strachu.

Ile lat miały te wspomnienia? Dwadzieścia? Może więcej? A były tak żywe! Cierpienie, jakiego doznawała, kiedy matka jej dokuczała - kaśliwe uwagi brzmiały jej w uszach przez tyle lat! „Pulpecik” - to była pierwsza, potem „tłu-ścioch”, a później już bez ogródek „brzydactwo”. I zdanie, które bolało ją chyba najbardziej: „Jeśli nie schudniesz, nikt cię nie będzie chciał” albo: „Nie ma sensu kupować ci żadnych przyzwoitych ubrań, skoro tak wyglądasz”. Godziny spędzane przed lustrem tylko potwierdzały matczyne opinie. Kiedy pewnej nocy odkryła, jak skuteczne jest wpychanie sobie w gardło palców, zaczął się cykl przejadania i wymiotów, przeplatany częstymi głodówkami, które zdominowały odtąd jej życie.

Wreszcie jej waga spadła tak znacznie, że stało się to niebezpieczne. Lekarz wymógł na niej zgodę pójścia do szpitala, w którym postawiono diagnozę - *anorexia nervosa*. Działo się to w czasach, zanim odkryto pojęcie bulimii. To właśnie wtedy, po tygodniach leczenia, perswazji i namawiania, aby coś zjadła, zdecydowano się na karmienie jej na siłę. Był środek lat siedemdziesiątych i - jak w kilka lat

później powiedziało jej paru lekarzy - leczenie takie stosowano już rzadko. Niestety, widocznie miała pecha, bo dotknęły ją ostatnie podrygi tej barbarzyńskiej i nieludzkiej kuracji.

- Już po wszystkim, proszę pani. Niech pani odpocznie i poleży minutkę. To już koniec. Nie ma się czym martwić. Za chwilę się pani ubierze i podam pani herbatę.

Julia zacisnęła powieki i z trudem wróciła do terażniejszości. Rękami kurczowo ścisnęła brzegi łóżka. Z kącika oka spłynęła jej łza, która teraz toczyła się po policzku.

- Przepraszam. Trochę się wystraszyłam.

- To zrozumiałe, moja droga. W takich sytuacjach każdy ulega emocjom, wszyscy o tym wiemy. To nie takie proste.

Otworzywszy oczy, Julia napotkała współczujące spojrzenie pielęgniarki. Jak mogła jej przypominać tę straszną osobę sprzed tylu lat? Ta była miła, dobra, i po jej stronie. Czy wraca do domu, do męża i dzieci? Czy jest nimi zmęczona, narzeka i krzyczy na nie? Musi mnie uważać za dziwaczkę, tak bardzo chcę mieć to, co jej przyszło z łatwością.

Pachnący proszkiem do prania fartuch i plastikowa opaska na nadgarstku stworzyły fałszywe poczucie bezpieczeństwa i na chwilę ją wzmocniły.

Postara się uwierzyć, że wszystko się udało, i odrzuci poczucie beznadziei, które czaiło się gdzieś w głębi jej duszy. Zwykle często popadała w przygnębienie, teraz jednak musi patrzeć przed siebie, a nie wstecz i przestać rozważać wszystkie możliwości niepowodzenia.

Julia zamarzyła o kąpieli. Zupełnie nagle zapragnęła zanurzyć się w ciepłej, pianistej wodzie, zmyć z siebie brud i zapach szpitala.

Rozdział 8

Anna przyglądała się kaftanikowi Harry'ego. Uszyty z białego materiału frotte, miał krótkie rękawki i zapinał się między nogami. Ostatnio zrobił się za mały. Tak czy owak, na pewno więcej mu go nie włoży.

Przypomniawszy sobie, jak dwa dni temu bardzo się tym zmartwiła, zachciało się jej śmiać. Dwa dni temu? Nie, to niemożliwe. To jeszcze dwa dni temu patrzyła na Harry'ego, który leżał na żółtym prześcieradle i pluł na nią malinami? Nagle jego tułów stał się zbyt długi, aby zmieścić się w białe ubranko. Pogłaskała go po brzuszku i włożyła do buzi wypłutą malinę. Zastanawiała się, czy dałoby się wcisnąć w koszulkę jego pulchne ramionka i karczek, a dół ubranka odciąć w pasie, ale natychmiast sobie wyobraziła, jak uwiera go ciasna tkanina. Wzięła go na ręce i pocałowała. - Do diabła z tym. Dzisiaj dostaniesz nowy kaftanik, syneczku, z tym nic się już nie da zrobić.

Cisnęła szmatkę na ziemię.

Siedziała teraz na krześle przy łóżeczku w małej sypialni, którą dzieliła z dzieckiem, i mocno przyciskała do twarzy ów kaftanik, głęboko wdychając zapach. Pocierała nim oczy i nos, jakby przez to mogła się stać jego częścią. Tych miejsc dotykało jego ciało, jego gruby, różowy brzusek i krągłe ramionka. Zanurzając twarz w kawałku materiału, wyobraziła sobie stoisko z ubraniami w sklepie, do którego chciała iść po nowy kaftanik. Gdyby udała się tam najpierw, zamiast do supermarketu, nie zgubiłaby Harry'ego Nadal może to zrobić, prawda? Więc najpierw idzie ulicą,

tak, do supermarketu. Prowadzi wózek. Zbliża się do wejścia, skręca do niego i zwalnia. - Nie zatrzymuj się! Nie zatrzymuj! - Próbuje minąć szklane drzwi i rząd metalowych koszyków i iść dalej, do innego sklepu. Ale Anna z przeszłości odmawia współpracy: staje, pcha drzwi i wprowadza wózek do środka. Prawdziwa Anna idzie za nią, patrzy, jak ta naciska hamulec i bierze znoszony, czarny plecak. - Zabierz dziecko! Zabierz! Zostaw tę cholerną torbę, zabierz dziecko, ty głupia, bezmyślna idiotko!

Dlaczego widziała to tak wyraźnie? Każdy szczegół drogi, jaką wpadała w tarapaty? W porządku, nie mogła przecież kazać swej wcześniejszej „sobie” iść do sklepu, ale powinna była wrócić do wózka kilka sekund wcześniej, tak? Nie potrzebowała tego cholernego sosu czekoladowego, tak naprawdę nie lubi czekolady - stała tam i gapiła się przez prawie minutę, nie mogąc się zdecydować, co jeszcze wsadzić do koszyka, obliczając, co wzięła, a o czym zapomniała. - Nie zatrzymuj się przy sosie czekoladowym - krzyczała mądra Anna z małej sypialni w głowie Anny naiwnej z supermarketu - proszę, nie stawaj. - Ale nic nie mogła zrobić, nie mogła temu zapobiec. Sto razy widziała siebie idącą z koszykiem do kasy i przystającą na widok rzędu butelek z brązowym sosem, nad którymi wisiał napis „Nowość”. Anna z sypialni dobiegała do kas dokładnie w momencie, kiedy para rąk wyciągała Harry'ego z wózka. Dlaczego nie mogła tych rąk złapać? Dlaczego nie mogła powstrzymać tej blond suki w blezerze, która go zabrała? Dlaczego nie pobiegła za nią, żeby zobaczyć, gdzie go zabiera, tak jak teraz udaje się jej biec za wspomnieniami? Starła się telepatycznie dotrzeć do obcej kobiety, która ukradła jej dziecko, dowiedzieć się o niej więcej, ale wszystko, co widziała, to pusty wózek. Tego strasznego ranka wiele razy powracała do tej chwili i za każdym się jej wydawało, że ujrzy coś więcej. Ale nic z tego.

Westchnęła głęboko, podniosła głowę i wróciła myślami do teraźniejszości. Skupiła wzrok i w kaftaniku dostrzegła maleńką dziurkę. Coś jej przypominała. Przez tamtą dziurę widać było fragment różowej skóry, ta była pusta i wyglądała jakoś dziwnie. Otrząsając się ze wspomnień z supermar-

ketu, zamknęła oczy i spróbowała sobie przypomnieć, o co chodzi. Tamta zrobiona była w wytartym, szarym materiale, gdzieś nisko... czarny... czarna skóra obok niej. But! Czarny, skórzany but i szara skarpetka z dziurką! To było to! Mężczyzna, który wczoraj ją odwiedził - mąż tej zdziry, która zabrała Harry'ego. Pamiętała, że kiedy do niej podchodził, przez chwilę patrzyła mu na nogi, ale do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że zauważyła jakikolwiek szczegół. Nie mogła sobie przypomnieć jego twarzy. Wiedziała tylko, że była smutna i poorana bruzdami bardziej niż jej własna. Wyrzuciła go z mieszkania. Dlaczego chciał się z nią spotkać? Nie mogła zrozumieć, policjant coś jej tłumaczył, ale była zmęczona i wystraszona. Teraz do niej dotarło.

Tak, on też był ofiarą. Ci wszyscy ludzie, choćby nie wiem jak mili, współczujący i doświadczeni, na resztę dnia wracali do domów, do normalności. Zakładała, że tragedia dotyczyła tylko jej, ale być może ten smutny człowiek miał w niej swój mały udział. Wiedziała, że jej własna rozpacz zaślepią ją na wszystko inne, i spróbowała spojrzeć na niego z innej perspektywy. Cierpiał. Nie należał do reszty świata.

Anna wstała. Mały kaftanik rzuciła na tapczan. Cały czas miała na sobie ten sam długi podkoszulek, w którym spała, a nie uczesane włosy zwisały w strąkach wzdłuż twarzy. Odgarnęła je do tyłu za uszy i poszła do jadalni, gdzie zawsze wierna pani Calvert drzemała na sofie. Anna stała nad nią przez chwilę. Policjantka otworzyła oczy i uniosła głowę.

- Cześć Anno. O, już wstałaś. Jak się czujesz? Coś ci podać?

- Nie, dziękuję. Ale chciałabym skontaktować się z tym facetem, co wczoraj tu przyszedł. Chcę go o coś zapytać. Możesz mi to załatwić?

Policjantka patrzyła na nią zdziwiona.

- Na pewno? Wczoraj bardzo się zdenerwowałaś i... -Wiem. Nie powinnam być taka... nie, na pewno nie.

Chcę się z nim zobaczyć. Może powie nam coś więcej. No wiesz, coś - och, właściwie nie wiem - po prostu chciałabym się z nim zobaczyć.

Pani Calvert wiedziała, że mąż podejrzanej odpowiedział już na wszystkie możliwe pytania, które mogły stanowić klucz do poszukiwań. Ucieszyła się jednak słysząc, że może zrobić coś konkretnego, aby zająć Annę w czasie, gdy dochodzenie biegło swoim torem. Najważniejsze było to, że mogła pomóc nieszczęśliwej matce. Przywykła do różnych drażliwych sytuacji i często podczas pracy musiała zaspokajać dziwaczne prośby.

- Dobrze, zrobię to. Zadzwońię do inspektora Grahama. Załatwi to dla ciebie.

* * *

- Jak się czujesz?

- Bez zmian. Tylko to uczucie przepelnienia jakby się trochę przesunęło w dół. A ty jak?

- Jak ojciec. Może nie powinienem tego mówić, żeby nie zapeszyć, ale nie mogę się powstrzymać. Naprawdę. Czuję się jak ojciec. I opiekun.

Kocham cię.

Julia się uśmiechnęła.

- Ja też cię kocham. Jak ojciec? Brzmi nieźle, co? Ja nie mogę powiedzieć, że czuję się już jak matka, przynajmniej nie bardziej niż zwykle. Ja nie...

Przerwała. Do ich stolika podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie. Po wylewnym, typowo włoskim powitaniu z wyraźną dumą wyrecytował z pamięci menu, oferując im najprzeróżniejsze wspaniałości. Kiedy zignorowali jego sugestie i zamówili jedynie prostą pastę dla Julii, a kotlet cielecy dla Michała, wyglądał na nieco rozczarowanego.

W tej małej pobliskiej restauracyjce czuli się bezpiecznie. Kiedy żadnemu z nich nie chciało się pichcić albo nie mieli siły na robienie zakupów, uciekali do tej niewielkiej knajpki. Duże, wyblakłe fotografie wybrzeża z okolic Amalfi, oprawione tak, aby wyglądały na widok z drewnianych okien, były dokładnie takie same - jeśli nie bardziej zakurzone - jak tego dnia, kiedy przyszli tu pierwszy raz. Czerwone, kraciaste serwety na stołach i świeczki w butelkach po chianti stwarzały atmosferę ponadczasowej przytulności. Kiedy tu jedli, opadało z nich znużenie i chęć do kłótni - zupełnie jakby zostawiali je przy wejściu razem z płaszcami.

Nie powiedziała całej prawdy. Nie czuła się tak samo jak wcześniej. Zaszła pewna zmiana - niewielka, ale niewątpliwa. W każdym razie zbyt mała, aby można się było nią dzielić. Zachowała ją dla siebie bynajmniej nie z powodu jakiegokolwiek oziębłości w stosunku do męża. Przeciwnie, żywiła do niego nadzwyczajną życzliwość. Jednak nieznaczące uczucie przepełnienia w dole brzucha było tak subtelne, że nie chciała o nim mówić, aby nie zapeszyć. Niech minie kilka dni i wtedy, po cichu, odważy się przyznać, że jest... och, gdzież by mogła nawet pomyśleć to słowo, że jest... nie, nie powie go, nawet w myślach.

- Co chciałaś powiedzieć? - spytał Michał, oddzierając papier z paczki chrupkiego pieczywa.

- Och, tylko to, że nie powinnam oczekiwać czegoś więcej. Przynajmniej nie tak rozpaczliwie, jak do tej pory. Po prostu mam świadomość, że coś zrobiliśmy, no wiesz, o co mi chodzi. To jest - och, Michale, popatrz tylko! - ostatnie słowa wymówiła szeptem i skinęła głową w stronę sąsiedniego stolika. Siedziała tam liczna włoska rodzina, hałaśliwie i radośnie zjadająca duże porcje pasty, gestykulując przy tym i śmiejąc się wesoło.

- Humory im dopisują - uśmiechnął się do niej Michał.

- Nie, nie o to mi chodzi, mam na myśli tego małego. Michał podążył za spojrzeniem Julii i dostrzegł to, co ona. Starsza kobieta, siedząca na końcu stołu, trzymała na ramieniu malutkiego, czarnowłosego bobasa. Plotkując z młodą dziewczyną obok, pocierała mu plecki i lekko kołysała. Oczy dziecka były otwarte. Wyzierały z bladej twarzyczki i wyglądały jak dwie rodzynki w surowym cieście. Malec z powagą patrzył na Julię, jakby dzięki temu mógł zrozumieć to, co zobaczył.

- Czy nie jest słodki? - szepnęła. - Taki maleńki!

- Prawda? - odszepnął Michał. Dotknął leżącej na stole ręki Julii i lekko ją uściskał. Nie chcąc popsuć dobrego nastroju, w jakim ją zastał po powrocie z biura, nie zadawał jej dziś żadnych pytań. Teraz stwierdził, że nadszedł właściwy moment. Kiedy stanęły przed nimi zamówione napoje, delikatnie cofnął swoją dłoń. Taktownie nie skomento-

wał tego, że Julia wzięła sok pomarańczowy zamiast ulubionego campari. Nachylił się do niej. - Opowiedz, jak było, kochanie? Poszło tak dobrze, jak się spodziewali? Czy wszystkie trzy...

- Tak, wszystko w porządku. Właściwie nawet lepiej, niż myślałam. W świetle świec wyglądała na prawie szczęśliwą. Kiedy z jej twarzy zniknął grymas goryczy i smutku, znów była tą samą dziewczyną, którą poślubił. Miała na sobie niebieską, płócienną sukienkę bez rękawów, z łódkowym wycięciem przy szyi, lekko dopasowaną w talii i biuście. Nie obciskając jej kształtów, podkreślała wysmukłość figury i tę klasyczną zmysłowość, którą tak w niej uwielbiał. Na szyi zawiesiła złoty łańcuszek, który kupił jej dwa lata temu podczas wakacji w Grecji, a blond włosy, zaczesane na jedną stronę twarzy, spływały złotą kaskadą, zasłaniając jeden z perłowych klipsów.

- Cudownie wyglądasz - powiedział, całując ją w policzek.

Uśmiechnęła się i dodała:

- Tym razem nie miałam znieczulenia. Było podobnie jak podczas poprzednich badań. Bardzo prosty zabieg. I szybki.

- Nie wkładali ci tego plastikowego przyrządu?

- Wkładali, ale już się przyzwyczaiałam. Prawie nie zwróciłam uwagi.

Michał poczuł nikłe ukłucie zazdrości i jednocześnie zawstydzenie, że jest taki dziecinny.

- Naprawdę? - spytał, kpiąco unosząc jedną brew. - Podobało ci się, co?

- Och, Michale, nie bądź śmieszny! Daleko temu do przyjemności.

Cholera, jesteś taki sam jak Harriet! Gdybym miała coś do powiedzenia na ten temat, zamiast plastikowej sondy wymyśliłabym coś lepszego. A ty, po tym wszystkim, co przeszłam, jeszcze myślisz, że sprawiło mi to przyjemność! Uważaj, wkładasz krawat w masło!

Obydwoje naraz zaczęli się śmiać, oddając się żartom i docinkom.

* * *

Antoni Northfield opowiadał swojej dziewczynie o minionym dniu. Wziął już prysznic, przebrał się w luźne beżowe spodnie i białą, rozpinaną koszulę. Mokre włosy zaczesał do tyłu. Podwinięte rękawy odsłaniały przedramiona. Andrea lubiła go takim: zrelaksowany i najwyraźniej pewny siebie; zmęczenie po całym dniu pracy zostało już zmyte, pozostał tylko niewielki ślad ciężającej na nim nadziei na złotą przyszłość, jakiej od niego oczekiwano. Rozparł się na kremowej kanapie, świadomy swego dobrego wyglądu i jak dotąd możliwych do przyjęcia życiowych postępów. Pociągnął ze szklanki kolejny łyk whisky. Dzieciństwo w Hampshire, u boku wiernej rodzinki: ojca lekarza, matki muzyka i dwójki młodszego rodzeństwa pozwalało sądzić, że jego życie będzie usłane różami. Czasem tylko na horyzoncie pojawiała się mała chmurka - strach, że nie będzie w stanie sprostać wymaganiom rodziców i nie spełni ich oczekiwań. Jako pierworodny syn, choć nigdy o tym nie mówiono, miał być gwarancją kontynuacji medycznych tradycji rodzinnych i zostanie, jak ojciec i dziadek, lekarzem. Nikt nawet się nie domyślał, jaki niepokój wywoływały w nim te oczekiwania. Podczas gdy młodsi brat i siostra spokojnie żeglowali przez prace domowe i egzaminy, on walczył na wzburzonym morzu; kiedy rodzice gładko pieli się po kolejnych szczeblach społecznej drabiny Hampshire, zapraszani na przyjęcia, on zataczał się pijany. Jednak gładka buzia była wielkim atutem, a dzięki ciężkiej pracy i wieczornym zmaganiom z własnym lenistwem jakoś zdołał ukończyć akademię medyczną. Przez ten czas nauczył się jednak korzystać ze swej fizycznej atrakcyjności. Robiąc dobry użytek z wpływów, jakimi cieszył się ojciec w lekarskim świecie, wylądował na posadzie w dużym londyńskim szpitalu. Tam wreszcie mógł w pełni wykorzystać swój wrodzony potencjał, a kiedy zaproponowano mu przeniesienie na oddział leczenia bezpłodności, uznał to za znak, że swoje talenty najlepiej spożytkuje w służbie kobietom. Kiedy profesor Hewlett zrezygnował z pracy w szpitalu i założył prywatną klinikę na Weymouth Street, zaprosił go do współpracy. Kolejne sześć lat uczyniło go pełnowarto-

ściowym członkiem zespołu. Był kompetentny, a styl jego pracy robił wrażenie. Klinika prosperowała coraz lepiej i wkrótce wszyscy członkowie zespołu zaczęli doceniać finansowe i zawodowe korzyści, jakie niósł za sobą udział w sukcesie. Jedynym cieniem, jaki czasem okrywał tę jasną i prostą drogę kariery, był skrzętnie ukrywany lęk, który nawiedzał go w najmniej oczekiwanych momentach - podczas przyjęcia, pobierania komórki jajowej czy w środku nocy. Obawiał się, że nie całkiem na to wszystko zasługuje i pewnego dnia może wypaść z wozu, na którym jedzie. Wydawało mu się, że brakuje mu czegoś najważniejszego - jakby ubiegał się o tron, nie mając szlacheckiego tytułu, pieniędzy ani świty. Nie przewidział, że główną przyczyną postępów i stabilizacji życiowej będą jego zalety fizyczne. Przyglądał się, jak Andréa siada w fotelu naprzeciw, podciągając bose stopy pod zgrabne uda. Zarzuciła mu rękę na szyję. Poczul, jak whisky rozgrzewa go od środka, usuwając resztki czającej się niepewności.

- Co tam słyhać, kochanie? Jak dziś poszło?

Andréa pracowała w dziale public relations przedsiębiorstwa marketingowego, obsługującego kilku większych producentów żywności. W reklamowaniu zupek w proszku i warzyw w puszkach miała, oględnie mówiąc, takie same zasługi, jak Antoni w powiększaniu szeregów ciężarnych niewiast. Pierwotne marzenia o pracy w dziennikarstwie, czyli tropieniu prawdy i wywlekaniu niesprawiedliwości na światło dzienne, porzuciła mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Antoni przekonał się, że więcej pożytku dla ludzkości przyniesie jego praca w prywatnej klinice niż dzierżawienie swych umiejętności publicznej służbie zdrowia. Po raz pierwszy spotkali się podczas realizowania przez nią programu badawczego, dotyczącego niepłodności - była to część promocji jakiegoś producenta witamin - z którego zresztą potem zrezygnowano. Jeśli chodzi o technikę przeprowadzania wywiadów, Andréa nie miała sobie równych. Zakładała nogę na nogę, aby podkreślić ich długość, manipulowała w ustach ołówkiem, trzymanym wypielegnowaną dłonią, od czasu do czasu prowokująco przygryzając jego czerwony koniec lśniąco białymi zębami, i w skupieniu wy-

słuchiwała opowieści o ruchliwości spermy. Antoni nie zwlekał z propozycją, aby dyskusję dokończyć podczas lunchu, a zanim minął tydzień, badanie ruchliwości spermy straciło swój teoretyczny charakter. Po dwóch latach ich związek był stabilny i satysfakcjonujący, chociaż Antoni martwił się, że to wszystko jest zbyt piękne, aby mogło być prawdą, i że pewnego dnia Andrea dostrzeże jego skrzętnie ukrywany brak pewności siebie. Sama nie miała takich rozterek, była otwarta i zadowolona.

Nadal pracowała w tej samej agencji, a ostatnio powierzono jej promocję paczkowanej pizzy, która co prawda wciąż cieszyła się ogromnym powodzeniem, ale przy rosnącej konkurencji na rynku producent Middlesex Foods zaczął się obawiać o swoje wpływy ze sprzedaży. Tego dnia Andrea przeprowadziła właśnie prezentację swojego planu promocyjnego pizzy przed szefem do spraw marketingu. Czytelnicy większości krajowych gazet oraz najbardziej poczytnego czasopisma kobiecego mieliby przysyłać pomysły na nową pizzę, a udział w konkursie kosztowałby funta. Zarobione w ten sposób pieniądze zamierzała przeznaczyć na cele charytatywne. Andrea była dumna ze swojego planu: przewidywał on potrójny atak. Po pierwsze, przez trzy kolejne tygodnie w prasie byłoby głośno o pizze, występującej pod nazwą „Pizza Pete”, za cenę jednego weekendu we Włoszech dostałaby kilkaset pomysłów na nowy rodzaj pizzy, a cel charytatywny całej operacji przydałby nieco ciepła.

- Chyba nieźle mi poszło. Chcieli, abym przedstawiła im propozycje tego celu charytatywnego. Miałam pewien pomysł, ale nie zdążyłam o nim powiedzieć, wspomniałam tylko, że zrobiłam listę propozycji. Musi to być coś, co będzie się dobrze kojarzyć z pizzą. Nie chodzi oczywiście o żadną chorobę, na którą zapadniesz, nie mogąc jej spróbować, ale o przemyślenie informacji o tym, że cały dochód z konkursu na przepyszną, nową pizzę zostanie przeznaczony na pomoc dzieciom.

Od czasu do czasu medyczna ekspertyza Antoniego okazywała się pomocna, a i Andrea mogła poradzić Antoniemu, jak wybrnąć z kłopotów, spowodowanych na przykład sensacyjnym artykułem na temat pozbywania się embrionów czy rozdysponowywania komórek jajowych.

- No cóż, są takie przypadki, od których można stracić apetyt. Mam na myśli ciężkie upośledzenia i tak dalej, ale chyba najgorzej wyglądają z tym dorośli.

- Tylko nie to! Nie chcę zdjęć staruszków z pochyloną głową i cieknącą z ust śliną - zaśmiała się Andrea. - To powinny być dzieci i mają słodko wyglądać.

Zapadła cisza. Zastanawiali się w milczeniu, które z ciężkich upośledzeń, takich jak mongolizm, ślepotą czy niepełnosprawność fizyczna najlepiej „pasuje” do wizerunku pizzy.

- Jest taka straszna choroba skóry, która powoduje, że samemu się wygląda jak pizza - powiedział Antoni, unosząc brwi na widok Andrei, która krzywiąc się z obrzydzenia w końcu wybuchnęła śmiechem. - Nie, no naprawdę, to okropne. A może by tak zrobić zdjęcie komuś w śmietniku, aby to wszystko było bardziej, no... życiowe?

- Och, przymknij się - chichotała Andrea - na nic się nie przydajesz. A może to ja źle zrozumiałam; może uważasz, że znowu powinniśmy dać te rumuńskie sieroty? Wszystko jedno. Lepiej pójdę się przebrać, skoro umówiliśmy się z Rachel i jej paczką. O której będą?

Wstała i strzepnęła przód podkoszulka. Oboje zwykle wieczorem zmieniali ubrania, rezygnując ze schludnych mundurków na rzecz dzinsów, swetrów i sportowych koszulek Calvina Kleina.

- Umówiłem się na ósmą w The Lion - odpowiedział Antoni. Kiedy wychodziła z pokoju, dodał: - Wiesz kochanie, jedna pacjentka leciała dziś na mnie.

- Nie ostatnia! - odkrzyknęła z sypialni. Mówiąc to, cieszyła się z poczucia bezpieczeństwa, jakie dawał jej ich związek. - Ładna?

- Niezła, choć dla mnie trochę za stara. Tak zwana doświadczona kobieta. Nie mogła się powstrzymać, podobało się jej. One myślą, że ja nie widzę, ale ja zawsze wiem.

- Jesteś świntuchem. Gdzie twoja lekarska dyskrecja i bezinteresowność?

- Och, jest na swoim miejscu. Po prostu chciałem ci dokuczyć, to wszystko. Pośpiesz się, kochanie, albo za chwilę ciebie zbadam. Zaczynam się nudzić.

Rozdział 9

Julia tęskniła za regularnymi wizytami w klinice. Kiedy codziennie chodziła na zastrzyki, stymulujące pracę jajników, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się uzależniła od tego rytuału. Jak wiele dla niej znaczyły rozmowy z ludźmi, którzy wiedzieli, przez co przechodzi! Ponieważ nie pozostało jej nic do zrobienia z wyjątkiem czekania, starała się ponownie rzucić w wir pracy. Nie była jednak w stanie na niczym się skupić. Wciąż znajdowała wymówki, aby pobyć chwilę sam na sam z myślami. Żałowała w duchu, że czas nie płynie szybciej, i bała się chwili, kiedy wszystko się wyjaśni. W klinice otrzymała kolejną ulotkę informacyjną, którą czytała raz za razem, gdy tylko znalazła się w biurze sama. Wśród szeregu porad jedna była zupełnie niewykonalna: „Po wszczępieniu embrionu radzimy wrócić do rutynowych obowiązków”, i kończyła się zdaniem: „Po stwierdzeniu rezultatu, bez względu na to, czy będzie on pozytywny, czy też nie, uprzejmie prosimy o kontakt”.

- Spróbuj przestać - wymamrotała sama do siebie.

Często wyobrażała sobie w duchu, jak to będzie, kiedy zadzwoni do kliniki. - Dzień dobry, mówi Julia Evans. Pomyślałam, że będą państwo zainteresowani... jestem w ciąży... Tak, to dobra wiadomość, prawda? Jesteśmy wzruszeni... tak, około czternastego, piętnastego lipca, jak przypuszczam - wakacyjny dzieciak... Tak, dziękuję, to miło z pana strony... tak, oczywiście. Będę szczęśliwa, mogąc... pojutrze? Tak, pasuje. W takim razie do zobaczenia.

Zastanawiał ją fakt, że zawsze w tych rozmowach mówiła do Antoniego Northfielda. I ten dziwny pomysł, że poprosi ją o przyście do kliniki na specjalne badanie. W rzeczywistości doskonale wiedziała, że jeśli cała sprawa zakończy się sukcesem, domowy lekarz wybierze jej położną, która będzie się nią zajmować, i w ten sposób jej kontakty z kliniką zostaną ostatecznie zakończone.

Fizycznych objawów, które albo zawiodą jej nadzieje, albo potwierdzą, mogła się spodziewać po upływie dwunastu dni. Potem zrobi badanie krwi i jeśli wynik okaże się pozytywny, będzie skakać z radości. Chociaż wiedziała, że jest jeszcze za wcześnie, podczas każdego pobytu w toalecie sprawdzała, czy na bieliźnie nie ma śladów krwi, a w kąpielni obserwowała sutki, czy przypadkiem nie są obrzmiałe. Teraz przynajmniej czuła, że to nieustanne sprawdzanie nie jest bezpodstawne: nikt nie mógł zaprzeczyć, że nosi w sobie embriona, a ewentualność jego wzrostu i rozwoju jest całkowicie realna. Nie lubiła myśli, że być może już obumarł, a jej ciało jest w trakcie pozbywania się tej odrobiny - nigdy nie poznanej i nie opłakiwanej przez nikogo. Tylko w nocnych koszmarach czasami jawiło się jej maleńkie, białe ciało z bezwładnymi, pletwiastymi rękami, oczami otwartymi i zasnutymi mgłą jak u nieżywej ryby, wyslizgujące się pomiędzy jej nóg w strumieniu wody i krwi. Z takich snów zrywała się zrana potem i przerażona. Nie budziła Michała i nie prosiła go o podanie herbaty z obawy, że wyznanie swoich lęków może je bardziej urealnić. Julia zauważyła, że Michał odnosi się do niej w inny, bardziej pieśczośliwy sposób. Bez przerwy ją adoruje, jakby chciał ją prowadzić i ochraniać. Ona jednak odbierała to jako przesadną troskliwość. Irytowało ją, kiedy z niepokojem patrzył, jak wstaje z krzesła albo zbiega ze schodów - zupełnie jakby nie potrafił powstrzymać tej przedwczesnej potrzeby specjalnego traktowania jej. - Jestem taka sama jak przedtem! - krzyczała na niego w myślach. - Nie patrz tak na mnie! Nie znoszę tego! Jeszcze nic nie wiadomo, nic nie wiemy!

Nigdy nie wypowiedała tych słów na głos, udając, że nic nie zauważa, i wygłaszała jedną ze swoich praktycznych

uwag. On, nieświadom niczego, otaczał ją nadmierną opiekuńczością, co z kolei drażniło ją coraz bardziej.

Julia po drodze z pracy miała w zwyczaju wpadać do Harriet. Michałowi mówiła, że potrzebuje oddechu od domu i biura i że pół godziny pogaduszek z przyjaciółką działa odprężająco, odciągając ją od ponurych myśli na własny temat. Prawdziwym powodem tych odwiedzin były sklepy, które mijalała, trochę tylko nadkładając drogi, idąc z biura na Sloane Square do mieszkania Harriet na Pimlico. Kilka z nich działało na nią jak magnes: buciki od Fraley's Rusks i paczki z jednorazowymi pieluchami, którym przyglądała się przez kilka minut, mały kiosk z gazetami, gdzie nie mogła sobie odmówić przejrzenia „Matki i dziecka” czy „Rodziców”; Centrum Nauczania Początkowego, z malutkimi krzeselkami i drewnianymi zabawkami. Celem tych pielgrzymek był nawet sklep z ubraniami ciążowymi - oglądała tam takie same miękkie i proste w kroju stroje, jakie nosiła Harriet, gdy była w ciąży. Zastanawiała się nad wyborem kolorów, a zamiast brzucha Harriet wyobrażała sobie własny; na wysokości talii rozpychał tkaninę, jednego dnia akwamarynową, innego granatową. Zawsze z uśmiechem patrzyła na jego olbrzymie wymiary. Jak Matka Ziemia.

* * *

- Kochanie, za dużo pracujesz. Przyjdźcie obydwójcie na kolację. - Głos matki w słuchawce był niespokojny i pełen zrozumienia, choć jak zwykle pełen przesady.

- To miło z twojej strony, mamo, ale mam trochę zaległej pracy i w tym tygodniu nie chcę nigdzie wieczorem wychodzić.

- Bzdura! Powinnaś teraz dbać o siebie. Nie chodzi tylko o ciebie, ale i o dziecko! Odpoczynek raz na jakiś czas jest dla ciebie wskazany. To głupota z twojej strony, jeśli w tym stanie nie robisz wszystkiego, co się da, dla swojego dobra. Wiesz, jak się będziesz czuła, jeśli coś się nie powiedzie.

- Mamo, nie rozumiesz. W klinice mi powiedzieli, bym nie robiła absolutnie żadnej różnicy...

- Nie bądź naiwna, Julio. Jak myślisz, dlaczego jest teraz tyle szumu wokół tych dzieci w probówkach? Wiesz, jakie mam na ten temat zdanie, kiedy się chce zająć w ciąży, praca nie robi dobrze. Kiedy ja wyszłam za mąż...

- Tak, tak, mamo, wiem.

Julia nie miała ochoty kolejny raz wysłuchiwać opinii matki na temat kobiet pracujących. W jej czasach kobiety rezygnowały z pracy po wyjściu za mąż; za jej czasów były zadowolone z usługiwania mężom, prac domowych i wychowywania dzieci; za jej czasów nie rozmawiało się tyle o seksie i tych sprawach; za jej czasów dzieci poczynano „normalnie”, jak to nazywała. Julia znała to na pamięć. Ze sposobu, w jaki matka mówiła, można by wnioskować, że jej własne małżeństwo było szczęśliwe, a jedyna córka kochanym i zrównoważonym dzieckiem. Prawda wyglądała całkiem inaczej, a złe wspomnienia Julii nie dotyczyły jedynie okresu, kiedy miała anoreksję. Ojciec zawsze był milczkiem - lata pracy w państwowych urzędach nauczyły go niewściubiania nosa w nie swoje sprawy. Unikał konfrontacji i raczej siedział cicho, by nie ryzykować upomnień, które w przyszłości mogłyby zwrócić się przeciwko niemu. Kiedy problemy nerwowe Julii wyszły na światło dzienne, jeszcze głębiej zaszył się w sobie. Przyjmując obojętną postawę, sprawy dyscypliny pozostawił żonie, która tylko zacierała ręce, mogąc zająć się córką według własnego uznania. Nieszczęśliwa dziewczynka oczekiwała, że poda jej pomocną dłoń, i tęskniła, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, za fizycznymi dowodami uczucia - nawet gniewu - jakie widziała u ojców swoich przyjaciółek. Wyczuwała także, iż małżeństwo rodziców nie należy do szczęśliwych, i bardziej niż oni sami uświadamiała sobie, jaka pomiędzy nimi panuje niezgoda, maskowana pozorami cywilizowanej wymiany zdań.

- Wiesz przecież, moja droga, że robię to dla twego dobra.

- Wiem, mamo. Jesteś naprawdę kochana, dobrze, przyjdziemy na tę kolację.

Dlaczego się zgodziła? Dlaczego matce zawsze udawało się wzbudzić w niej takie poczucie winy, że w końcu wszyst-

ko działo się według jej planu? Tak samo jak w dzieciństwie. Julia czuła, jak niepokój narasta w niej jak nowotwór.

- W środę?

- Doskonale. Kłamczucha.

* * *

- Czy rozmawiam z panem Evansem? Mówi inspektor Graham.

Przepraszam, że niepokoję pana o tak późnej porze, ale pomyślałem, że lepiej nie dzwonić do pana do pracy. Telefonowała do mnie pani Watkins. Nie wiem, jak pan zareaguje, ale chciałaby znów się z panem spotkać.

- Och, naprawdę? Czy ona...

- Zrozumiała pewnie, że wtedy zachowała się nieładnie.

- Biedna dziewczyna. Nie powinna robić sobie wyrzutów. Rozumiem ją. Mój Boże, jak mógłbym nie rozumieć.

- Chciała się jakoś zrehabilitować i jeśli znalazłby pan wolną chwilę...

- Oczywiście, oczywiście.

- Każda rzecz, która pomoże jej zachować spokój, jest dla niej dobra, rozumie pan.

- Co mam zrobić? Mam ją odwiedzić?

- Myślę, że to dobry pomysł, proszę pana, tak, jeśli pan może. Rzecz jasna ona nie chce się ruszać z domu, aby ewentualne wiadomości zastały ją na miejscu.

- No właśnie, czy coś już wiadomo? Dziś rano rozmawiałem z kimś od was, ale nie był w stanie...

- Obawiam się, że od czasu naszej ostatniej rozmowy nic się nie zmieniło, chociaż otrzymałem kilka raportów, które mogą się okazać przydatne. Wszystko wskazuje na to, że w związku z zaginionym dzieckiem rzeczywiście szukamy pani Evans.

- Czy z nim wszystko w porządku? Czy sądzi pan, że może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo?

- Jak już panu mówiłem, w podobnych sytuacjach trudno jest stwierdzić coś takiego. Podobnie jak pan jestem pewien, że pańska żona robi wszystko, aby mały był bezpieczny.

* * *

Julia zaczęła się niepokoić - dziwne. Nie mogła sobie przypomnieć imienia dziecka. To niesamowite; jak mogła zapomnieć? Zauważyła też, że ilekroć starała sobie przypomnieć moment jego narodzin, jakoś nie była w stanie ich sobie wyobrazić. Urodziła go, tak? Jasne, że tak. Wszystko jej się pomieszało. Simon. Tak się nazywał, prawda? Antoni chciał, żeby się nazywał Simon. Tak, oczywiście. W wyobraźni zobaczyła salę porodową. Antoni się uśmiechał, mówiąc coś o tym, że była wspaniała, albo że dziecko było, czy coś takiego. Był taki szczęśliwy i dumny.

Ale teraz zaczęła się niepokoić o Simona. Leżał cicho i wyglądał jakoś inaczej, co przeraziło Julię. Nie sądziła, że tak będzie; to było zbyt łatwe. Gdzie ten Antoni? Dlaczego nie przychodzi? Mówiła mu, gdzie ma przyjść? Widziała go przecież ostatniej nocy. Chyba tak. Nagle znów zapomniała. Dlaczego wszystko było takie pogmatwane? Poczowała przypływ takiego gniewu, jakiego nigdy wcześniej nie czuła. Kto tak wszystko utrudnił? Michał wie przecież, że ona nie znosi ciemności; dlaczego tak ją zostawił? Nie wstając, sięgnęła do torby po następną butelkę mleka. Nie była pewna, czy jeszcze się nie popsuło, ale kiedy wsadziła smoczek w usta małego, dziecko zaczęło ssać zachłannie; opadła na ziemię i podtrzymując butelkę jedną ręką, zamknęła oczy. Znów zobaczyła twarz Antoniego; zawsze się tak działo, kiedy zamykała oczy. Uśmiechał się do niej. Wiedziała, jak bardzo ją kocha, nawet ze sposobu, w jaki na nią patrzył.

- Kocham cię - szepnął. - Potrzebuję cię i kocham cię, najdroższa.

- Wiem, wiem - odszepnęła Julia. - Wiem kochanie. Gniew ją opuścił.

Roześmiała się głośno, unosząc głowę.

Simon westchnął cicho. Antoni zmarszczył brwi.

- A to co?

- To nasze dziecko, rzecz jasna. Nasze dziecko.

- Jak to nasze dziecko?

- To nasze dziecko, to, które nam zginęło. To Simon. Teraz już wszystko będzie dobrze. Mamy go z powrotem. -

Dlaczego Antoni wygląda na takiego zezłoszczonego? Dlaczego tak brzydko krzywi usta i tak na nią patrzy? - Co się stało, kochanie? O co chodzi? Och, przestań Antoni, boję się, co ci jest? Co się stało?

- Ty dziwko! - Nachylił się do niej i patrząc wyszeptał z wściekłością: - To dziecko Michała, twojego pieprzonego mężulka! Już to ustaliliśmy, nieprawdaż? Nie moje! Odpowiedz! Nie moje!

Dlaczego jego twarz zrobiła się taka duża! Przestała być twarzą Antoniego; wyglądała jak jej matka. Miała czerwony kolor; bała się, nie lubiła jej; chciała, aby był z nią Michał. Nie, nie Michał, chciała Antoniego. Chciała, żeby Antoni wrócił.

- Nie! Nie, przestań, proszę!

Twarz była teraz jeszcze większa. Znajdowała się tylko kilka centymetrów od jej własnej. Matka wyrzucała na nią potok słów:

- Ty dziwko! Leniwa, głupia, tłusta, mała dziwko!

- Kim jesteś?! - krzyknęła. - Kim jesteś? Gdzie Antoni?! Antoni już tu idzie, zostaw mnie w spokoju, Antoni mnie kocha, potrzebuje! On już tu idzie!

Twarz była tak blisko, że czuła jej zapach. Krzyknęła.

Simon odwrócił głowę i zakwilił.

** *

Wieczorem pokój Anny wydawał się mniejszy. Zasunięte zasłony i standardowa lampa, rzucająca żółte światło na podłogę, przypominały Michałowi gabinet ojca. Siedział na kanapie, z rękoma na kolanach, spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię, rozmawiając spokojnie i uważnie ze spiętą, zmęczoną dziewczyną. Nie musiał na nią patrzeć; i tak wiedział, że siedzi naprzeciwko na krześle, zalekniona, skupiona na tym, co do niej mówi, jakby odpowiednia koncentracja umożliwiała zrozumienie wszystkiego. W dłoniach ścisnęła zmiętą chusteczkę, a rękawy starej, błękitnej, szydełkowej sukienki opadały na jej nadgarstki, sprawiając, że wyglądała na jeszcze młodszą i bardziej kruchą niż w rzeczywistości.

- Próbowaliśmy przez tyle czasu, bardzo długo. Nie spodziewałem się, że to ją tak dotknie. Powinienem być bardziej tolerancyjny, teraz to wiem, ale wtedy tego nie rozumiałem.

- Rozumiem, naprawdę rozumiem - odpowiedziała Anna. Zabrzmiało to bardzo cicho i chrapliwie, zapewne z powodu długiego płaczu. Michał instynktownie odchrząknął, jakby tym sposobem chciał oczyścić jej głos.

- Teraz wiem, że wszystko, co się zdarzyło, było spowodowane chorobą. Powinienem być bardziej wrażliwy, ale sam się martwiłem. Nie trzymałem ręki na pulsie. Cięży na mnie wielka odpowiedzialność za to, co się stało. To moja wina, mogłem bardziej na nią uważać.

- Nie obwiniaj się. To zbyteczne. Policja pomogła mi to zrozumieć - jej głos teraz brzmiał lepiej, choć nadal był zachrypnięty. - Jeżeli ty masz poczucie winy, to co ja mam powiedzieć? Po tym, jak to się stało, przez kilka godzin myślałam, że zwariuję. Jak mogłam go tak zostawić? Jak mogłam? Odechciało mi się żyć. Przy życiu utrzymała mnie myśl, że on nadał mi potrzebuje. Oczywiście, że się oskarżasz, ja także - tylko co z tego? Trzeba go znaleźć, to wszystko. Inne rzeczy głównie mnie obchodzą. Nie mam do ciebie żalu ani nawet do tej twojej pieprzonej żony; nic mnie nie obchodzi. Chcę go mieć z powrotem i przysięgam, że nigdy więcej nie spuszczę go z oka. Nigdy.

Michał był nieco zszokowany jej językiem. Popatrzył na nią. Twarda z niej sztuka, wygląda jak zwierzątko, które zapędzone w kozi róg broni swoich małych. Zniknęła mała dziewczynka, którą widział wcześniej. Nie była dzieckiem, słabym i niewinnym, potrzebującym pomocy i oparcia; nawet ponad jej dorosłość przebijał się instynkt przeżycia - prymitywny i podstawowy.

- Mimo wszystko chciałam powiedzieć przepraszam - stwierdziła. -

Wczoraj potraktowałam cię fatalnie.

- Nie musisz tego mówić.

- Wiem, ale chciałam. To miło, że przyszedłeś - byłeś naprawdę dzielny - nie powinnam cię wyrzucać w taki sposób.

- Proszę, nie wolno...

- Nie. Pozwól mi przeprosić. Mam się czym martwić i bez ciebie. Przepraszam. A teraz pozwól, że zrobię ci kawy albo czegoś do picia. Chyba nie mam nic zimnego.

- Nie musisz mi nic robić, naprawdę.

- Posłuchaj mnie. Prawie że tu oszalałam. Nawet teraz nie jestem pewna, czy to się nie stało. Pozwól mi, na Boga, zrobić coś normalnego, zaparzyć ci kawę, do cholery. Przepraszam.

- Tak, oczywiście. Niech będzie czarna z jedną łyżeczką cukru.

* * *

Kolacja u matki Julii zawsze wyglądała tak samo. Za każdym też razem, kiedy Michał i Julia się przebierali (matka niechętnie zrezygnowała z czarnych krawatów, ale oczekiwała minimum wieczorowej sukni i eleganckiego fraka), wieczór *nieodmiennie zaczynał się* retorycznym, choć stanowczym pytaniem Julii „po co tam idziemy?”

Tym razem nie było inaczej.

- Nie wytrzymam, Michale. Po co idziemy? - spytała, przysiadając na stole i zapinając naszyjnik. - Wiesz, jak tego nie cierpię. Dlaczego ciągle pozwalam, aby mnie zmuszała? Zawsze zabierała mnie tam, gdzie ona chciała pójść, nawet kiedy chodziłam jeszcze do szkoły. Och, przypominam sobie te wszystkie balety, na które mnie wyciągała tylko dlatego, że powinnam je lubić. Jakoś zawsze czułam się winna, że mnie nudzą.

Naprawdę nie mam ochoty tam iść. Może zadzwonimy i przeprosimy?

- Daj spokój, kochanie, wiesz, że nie możemy. Będzie dobrze. Ona naprawdę lubi się z tobą spotykać; po prostu odpręż się. Ona zawsze tak na ciebie wpływa. Już dobrze? Nie jesteś przypadkiem chora?

- Nie, nie, czuję się dobrze. Nie o to chodzi. Tylko to jej irytujące drobnomieszczactwo. Boże, chyba nie muszę ci tłumaczyć. Wiesz, jak ona na mnie działa. Sama nie wiem, dlaczego zawsze się poddaję. Zastępuję jej ojca. Teraz, kiedy go już nie ma, wszystko spada na mnie, wiesz.

- Nie bądź głupia, kochanie. Ona nie jest taka zła, jak mówisz. Całkiem lubię staruszkę.

Julia nagle spoważniała.

- Nic nie rozumiesz. Jak możesz tak mówić? Nie wiesz, przez co przeszłam.

- Wiem. Przerabialiśmy to tysiąc razy.

- Ale mówiłam ci, że nic nie rozumiesz. To ona wpakowała mnie do tych szpitali, Michał, ona...

- Tak, tak, Julio, wiem. Nie zaczynaj znowu. Naprawdę przesadzasz, idziemy tylko na kolację, na Boga. Zrobmy to po prostu, będziemy mieli na jakiś czas z głowy. Tym razem będzie lepiej.

- Nie byłabym taka pewna. Michał uśmiechnął się do niej.

- Nie dramatyzuj. - Wziął ją w ramiona i znów się uśmiechnął. - W tym stroju wyglądasz cudownie, kochanie. Jesteś piękna i kocham cię.

To była prawda. Julia rzeczywiście wyglądała przepięknie. Miała na sobie prostą, czarną, aksamitną suknię z czarną, jedwabną górą bez ramiączek, która podkreślała jej kształtne piersi. Włosy upięła w luźny kok. Michał nachylił się i pocałował jej odsłoniętą szyję.

- Chodźmy stoczyć tę walkę - powiedział. - Ciekawy jestem, jakich to wyjątkowych gości tym razem dla nas zaprosiła. Chyba nie może być już nic gorszego niż ten amerykański makler.

- Nie, to nie był makler, tylko ktoś od nieruchomości albo coś w tym rodzaju, nie pamiętasz?

- Pewnie masz rację. Nieważne, pobił rekord w nudziar-stwie. Nawet ona by z nim przegrała.

- Nie dałabym głowy - roześmiała się Julia. - Mamusia posiada ukryte talenty, zasoby energii, które wykorzystuje, urządzając przyjęcia jeszcze lepsze niż poprzednie. Mam czasem wrażenie, że tych ludzi trzyma gdzieś w kredensie. Nie wierzę, że mogą funkcjonować poza jej spędami, w przeciwnym razie już dawno ktoś by ich zamordował. Tak, układa ich na półkach. Nudziarze, supernudziarze i kosiarze umysłów.

- Czy myślisz, że możemy już iść?

- OK - westchnęła Julia. - Musimy stawić temu czoło. Droga mamuniu, oto nadchodzimy.

Cynthia Palmer zajmowała mieszkanie w dużym, dobrze utrzymanym bloku na St John Wood (od momentu, kiedy w wieku lat sześćdziesięciu ośmiu owdowiała, nie zgodziła się, aby w jakiegokolwiek korespondencji pojawiło się jej prawdziwe imię). Krocząc po marmurowym, oświetlonym halogenami holu Michał miał poczucie nierealności tego wszystkiego. Portier, jak zwykle nienagannie umundurowany, powitał ich skinieniem głowy i protekcjonalnym uśmiechem. Niewielka winda, umeblowana jak mały salonik, wytapetowana na czerwono i ozdobiona obrazkami w złoconych ramach, zawiozła ich na trzecie piętro. W wąskim przejściu pomiędzy staromodnymi, metalowymi drzwiami dźwigu a otwartymi drzwiami do mieszkania czekała na nich matka Julii. Dziwne, że Cynthia zawsze uparcie witała ich w tym szczególnym miejscu. Na wąskim kawałku przestrzeni, ograniczonym jeszcze przez ciężkie drzwi windy z trudem mieścili się we trójkę, całując się na powitanie przed wejściem do zdecydowanie mniej zatłoczonego przedpokoju.

- Kochanie, wyglądasz prześlicznie! - rozpromieniła się na widok Julii, która próbowała wyjść z windy, przeciskając się obok wydatnej matczynej piersi. - Ty także, Michale, obydwójecie dobrze wyglądacie, to widać. Jestem taka szczęśliwa, że przyszlście, ponieważ jest tu ktoś, kogo szczególnie chcę... o, przepraszam... jest tu ktoś, kogo szczególnie... Psiakość, mój szal, Michał, kochanie, czy mógłbyś jeszcze raz otworzyć windę, dziękuję. Jak już mówiłam, jest tutaj ktoś... Och, co za cudowne perfumy, Julio, kochanie, to nowe? Wejdźcie, wejdźcie, bardzo proszę. Potok słów płynął nieprzerwanie, podczas gdy wysiadali z windy, szli przez przedpokój, ostrożnie mijając chwiejący się marmurowy stolik obstawiony srebrnymi szkatułkami i chińskimi figurkami. Wreszcie dotarli do małego, przyjemnie oświetlonego salonu. Po chwili, którą zajęło połapanie się w przeładowanym ozdobami pokoju, Michał zauważył małego człowieczka w czarnym, przykurzonym garniturze, zajmującego honorowe miejsce na aksamitnym fotelu w kącie pokoju. Michał znał je aż za dobrze; fotel dawno już miał za sobą swą młodość, a latami wypychane siedzisko

prawie dotykało podłogi, tworząc głęboką dziurę. Nieświadomi niczego goście siadając w nią, zapadali się nisko, nie przewidując, ile trudu będzie ich kosztowało wydobyć się z niej z powrotem.

Michał szybko przeszedł po perskim dywanie w kierunku mężczyzny, który właśnie usiłował wstać. Michał podał mu rękę.

- Nie, proszę nie wstawać. Jestem Michał, zięć Cynthii, a to moja żona, Julia.

- Henry Pulford, mój dobry przyjaciel, Michale - dodała Cynthia. - Wolisz sherry czy dżin z tonikiem?

- Poproszę o sherry.

Na twarzy Pulforda, któremu pozwolono nie wstawać, odmalowała się widoczna ulga.

- Bardzo mi miło - uśmiechnął się i podał Michałowi dłoń. - Miło mi pana poznać. I panią, Julio. Matka dużo mi o was opowiadała.

Teraz Julia uściśnęła suchą, zimną rękę. Uśmiechnęła się do gościa.

- O tak, z pewnością - odpowiedziała. - Mam nadzieję, że nie zanudzała pana rodzinnymi opowieściami.

- Ależ skąd - odparł Pulford. - Mamy ze sobą wiele wspólnego. Matka opowiadała, że interesuje się pani...

- Julio, kochanie, usiądź. Nie powinnaś tyle stać, wiesz dobrze. Połóż nogi wyżej, kochanie, a ja podam ci soku pomarańczowego. A może wolisz mleko?

Zwyczaj przerywania w pół zdania, przy całkowitej nieświadomości tego, jak to przeszkadza w rozmowie, nigdy nie przestał denerwować Julii, chociaż już dawno przestała wytykać tę wadę matce oraz udawać, że nie słyszy. Ignorowanie wtrąceń owocowało tym, że matka powtarzała zdanie, stopniowo coraz głośniej, tak długo, aż wreszcie jej odpowiadano. I Michał, i Julia musieli dać spokój. Pomijanie wtrętów milczeniem było prostsze, mniej przeszkadzało pozostałym rozmówcom i pozwalało zachować względną kontrolę nad przebiegiem rozmowy.

- Wolę wodę mineralną, mamusiu, jeśli masz - odparła Julia, zirytowana, że matka za nią podejmuje decyzję nie-picia alkoholu, i dodatkowo tym, że ma rację.

- Co też mówiłem - ciągnął Pulford. - Aha, uważam, że mamy ze sobą wiele wspólnego...
- Gazowaną czy niegazowaną?
- Gazowaną, mamusiu.
- ...mamy wiele wspólnego. Wiem, że interesują panią minerały, Julio i...
- Chcesz lodu? Mam w lodówce, jeśli chcesz.
- Tak, poproszę. Dziękuję.

Cierpliwość, z jaką Pulford gładko znosił te wtrącenia, wskazywała na to, że nie był w towarzystwie Cynthii nowicjuszem. Opanował już sztukę podążania własnym torem myślowym, na pewien czas zapadając w pewnego rodzaju śpiączkę, aż do chwili, kiedy ponownie mógł podjąć rozpoczęty temat. Kiedy po raz czwarty Pulford otworzył usta, Michał w myślach przedrzeźniał „zawieszony zdanie”, postanawiając rozśmieszyć nim Julię po powrocie do domu.

- Jestem geologiem, a właściwie byłem. Przeszedłem na emeryturę.

Matka mówiła, że interesują panią minerały?

Julia przysiadła na małym, kwadratowym pufie przed gazowym kominkiem.

- Chyba nie można tego nazwać interesowaniem się. Przypuszczam, że mamusia trochę przesadziła; mamu, co mówiłaś o mnie i minerałach? - zawołała do kuchni. Po chwili czekania na odpowiedź, wypełnionej jedynie odgłosem lodu, gwałtownie wrzucanego do jakiegoś naczynia, kontynuowała: - Miała pewnie na myśli plastikowe pudełka, w których trzymam kamienie i różne skałki; niektóre z nich pochodzą z Muzeum Nauki, jeszcze z czasów szkolnych wycieczek. Nie pamiętam nawet, jak się połowa z nich nazywa.

- To bardzo interesujące.

Michał wiedział, że czeka ich wieczór rozmów o skamielinach i kwarcach. Wstał i poszedł do kuchni po drinki. Zdziwił się, jak bardzo ich potrzebuje.

Rozdział 10

Anna zaczęła płakać. Niepostrzeżenie z jej gardła wydobył się bardzo cichy szloch, a z oczu, zaszkłonych i lśniących, potoczyła się zabłąkana łza. Mówiła dalej, ocierając ją zmiętą chustką. Na jej twarz wystąpiło jeszcze więcej czerwonych plam. Michał patrzył na nią, hamując się przed nieodpartym pragnieniem przytulenia nieszczęsnej dziewczyny. Wiedział, że musi jej wysłuchać do końca i pozwolić, aby żal i poczucie winy wypłynęły na powierzchnię; tak naprawdę mógł dla niej zrobić tylko tyle.

- Jest dla mnie wszystkim, no wiesz. Wszystkim. Nie powinnam go była zostawiać, nawet na chwilę. Wiem, co teraz ludzie myślą. Nic mnie to nie obchodzi. Widziałam, jak na mnie patrzyli. Ale ja nie jestem złą matką, nie jestem taka, jak myślą. Teraz mi go zabiorą; powiedzą, że tak trzeba. Mają rację. Zostawiłam go. Ale tylko na minutkę, rozumiesz, nie wiem, jak to się stało; nigdy wcześniej tak nie zrobiłam, nigdy. Nienawidzę siebie.

Mówiła i mówiła szeptem, a Michał patrzył na jej młodą, poszarzałą twarz. Jak ktokolwiek mógł w ogóle coś takiego przeżyć? Stała mu się bardzo bliska, jakby znał ją już wcześniej, i domyślał się, że jest dla niej jedyną osobą, z którą może tak porozmawiać. Wiedział, że nigdy nie będzie w stanie opowiedzieć jej o wszystkim, przez co przeszedł przez ostatnie miesiące, ale jednocześnie chciał choć częściowo wytłumaczyć, co takiego ich łączyło.

Nachylił się i dotknął ręką jej dłoni.

- Opowiadałem już pani, że od lat chcieliśmy z Julią mieć dziecko - powiedział z powagą - i przez ostatnie dwanaście miesięcy, a może więcej, dużo przeszliśmy. To oczywiście nie stanowi wytłumaczenia dla tej strasznej rzeczy, która się wydarzyła, niemniej chciałbym pani jakoś powiedzieć o tym, że czuję się tak, jakbym też stracił dziecko. Po tym wszystkim wiem, że już nigdy nie będę miał syna, którego tak bardzo pragnąłem. Nie mówię tego po to, aby się nad sobą rozczulać, proszę pani...

- O Jezuu, mówże do mnie po imieniu, to...

- Dobrze, Anno, ty też mów do mnie Michał, dobrze? Widzisz, Anno, mówię to wszystko, bo myślę, że zniknięcie Harry'ego... wierzę, że potrwa ono tylko krótką chwilę, naprawdę wierzę, i ty też musisz tak myśleć, Anno... że zniknięcie Harry'ego znaczy dla mnie więcej, niż mogłoby się racjonalnie wydawać. Kiedy wczoraj powiedziałem, że go znam... Teraz żałuję, że byłem taki bezmyślny...

- Och, daj spokój, to nie było nic takiego, ja...

- Jest mi teraz głupio, że to powiedziałem. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję się tak, jakbym sam go stracił. Przepraszam, nie potrafię tego wyrazić, tak trudno to ubrać w słowa. Mam ogromne poczucie straty, nie tylko z powodu Julii. To straszne, co się stało, i bardzo smutne -ale z powodu Harry'ego. Po prostu cieszę się, że być może jestem jednym z niewielu ludzi, którzy mogą cię teraz zrozumieć, Anno. I myślę, że wszystko dobrze się skończy.

Przez chwilę patrzyła na niego i nagle, ukrywając twarz w dłoniach, rozplakała się głośno i żałośnie.

* * *

- Nie pije pani, Julio?

Pulford wziął właśnie kolejny kieliszek Puligny Montrachet. Julia, trzymając swoją wodę, odparła z wymuszonym uśmiechem:

- Ależ skąd, wręcz przeciwnie. Przepadam za winem i naprawdę brakuje mi lampki czy dwóch wieczorem.

Na moment przerwała. W powietrzu zawisło nie wypowiedziane pytanie.

- Wie pan, próbuję zająć w ciążę.

Matka zaśmiała się nerwowo, ale Julia zignorowała to i kontynuowała:

- Niektórzy mówią, że lepiej nie pić alkoholu nawet przed poczęciem i w pierwszych miesiącach ciąży. Ponieważ chcemy zrobić wszystko, aby nam się udało, uważam, że lepiej jest dmuchać na zimne.

- Istotnie, ma pani rację. Tak czy owak, ośmielę się stwierdzić, że to przyjemna sprawa. Próbuje dalej, na pewno w końcu się uda! - To samo powiedział kiedyś podczas rozmowy ze swoim kuzynem i jego świeżo upieczoną żoną, usłyszawszy o ich rodzinnych planach. Zdanie to bardzo się im spodobało, kuzyn ze zrozumieniem puścił do niego oko, a młoda kobieta zaczęła chichotać. Nie mógł zrozumieć, dlaczego teraz nie został doceniony i spotkał się z takim brakiem poczucia humoru.

- No właśnie! - wykrzyknęła triumfująco pani Palmer.

- Co powiedziałaś, mamó?

- Nic, kochanie. Pomyślałam sobie, że śmieszny jest ten cały biznes, według mnie, oczywiście.

Pulford poczuł nagle, że niechcący wszedł na grząski temat, więc pośpiesznie zaczął się wycofywać.

- Mój kuzyn i jego...

- Co masz na myśli, mówiąc śmieszny biznes, mamó?

- Nic takiego, kochanie, jestem pewna, że to doskonały pomysł, choć wydaje się taki... taki nienaturalny, wiesz, o co mi chodzi.

- Mój kuzyn ostatnio...

- Proszę pana, muszę wyjaśnić, że moja matka jest tym wszystkim trochę zakłopotana. Michał i ja nie mogliśmy w naturalny sposób począć dziecka, więc od kilku tygodni bierzemy udział w programie zapłodnienia in vitro.

Pulford wyglądał na zakłopotanego.

- Wie pan, dziecko z próbówki.

- Ach, rozumiem.

- Dziecko z próbówki - mruknęła grobowym głosem pani Palmer - niesamowite. Za moich czasów nie było takich dziwactw.

- Moja matka tego nie akceptuje, proszę pana - powiedziała cicho Julia. - Nie chcę pana w to mieszać, ale z dru-

giej strony nie ma powodu, aby ukrywać takie sprawy. Ona uważa, że nie powinniśmy mieć dzieci, skoro...

- Julio, to nonsens - przerwała jej matka. - Wcale tak nie uważam. Po prostu pomysł na dziecko z próbki nie podoba mi się tak do końca; nie jest naturalny, to wszystko, co mam do powiedzenia.

- Wiem, mam, że tak właśnie mówisz. Nie wiem natomiast, co przez to rozumiesz. Nie rozumiem, z jakiej racji twój Bóg czy twoje komórki albo może geny mają decydować, co jest naturalne, a co nie. I dlaczego to ukrywasz oraz dlaczego jesteś tego taka pewna. Albo czemu twój osobisty indeks, w którym masz napisane, co jest naturalne, ma się odnosić do mojego życia. Kto ci dał prawo? Skąd masz tę listę tych naturalnych działań?

- Nie musisz być nieuprzejma, Julio. Poza wszystkim, sama ci pomagałam podczas tego całego dziwnego leczenia. Twoja szpitalna przeszłość *powinna cię* uczulić na to, kto tak naprawdę o ciebie dbał. Pamiętaj, że to ja tam byłam, przez te wszystkie ciężkie lata, pamiętaj, kto się o ciebie troszczył. Uważam, że mam prawo mówić, co czuję. Nie tylko ja, sama wiesz, nie tylko ja uważam, że powinnaś pozwolić naturze działać w jej własny sposób. Czytałam wiele arty...

- Czy farbowanie twoich włosów jest naturalne?! - Julia nachyliła się do niej gwałtownie, podnosząc głos. - Czy twoje cesarskie cięcie było naturalne? Czy naturalne było to, że po moim przyjściu na świat mieliście z tatą oddzielne sypialnie? Czy...

- Julio, naprawdę wystarczy. - Michał położył jej dłoń na ramieniu. - Przestań, kochanie. Przestań.

- Czy naturalne było to, jak mnie karmili w szpitalu? Pozwoliłaś na to! Ty! Tak, masz rację, byłaś tam! Kto mi mówił, że mam nadwagę? Kto wciąż mi powtarzał, jak jestem brzydka? Tak, mam, z pewnością tam byłaś. Nie zapominaj, że ci wszyscy terapeuci i konsultanci wyraźnie mi powiedzieli, gdzie leżą korzenie mojej anoreksji. Uważaj, mam, tylko uważaj...

- Muszę już iść.

Pulford zaczął niezgrabnie gramolić się z fotela, ale Michał go powstrzymał.

- Proszę się nie przejmować. Wszystko w porządku, przepraszam pana za to wszystko.

- O tak, ja też przepraszam - dodała pani Palmer. - Moja córka zrobiła się trochę przewrażliwiona. Przeżywa teraz trudne chwile. Tak naprawdę wcale nie myśli w ten sposób. Proszę, Henry, nie odchodź.

Julia zwróciła się do niego, a jej spojrzenie na chwilę złagodniało.

- Ja też pana przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna. Przepraszam, mamó. Chcę jedynie, abyś mnie zrozumiała. To, co tak naturalnie przyszło tobie i tacie i udaje się milionom ludzi na świecie, nie udało się mnie i Michałowi. Gdybyśmy pozwolili naturze wziąć stery w jej ręce, nigdy nie mielibyśmy dzieci; wiem o tym. Czy to jest naturalne? Czy naturalne jest nigdy nie poczuć, jak w moim ciele wzrasta dziecko? Albo nigdy nie dać mu mleka z własnej piersi, tulić w ramionach, uśmiechać się podczas układania do snu? Czy Michał ma nigdy nie widzieć, jak jego syn gra w piłkę, nigdy nie pójść z nim na ryby i całować na dobranoc?

Tak, śmieję się, mamó; to wytarte frazesy, ale tego właśnie chcemy.

Pragniemy mieć małą dziewczynkę w różowych baletkach, która bawi się lalkami, małego chłopczyka z kolejką; chcemy dzieci ubranych na różowo, niebiesko, syna na uniwersytecie, córki biorącej ślub w białej sukni. Nie mogę nic poradzić, że nie mam tego, co chcę. Nie proszę o nic szczególnego, tylko o to, co ty miałaś. Nie będę narzekać, jeśli moje dzieci nie będą mądre, ładne czy udane. Po prostu pozwolę im być, o Boże, błagam, daj im szansę być. Czy to plan natury, abyśmy z Michałem do końca życia byli sami?

Na chwilę przestała i popatrzyła po wszystkich twarzach. Matka wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć. Nie odezwała się jednak, tylko delikatnie otarła usta serwetką. Może coś jej przyszło na myśl.

Julia nachyliła się w jej stronę i napiętym z wysiłku głosem ciągnęła:

- Mamó, posłuchaj mnie. Pragnę tego dziecka tak bardzo, że boję się, że zwariuję. Marzę o dziecku, które mogłabym wziąć w ramiona, całować jego słodką buzię, wdychać

jego zapach, patrzeć, jak się uśmiecha, smakować łyzy, ubierać je, zmieniać mu pieluszki - po prostu je mieć. Chcę czuć miękkość jego rączek, policzków, całować je w szyjkę. Czy wiesz, jak to jest obudzić się z takich marzeń? Czytałam kiedyś, że najgorszą rzeczą, jaka może się przytrafić komuś, kto stracił w wypadku ręce i nogi, są marzenia. Marzenia, że biegasz, chodzisz, kochasz się; a potem się budzisz i nie możesz się poruszyć. Ja się tak czuję. Możesz sobie mówić, że jestem niewdzięczną egoistką, że nie powinnam się porównywać z osobą, która nie może chodzić, ale tak się właśnie czuję, budząc się ze swoich snów. Jakbym straciła coś ważnego, była niekompletna. Nie mam siły, aby dalej żyć. Coś się we mnie zakończyło, wypaliło. Nie sądzę, abyś mogła to zrozumieć, ale, na Boga, chociaż spróbuj. Czy nie domyślasz się, że sama siebie nienawidzę za to, jak usiłuję zajść w ciążę - w ten straszny, niehumaniczny i wstrętny sposób? Nie potrzebuję, abyś i ty mną gardziła, mamó. Sama sobą gardzę. Zapadła całkowita cisza.

Michał patrzył na Julię. Większość z tego, co powiedziała, była prawdą. Nie wiedząc o tym, mówiła za nich oboje.

Pani Palmer wyprostowała się, wzięła lekki wdech i wdzięcznie zwróciła się do Pulforda, który zdawał się całkowicie pochłonięty rysowaniem palcem wzorku na srebrnej tacy pod karafką z winem.

- Nałożyć ci więcej potrawki?

- Chris? Cześć, Chris, mówi Michał. Posłuchaj, chodzi o Lucy.

Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz. Niestety, nie czuje się na tyle dobrze, aby móc iść. Nie, jest w holu. Jestem pewien, że czeka na ciebie.

Ona zawsze wie, kiedy masz przyjść, prawda?

Rozmawiając z kolegą, który chciał od nich wziąć Lucy, Michał stanął w drzwiach kuchni, skąd mógł zobaczyć psa: nieruchome ciało, leżące na dywaniku przed frontowymi drzwiami.

- Wieczorem byłem z nią u weterynarza. Stwierdził lekki atak. Przełożmy to na jutro, zadzwonię do ciebie z pracy.

Przeprosił Chrisa jeszcze raz, odłożył słuchawkę, wszedł do holu i zawołał w górę schodów:

- Julio? Julio, gdzie jesteś?

- Tutaj, na górze. W sypialni.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

Ostatnie dwanaście dni wydawało się nie mieć końca. Teraz, kiedy dobiegły kresu, Michał nieustannie sprawdzał dobre samopoczucie i stan Julii, nie mogąc się powstrzymać od prawie codziennych pytań.

- Dobrze, a bo co? Już schodzę. Co postanowiłeś, jeśli chodzi o Lucy?

- Nie sądzę, aby była w stanie iść. Wygląda niezbyt dobrze. Odwołałem Chrisa.

- Ale ja nie mogę z nią zostać. Później mam kilka spotkań, poza tym obiecałam, że większość dnia spędzę w biurze.

- Nie szkodzi, będę miał na nią oko. Myślisz, że powinienem z nią pojechać do kliniki?

- Nie, ja pojedę. Poczekaj, za chwilę schodzę.

Usłyszał, że Lucy ciężko dyszy, i szybko do niej podszedł. Przyklęknął. Suka oddychała równo, ale oczy miała na wpół przymknięte, a źrenice cofnięte, tak że widać było tylko białka. Kiedy Julia schodziła po schodach, Michał powiedział:

- Nie wygląda dobrze. Chyba powinniśmy ją tam zawieźć.

Julia także przyklęknęła, nachylając się do pyska Lucy.

- Nie, nie sądzę. Mimo wszystko nie powinniśmy jej teraz ruszać. Która godzina? Muszę już lecieć. Ale najpierw do nich zadzwonię.

Wstała i ruszyła do kuchni. Michał wymruczał coś pod nosem.

- Biedna staruszka, biedna staruszka.

Sposób, w jaki to powiedział, poruszył Julię. Spojrzała na niego i zdziwiła się czułością, jaka malowała się na jego twarzy. Zwykle w stosunku do Lucy był szorstki i władczy. Na widok tak jawnych jak na niego emocji Julia poczuła się niepewnie. Psi i mężczyzną spowijała atmosfera śmierci, wzruszającego smutku, który ją przerażał. Wiedziała, że je-

śli się jej podda, jeśli dołączy do sceny na przedpokój owym dywanie, nie wiadomo, z czym przyjdzie jej stanąć twarzą w twarz. Mogła albo poddać się losowi, albo z właściwym sobie rozsądkiem przejść nad tym do porządku dziennego.

- W tej chwili nic więcej nie możemy już zrobić - stwierdziła. - Wstań, Michale, ona potrzebuje spokoju.

Michał jednak nie chciał jej zostawiać. Kiedy Julia energicznie wykręcała numer telefonu, nadal siedział skulony obok suczki, głaszcząc ją po jedwabistym uchu. Czuł ciepło jej ciała i lekkie, zwolnione uderzenia pulsu.

- Biedna staruszka - powtarzał, przypominając sobie, jak skakała na niego, gdy wracał do domu, i jak wielkie i może niezasłużone było jej oddanie, które manifestowała podczas każdego spaceru.

Usłyszał, jak Julia rozmawia z młodą recepcjonistką kliniki weterynaryjnej. Jak zwykle przy takich okazjach jej głos miał cierpliwy, choć apodyktyczny ton.

- Nie, obawiam się, że nie możemy jej przywieść. Już pani tłumaczyłam, jest skrajnie wyczerpana i jakiegokolwiek wożenie po prostu nie wchodzi w grę. Czy nie mogłaby pani... - przerwała, słuchając odpowiedzi, po czym westchnęła z przesadnym rozdrażnieniem. - Dobrze, rozumiem. Dziękuję pani.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się, aby nalać wodę do czajnika.

- Powiedziała, że lekarz zadzwoni do nas za chwilę. Widocznie robi jakąś operację. Poczekam jeszcze. Chcesz kawy? Michał? Michał, pytam się, czy chcesz kawy?

Julia zmarszczyła brwi i zawróciła do holu, ale w drzwiach zatrzymała się gwałtownie. Michał siedział na dywanie, z głową ukrytą w sierści suki, ramieniem obejmując jej głowę.

- O Boże, Michał, wstańże wreszcie. Daj jej odetchnąć, leżąc na niej nie robisz nic dobrego.

- Ona nie żyje - oznajmił Michał stłumionym głosem. - Umarła, Julio. Kiedy podniósł głowę, aby na nią popatrzeć, zobaczyła, że język Lucy zwisa jej z pyska. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jesteś pewien?

- Tak. Przez chwilę miała drgawki, próbowała wstać i wtedy... odeszła.

- W takim razie lepiej będzie, jak zadzwonię do weterynarza. Muszę go odwołać.

Wykręcając numer, nagle poczuła, że ogarnia ją czarna rozpacz. Ścisnęło się jej gardło i bez ostrzeżenia wybuchnęła głośnym płaczem. Łkanie wstrząsnęło nią tak nieoczekiwanie, że aby nie upaść, musiała się przytrzymać framugi drzwi.

- Julio, dobrze się czujesz?

- To takie smutne, takie smutne.

- Wiem, kochanie. Ale przynajmniej nie cierpiała, prawda? Miała dobre życie. Biedactwo.

- Co teraz zrobimy?

- Nie wiem. Na pewno trzeba odwołać lekarza. Chcesz, żebym zadzwonił?

- Nie, sama to zrobię. Już mi lepiej, zadzwonię.

Julia zadzwoniła. Telefon odebrała ta sama recepcjonistka, co wcześniej.

- Dzień dobry, moje nazwisko Evans, telefonowałam przed chwilą.

Niestety, wszystko uległo zmianie, doktor Archer nie jest już nam potrzebny... Nie, umarła... Tak, pies. Oczywiście, że pies, kto według pani mógł jeszcze umrzeć? Przepraszam... więc? Chciałam się dowiedzieć, co mamy... Co takiego, książka telefoniczna? Aha, dziękuję pani za pomoc. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę. Sięgnęła po dużą, londyńską książkę telefoniczną, która leżała nad telefonem, i zaniosiła ją do przedpokoju.

- W zwykłym wypadku by ją zabrali, ale akurat nikogo nie mają. Musi być jakaś firma, która się zajmuje takimi sprawami. Pod jaką nazwą mam szukać? Psy - śmierć? Ciała zwierząt - pozbywanie się? Pogrzeby zwierząt? Jak myślisz?

- Bóg jeden wie. - Michał uśmiechnął się do żony. Wiedział, że za jej chłodnym cynizmem kryje się wiele cierpienia. - Spróbuj pod kremacje - psie.

- Oj przestań, Michał - odpowiedziała mu uśmiechem. - Tu coś jest, usługi dla zwierząt... tu poszukam. Spróbujemy.

Kiedy wykreciła numer, Michał usłyszał sygnał, a po chwili trzask odkładanej słuchawki.

- Bez sensu - mruknęła do siebie. - Słuchaj, zawieźmy ją do Archera. To najlepsze wyjście. Nie mogę cały dzień tkwić przy zdechłym psie, do diabła. A oni zedrą z nas fortunę.

- Masz rację, Julio. Przynieś koc z samochodu, zawiniemy ją.

Rozdział 11

Jesteś pewna, że dobrze robisz, kochanie? - zapytał z niepokojem Michał, kiedy podnieśli zawinięte w samochodowy dywanik ciało Lucy.

- Nic mi nie będzie. Nie jest taka ciężka.

Wynieśli z domu dziwaczny pakunek i stanęli na górnym stopniu schodów. Julia nie znosiła szerokiego, kamiennego ganku, ozdobionego kolumnami, pretensjonalnie obiecującego wnętrze o wiele większe i bardziej przestronne niż skromny przedpokój, jaki znajdował się za frontowymi drzwiami. Dziś, kiedy musieli zawlec do samochodu ciało psa, schody wydawały się jeszcze bardziej strome i zniechęcające niż zazwyczaj.

- Poczekaj chwilę, kochanie - poprosił Michał. - Muszę wyjąć kluczyki z kieszeni. Dasz radę przytrzymać ją przez chwilę? Oprzyj ją o zderzak, o tak.

Otworzył zamek bagażnika i kiedy chciał go otworzyć, zahaczył o skraj tartanowego dywanika. Duża, jeszcze ciepła zawartość zaczęła się zsuwać na asfalt.

- Na pomoc, Michał! Ona mi się odwija, o Jezus, szybko! Złap za róg... Michał puścił drzwiczki, które ponownie się zatrzasnęły, i w locie złapał spadający tobołek.

- W porządku, trzymam ją. Kochanie, otwórz jeszcze raz ten bagażnik. Dywanik zatrzasnął się w drzwiach. O tak, dobrze. A teraz dawaj ją do środka.

Julia sprawdziła, czy drzwi otworzyły się maksymalnie, i schyliła się po zrolowany dywanik.

- Boże, jaka ciężka się teraz zrobiła - stwierdziła, wsuwając pod niego ręce.

- Wiem - odparł Michał. - Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? W razie czego dam sobie radę sam.

- Nie, wszystko dobrze.

- Dobra. Uważaj! Trzy, cztery, hop!

Wspólnymi siłami udało się im wwlec ciało zwierzęcia do środka wyłożonego czerwonym filcem bagażnika. Julia obesza samochód i wślizgnęła się na przednie siedzenie, a Michał zawinał brzegi koca i zatrzaskał bagażnik.

- Naprawdę chcesz pojechać? Poradziłbym sobie sam. -Usiadł za kierownicą obok niej.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dzięki za propozycję, ale chcę pojechać. Czuję się tak, jakbym w ten sposób ją żegnała, rozumiesz, o co mi chodzi. Poza tym, nie chcę zostać sama. Mały, zgrabny, georgiański budynek kliniki weterynaryjnej oddalony był tylko o dziesięć minut jazdy. Zaparkowali na żółto zamalowanym polu tuż przed nim. Julia z kieszonki na rękawiczki wyciągnęła trzymany specjalnie na takie okazje bloczek i ołówek. Napisała na kartce „Wracam za 5 min, wizyta u weterynarza” i wetknęła ją za wycieraczkę. Michał otworzył bagażnik, obesza więc samochód i złapała za drugi koniec dywanika.

- Nieśmy ją jak hamak, będzie łatwiej - zaproponowała. - Złap za drugi koniec, a środek nich luźno zwisa.

- Dobrze, kochanie, chodźmy.

Trzymając jedną ręką zebrany brzeg koca, drugą zamknął samochód, po czym obydwoje weszli po schodach do kliniki i zadzwonili do drzwi.

Otworzyły się same z głośnym buczeniem, przenieśli więc ciężki pakunek przez próg. Kiedy szli korytarzem, Michał gdzieś się zagapił, i w tym momencie stracił równowagę. Hamak rozluźnił się nieco, a ze środka wyslizgnęła się głowa zwierzęcia. Zawisała bezwładnie, jakby Lucy miała połamaną szyję, a na wpół otwarte oczy i wysunięty język wyglądały groteskowo.

- Proszę ją tu przynieść, proszę państwa - szorstko rzuciła ubrana na białą pielęgniarka, stojąca w drzwiach gabinetu.

Michał posłusznie skierował się w jej stronę i dopiero wtedy zauważył, że pod ścianą na fotelach cicho siedzą oczekujący na wizytę pacjenci. Starszawa kobieta w bluzce i swetrze z trzęsącym się yorkshire terrierem na kolanach; potężny facet z czerwoną twarzą, obok którego na krześle stał wiklinowy kosz, a z niego wyglądał czarny, dziki kocur; jakaś para z dużą klatką, a w niej chomik, biegający w nieskończoność po swoim skrzypiącym kole.

Cichy jęk kazał Michałowi rozejrzeć się dookoła. Szybko spostrzegł kilkoro ludzi, siedzących ze swymi zwierzakami lub obok nich, z przerażeniem wpatrzonych w zwisającą głowę Lucy.

- Mam panu pomóc? - z rozpaczą w głosie zapytała pielęgniarka.

Michał rozejrzał się jeszcze raz i nagle poczuł, że za chwilę nie wytrzyma i zacznie chichotać. Zbulwersowani ludzie mocniej przytulali do siebie swych podopiecznych. Przyklekali i zaciskali nerwowo usta; wyglądali tak, jakby chcieli jak najdalej odsunąć się od psa, który przypominał o nieuchronnym końcu także i ich milusińskich.

- Przepraszam - powiedział Michał szeptem do pielęgniarki. - Nie jest to najlepsza reklama waszych usług, co? Nieść dużego, zdechłego psa przez całą poczekalnię.

Julia wyłapała delikatne drzenie w jego głosie i popatrzyła na niego; nagle zdała sobie sprawę ze śmieszności całej sytuacji. Szybko zasłoniła dłonią usta, aby stłumić chichot. Podtrzymywany teraz tylko jedną ręką ładunek zaczął tracić i tak zachwianą równowagę.

Kiedy ogon Lucy w widoczny sposób wysunął się z koca po stronie Julii i wszystko wskazywało na to, że za chwilę pies nieuchronnie wyląduje na podłodze, pielęgniarka nie wytrzymała i ruszyła na pomoc. Zamotawszy koc stanowczo przejęła dowództwo, przepędzając tę małą procesję z poczekalni i prowadząc ją do gabinetu.

* * *

Opuszczając budynek, Michał i Julia dusili się ze śmiechu. Kwit parkingowy, znaleziony za wycieraczką samochodu, jeszcze bardziej ich rozśmieszył.

- O Boże - zawołała Julia, ocierając łzy chusteczką. Bezskutecznie usiłowała powstrzymać się od chichotu. - A widziałeś tych z chomikiem? Bałam się, że za moment wylecą w powietrze. Byli tak oburzeni, jakbyśmy specjalnie paradowali z Lucy przed ich oczami. I ta kobieta z yorkiem -wyglądała na strasznie przerażoną. Coś mi się zdaje, że nie będziemy tam więcej mile widziani.

- O tak - zgodził się Michał. - Wracamy do domu. Naprawdę chcesz iść do pracy, kochanie? Może lepiej zadzwoń i weź wolny dzień. Powiedz, że to z powodu pogrzebu.

To stwierdzenie wywołało kolejny wybuch śmiechu, który trwał przez całą drogę do domu.

- Co z tą kawą? - zapytał Michał, kiedy weszli do kuchni. - Jak się czujesz?

- Wspaniale - rozpromieniła się Julia. - Sama nie wiem dlaczego, ale wspaniale.

* * *

Nazajutrz rano, wchodząc do kąpieli, poczuła, że po jej udach spływa ciepła strużka krwi.

* * *

Andrea siedziała za swoim melaminowo-chromowym biurkiem na Baker Street. Kiwając się na jaskrawoniebieskim, antystresowym krześle rozmyślała o pomidorach. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Mając za sobą prezentację pięciu potencjalnych celów charytatywnych w Middlesex Foods, zaczęła się przymierzać do reklamy prasowej. Musiała wymyślić jedno hasło, w którym zawarte byłyby trzy aspekty: pizza, nagrody i cel charytatywny. Cieszyła się, że jej klient także optował za niewidomymi dziećmi. Wiedziała, że kiedy u kogoś nie działa jakiś zmysł - na przykład u tych malców - wtedy inne wykształcają się bardziej. Andrei chodziło zwłaszcza o smak. Mazała ołówkiem po różowej kartce „Mogą nie widzieć, ale za to możesz sprawić, że poczują doskonały smak!” albo „Nie muszą widzieć, aby poczuć smak tej wspaniałej pizzy!” Chociaż podobały się jej te hasła, zdawała sobie sprawę, że nie zostaną zaaprobowane. Spróbowała więc ograniczyć swój entuzjazm

do powiązanych idei i zamiast tego skupić się na bardziej subtelnym słownictwie. Zrobiła listę. Zapisała słowa takie jak „wzrok”, „wgląd”, „dodatki” i znoszone już, chociaż najbardziej popularne „Wygraj wakacje dla dwojga”, kiedy zadzwonił telefon.

- Andrea Williams - rzuciła w słuchawkę tonem, który określała jako intrygujące połączenie oficjalności i zapraszającego ciepła. Na kartce dopisała „światło rozpraszające mrok”.

- To ja, kochanie.

- Cześć!

- Cześć. Muszę zostać dzisiaj dłużej, więc jeśli chcesz, idź do Janet i Toby'ego sama. Dołączę do was.

- Dobra. Wszystko w porządku?

- Tak, muszę tylko pogadać z Julią Evans, wiesz, tą, o której ci wczoraj opowiadałem. Embrion się nie przyjął. Zanim zdecyduje, kiedy znowu ma próbować, chce osobiście ze mną porozmawiać.

- Och, rozumiem.

- Bob uważa, że rozmowa jest jej potrzebna. Niezle ją to trafiło. Tak więc dzisiaj zostaję w robocie. Zobaczymy się później.

- Dlaczego ty? Zwykle przecież nie zajmujesz się takimi sprawami.

- To dzięki mojemu doświadczeniu i urokowi osobistemu, kochanie. Nikt inny nie mógłby mnie zastąpić.

- Oczywiście, jak mogłabym zapomnieć. Co za idiotka ze mnie - roześmiała się Andrea. - W takim razie do zobaczenia u Janet.

Po odłożeniu słuchawki przez chwilę siedziała beczynn timer. Lubiała zabawę w kotka i myszkę. Nie była wcale zazdrosna o pacjentki, które od zawsze interesowały się przystojnym panem doktorem. Świadoma, że relacja lekarz - pacjentka może być ekwiwalentem afrodyzjaku, akceptowała fakt, że kobiety mogły się durzyć w Antonim. Jego uczucie do niej było zbyt silne, aby mógł ulec pokusie. Poza tym dobrze wiedziała, że sam nie czuł się przy niej do końca bezpiecznie. Lubiała czasami troszeczkę się z nim podrażnić, dając mu do zrozumienia, że o tym wie. Co prawda nigdy tego nie ustalali,

ale to ona grała w ich związku pierwsze skrzypce. Dawało to jej wolność cieszenia się jego miłością bez poczucia, że musi o nią zabiegać. On zaś żył z przeświadczeniem, iż łączy ich, choć nieoficjalnie, jakieś życiowe zobowiązanie.

Na myśl o tym wszystkim westchnęła z rozbawieniem i nabazgrała „Miej na oku nowe dodatki do pizzy!”

- Nie, jednak nie - powiedziała i niechętnie skreśliła zdanie.

- Proszę pani - zaczął z uśmiechem Antoni, siedząc przy biurku w swoim gabinecie na drugim piętrze kliniki - doskonale rozumiem pani rozczarowanie i zawód; to zrozumiałe. Powinna pani dać sobie kilka dni, aby otrząsnąć się z tego przeżycia, zanim w ogóle zacznie pani myśleć o przyszłości. Przecież wiedziała pani, że wiele zabiegów ma taki finał, prawda? Zwłaszcza za pierwszym razem. Nie do mnie należy udzielanie pani rad w tej sytuacji, ale podkreślam jeszcze raz: za pierwszym razem często się zdarza, że zarodek się nie przyjmuje i...

- Skąd pan wie, że się nie przyjął? - przerwała mu Julia, patrząc na niego z przejęciem.

- No cóż, przepraszam, przypuszczam, że...

- Nie, chodzi mi o to, skąd pan wie, że się nie przyjął, a nie że ja poroniłam? Co ja takiego zrobiłam?

- Nie wolno tak mówić, proszę pani, naprawdę nie wolno. Nic pani nie mogła poradzić, mogę...

- Skąd pan wie?

- Po prostu wiem - odpowiedział Antoni. Jej przenikliwe spojrzenie trochę go peszyło. - Nie mam wątpliwości. Skoro dwunastego dnia zaczęła pani krwawić, to znaczy, że zarodek się nie przyjął.

- A ja uważam, że tak. Jeden z nich na pewno.

- Droga pani, to przykre, ale wszystkie kobiety, którym sztuczne zapłodnienie się nie powiodło, uważają, że poronienie nastąpiło z ich winy. Zapewniam panią, że tak nie było. Embrion się nie przyjął i to nie pani wina, że został wydalony z macicy. Proszę tylko pomyśleć, co próbują robić kobiety, które zaszły w niepożądaną ciążę i chcą się jej

pozbyć. Wiem, że być może trudno pani to zrozumieć w tej chwili, ale to ważne. Ludzie tyle mówią o stresie, zdrowiu i chorobach, ale może być pani pewna, że gdyby tak łatwo można się było pozbyć dziecka, nie istniałaby połowa ludzkiej populacji. Niech pani zrozumie...

- Nie potrafię. Widzi pan, zdechł nam pies, a ja byłam na tyle głupia, aby posłuchać męża, który kazał mi wnieść ciało psa do samochodu - a potem do kliniki. Było bardzo ciężkie. Wiedziałam, że nie powinnam, ale mąż...

- Proszę, proszę, niech pani nie prowokuje w ten sposób powstania problemów pomiędzy panią a pani mężem. Program zapłodnienia in vitro jest krańcowo stresujący i trudny dla was obojga. Jeśli zamierzacie go kontynuować, potrzebujecie nawzajem swojej siły i wsparcia. Cokolwiek planujecie, nie zaczynajcie się nawzajem winić za pierwsze niepowodzenie. Widziałem tak wiele par, które przychodziły tutaj i rozpoczynały leczenie, radośnie stawiając mu czoło, a potem powstawało pomiędzy nimi napięcie. Niech pani nie pozwoli, aby i wam się to przydarzyło. Jeszcze raz powtarzam - nie pani spowodowała krwawienie. Wszystko wskazuje na to, że embriony po prostu nie zagnieździły się w macicy. Ciągle jeszcze nie wiemy, dlaczego tak się dzieje. Jestem jednak całkowicie przekonany, że w pani wypadku tak się właśnie stało.

- Pan nie rozumie. Ja czułam, że jestem w ciąży. Naprawdę. Nikomu tego nie mówiłam, bo nie chciałam zapeszyć, ale czułam się inaczej niż zwykle. Wiem, że tak było. Gdyby tylko nie ten przeklęty pies...

- Och, gdyby tylko, gdyby tylko! Niech pani zrozumie, to jedyna rzecz, której tutaj nie mówimy. To byłoby zbyt proste. Radzę pani wrócić teraz do domu i spędzić spokojny wieczór z mężem, nie myśląc o...

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego przez cały czas tak bardzo chce pan wepchnąć w to wszystko mojego męża. Ani tego, że w tak dziwaczny sposób go pan broni, to oczywiście, że...

- Droga pani, ta rozmowa prowadzi donikąd. Doskonale rozumiem, dlaczego jest pani w takim stanie, to naturalne, ale proszę, naprawdę proszę, niech pani przez kilka dni

stara się o tym nie myśleć. Jeżeli będzie pani chciała, proszę potem nas odwiedzić. Wtedy znów porozmawiamy.

Julia przyglądała się mu przez chwilę. Podczas rozmowy patrzyła i słuchała, czy nie da jej jakiegoś znaku, na który czekała. Teraz nadszedł moment, kiedy mogło się to zdarzyć. Odczekała kilka sekund, myśląc, co ma powiedzieć, i uśmiechnęła się leciutko. Skoro chce tak grać, niech będzie. Najważniejsze było to, że chciał przy niej wypaść na człowieka kompetentnego.

- Wolałabym, aby nie nadużywał pan słowa „naturalny” - powiedziała. - Zaczyna pan mówić jak moja matka.

Antoni z ulgą zauważył, że na jej wargach rozkwitł uśmiech.

- Ma pani rację. Nie jest to właściwe słowo, zwłaszcza tutaj - kryje w sobie tyle niewłaściwie pojmowanych aluzji. Mam nadzieję, że poniecha pani nonsensownego oskarżania kogokolwiek - siebie czy też męża - i skupi się na tym, co zrobić potem. Oczywiście, jeśli będzie pani gotowa; nie zbieram pani więcej czasu.

- Nie, ja już zdecydowałam. Chcę zacząć od razu. Nigdy w to nie wątpiłam.

- Czy nie powinna pani najpierw przedyskutować tego z mężem?

- Nie, nie, oczywiście że nie; to znaczy, już to zrobiłam. Obydwoje już postanowiliśmy. Chcemy spróbować jeszcze raz. Tak szybko, jak to możliwe.

- W takim razie dobrze. Proszę jutro z samego rana zadzwonić do nas - ustalimy termin.

- Dziękuję. Dziękuję także za to spotkanie. Miło, że się pan zgodził.

Przepraszam, że zabrałam panu tyle czasu.

- Nic podobnego, proszę się nie przejmować. Po to jesteśmy. Odprowadzę panią do wyjścia. Gdyby mnie pani potrzebowała, proszę się kontaktować. Będę szczęśliwy, mogąc pani pomóc.

O to chodziło. Powiedział to wreszcie.

Julia szła ulicą Weymouth. Choć grudniowe powietrze było zimne, w głowie się jej gotowało. Owinęła się płasz-

czem. Uśmiechnęła się. A więc to, co podejrzewała, kiedy trzy tygodnie temu pobierano jej komórki, było prawdą. Dał jej to do zrozumienia nie tylko spojrzeniami, ale także słowami. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu; jaki był mądry, nikomu tego nie powiedział; uwielbiała tę jego powściągliwość. Teraz nie będzie już musiał czekać - była tego pewna.

* * *

- Powiedział, że nie powinnam była dźwigać Lucy do samochodu. Że mogłam być bardziej ostrożna. Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

Mówiłam ci, że jest za ciężka. Wiedziałam, że coś się stanie.

- Kochanie, to straszne. Nie wolno tak, nie możesz się obwiniać. Masz rację, nie powinienem był pozwolić, abyś ją podniosła; ale pamiętasz, co powiedział profesor Hewlett. Mówił wyraźnie, że masz wieść normalne życie i nic, co zrobisz, nie może spowodować...

- Ale z ciebie znawca! Niby tyle wiesz o dzieciach! Podnoszenie psa było głupotą, zawsze będę to sobie wyrzucać. Wiem, że byłam w ciąży, i wiem także, że je zabiłam. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

* * *

Julia starała się sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz karmiła Simona.

Dziecko nadal spało, ale spod kołdry wypłynęła kałuża cieczy.

- Przewijałeś go, Michał? - zawołała w ciemność i wsłuchała się w szept, który jak sądziła, był odpowiedzią na pytanie. - Co? - szepnęła, po chwili głośniej: - Co? Michał, to ty? Czy możesz przewinąć dziecko? On śmierdzi. Nie lubię tego. O Boże, nie!

Znowu ta twarz. Wielka, groźna, czerwona twarz, która się nad nią pojawiła, straszliwie blisko. Zionęła smrodem kału, który przyprawiał ją o mdłości.

- Zamknij się! Michał cię nie słyszy! Nie ma go tutaj -warknęła.

- Kim jesteś? - spytała Julia, przetykając nerwowo ślinę. - Proszę, powiedz mi, kim jesteś. Gdzie Antoni? Czy

przyszedeł? Wydawało mi się, że go widzę. Proszę, nie rób mi krzywdy, tak mi przykro, po prostu proszę, nie rób mi nic złego.

Zadrzała, potem na chwilę przestała, potem znowu. Drżenie przeszło w długo trwające drgawki. Dzwoniły jej zęby, a czoło zrosiły kropelki zimnego potu, który spływał jej do uszu.

Julia wiedziała, że ktoś jest chory, ale nie mogła rozróżnić - ona czy dziecko. Twarz nadal była nad nią, ale ponieważ teraz wydawała się mniej nieprzyjazna, postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Czy możesz mi pomóc? Trzeba przewinąć dziecko, a ja nie czuję się zbyt dobrze. Możesz zapalić światło i poprosić Michała, żeby przyniósł mi coś do picia?

Coś zaszeleściło jej w uchu. Chciała się odwrócić, aby zobaczyć co, ale ujrzała jedynie zamazaną plamę - główkę *niemowlęcia*.

- Co to? - powiedziała do śpiącego malucha. - Czego chcesz? Jesteś głodny? To ty się ruszasz?

Małe ciało leżało nieruchomo. Nagle znowu usłyszała szelest, tym razem po drugiej stronie. Był to niski, ciepło brzmiący dźwięk.

Pomyślała, że jeśli nagle odwróci głowę, może uda się jej dostrzec, co było jego źródłem, zanim znów ucichnie. Kiedy się rozejrzała dookoła, nie zobaczyła nic oprócz podłogi i pustego pokoju, którego ściany niknęły w mroku.

- To ty to robisz, tak? - szepnęła do twarzy, która według niej nadal znajdowała się ponad nią. - Nie rozumiem. Źle się czuję. Przestań hałasować, proszę. Nie lubię tego hałasu.

Rozdział 12

I tak zaczął się kolejny cykl testów i zastrzyków, który miał trwać nie wiadomo jak długo. Julia i Michał wrócili do codziennych zajęć, idących w parze z wizytami w klinice, zakupami i ograniczonym do minimum życiem towarzyskim. Sprawy psa już więcej nie poruszali, chociaż Michał był pewien, że ilekroć Julia na niego patrzy, jej spojrzenie jest pełne wyrzutu. Ale ponieważ wydawało się, że ogólnie jest w raczej dobrym nastroju, o nic nie pytał, a o leczeniu rozmawiali tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Im bardziej zbliżał się czas pobrania komórek jajowych, tym rzadziej w ogóle na ten temat mówili, ale na samą myśl o małym pokoju, w którym ponownie zostanie wystawiona na próbę jego męskość, czuł niechęć.

Julia wracała prosto z pracy do domu, nie zatrzymując się już przed wystawami kuszących ją sklepów, którym kilka tygodni wcześniej poświęcała tyle uwagi; była zbyt zajęta własnymi sprawami. Nie potrafiła myśleć o czymkolwiek innym niż udanym zapłodnieniu i tym, ile jeszcze na nie potrzeba czasu. Niekiedy wpadała do Harriet, ale nawet przyjaciółka, u której przecież czuła się lepiej niż gdziekolwiek indziej, zauważyła, że jest małomówna i poważniejsza niż dawniej.

- Daj spokój, kochana, nie daj się zgębić! - zawołała Harriet, parząc herbatę.

Julia stanęła w drzwiach jej mieszkania po kilku dniach nieobecności i Harriet natychmiast rozpoznała nastrój przyjaciółki. Wyczuła, że rozmowa będzie dotyczyć kliniki,

zastrzyków i ostatnich prześwietleń, a inne tematy mogą na razie pójść w zapomnienie. Ploteczki o znajomych, tej suce Laurze czy eksmałżonku będą musiały poczekać. Ostatnio Julia myślała tylko o sobie, a Harriet z ochotą zgodziła się pełnić rolę słuchacza. Egocentryzm rozmówczyni przypominał jej, jak kilka miesięcy temu, kiedy odszedł od niej Piotr, to właśnie Julia godzinami wysłuchiwała jej własnych żalów, nie skarżąc się ani słowem.

- Musisz dać im tylko jedno, do diabła. Daj starym komórkom szansę. Rany, jeśli udało ci się poprzednim razem wypracować aż pięć, musisz mieć tysiąc ładniejszych, które tylko czekają na okazję! Głowa do góry, staruszek, nikt nie mówił, że będzie łatwo. Pamiętaj, że nie jesteś ani trochę gorsza niż na początku, kiedy zaczęłaś się w to bawić. A właściwie uważam, że teraz jesteś lepsza, bo znasz całą procedurę i tak dalej, potrafisz bardziej się rozluźnić, nie mam racji? Musi się udać, tak czy nie?

- Tak, tak przypuszczam - odparła Julia. - Chociaż właściwie nie, tak naprawdę wcale tak nie myślę. Powiedziałam tak, próbując się z tobą zgodzić, myśleć tak jak ty. W rzeczywistości w nic już nie wierzę. Raz wszyscy mi mówią, że nic nie mogłam zrobić i nie wolno mi się winić za to, co się stało, a potem ty stwierdzasz, że będąc bardziej rozluźniona mogę sobie pomóc. To dwie różne rzeczy, nie mogą istnieć naraz, sama rozumiesz.

- To nie tak, Julio, przepraszam. Próbuję ci jakoś pomóc. Nie wolno ci się załamywać, sama o tym wiesz. To nikomu nie wyjdzie na dobre.

- Nie jestem załamana. To o wiele bardziej skomplikowane. - Podniosła parujący kubek i upiła łyk mocnej herbaty. Kiedy go odstawiała, na jego ściance zauważyła napis „Herbata taty”. Spojrzała pytająco na Harriet.

- Tak, tak, wiem - burknęła Harriet. - Powinam go już dawno wyrzucić. Prawdopodobieństwo, że tatuś wypije z niego herbatkę, jest prawie zerowe. Ale dlaczego, u licha, miałabym mu go zwrócić?! Żeby siorbał z niego, siedząc sobie w nowym gniazdku z tą swoją ukochaną? Kupiłam mu go na Dzień Ojca jako prezent od któregoś z dzieciaków. Ładny mi Dzień Ojca! Nie rozśmieszaj mnie!

Było niemal ulgą widzieć, jak Harriet otrząsa się z nieprzyjemnych wspomnień. Julia uśmiechnęła się do niej krzepiąco ponad nieszczęsnym kubkiem.

- Nic się nie stało Hattie, przynajmniej nie dałaś mi „Kubka mamusi” - to byłby dopiero nietakt, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Co? Ach, rzeczywiście, rozumiem, co masz na myśli. A co jest na moim?

Odwróciwszy drugi kubek równocześnie przeczytały napis „Nie martw się - to może się nigdy nie zdarzyć!”

- No cóż, wszystko zależy od punktu widzenia, prawda? - westchnęła Julia. - Właśnie o to się martwię. Dlaczego twój głupi kubek nie powie: „Nie martw się - to może się zdarzyć”?

- Dlatego, ptasi mózdzku, że tamto oznacza: „Nie martw się - może nie stanie się tak, że twoje głupie jajo nie zostanie zapłodnione”.

- Nie, nie, nie może być podwójnego przeczenia! Doskonale rozumiem, że ten kubek przekazuje mi jakąś wiadomość. Mówi: „Nie martw się - może nigdy nie zajdziesz w ciążę”.

- Posłuchaj, ty kretynko, nie rozumiejąca niczego - to ja zawsze lepiej od ciebie rozumiałam niuanse języka angielskiego, i mówię ci, że źle odbierasz wiadomość od kubka. Poza wszystkim, ona nie jest adresowana do ciebie; jest dla mnie. Wisi na haczyku na najwyższej półce, aby mnie rozchmurzyć, kiedy tylko zaczynam się poddawać czarnym myślom. Mówi: „Nie przejmuj się - może Laura Stuart nie rozbierze się znowu dzisiejszej nocy, aby pokazać swe doskonałe, trzydziestoczteroletnie kształty, nie pójdzie do łóżka z mężczyzną, który ślubował mi dozągonną miłość, i nie będzie się z nim pieprzyć”. Ale tak się dzieje, kubek się myli, chociaż dzięki jego opinii, pozytywnej i bezstronnej, czuję się lepiej.

- No tak - odparła Julia. - Widzę, że wróciłyśmy do Lauren.

- Tak - westchnęła Harriet. - Obawiam się, że wszystko wraca do Lauren. Ona jest jedną z tych, do których wszystko wraca. Cudzy mężowie, dzieci, pieniądze; ma w sobie

magnes, który to przyciąga. Nasza Laura to przerażająco mądra dziewczyna.

Po tym zdaniu nastąpiła przerwa. Julia upiła herbaty i szeptem powiedziała do przyjaciółki:

- Zamknij się Hattie. Po prostu się zamknij.

Harriet uśmiechnęła się, cmoknęła i odrzuciła głowę do tyłu. Ze dwa lub trzy razy pokiwała głową.

- Dobrze, w porządku, już się zamykam. Przyglądały się sobie przez chwilę i Julia pierwsza zaczęła się śmiać.

- Dlaczego zawsze, kiedy jesteś zła, robisz taką śmieszoną minę i spuszczasz nos w kwintę, ha ha ha.

- Nic nie rozumiem - stwierdziła Harriet. - Nie mówiłam, że twój angielski jest straszny? Jak można powiedzieć „spuścić nos w kwintę”, przecież mówi się „na kwintę”, a nie „w”.

- Wszystko jedno - powiedziała Julia. - Robi się błyszczący i perkaty, zwłaszcza kiedy opowiadasz wiesz o kim. Obsesja, moja droga, to jest właśnie obsesja. Zawsze przysięgałyśmy, że nie będziemy się załamywać facetami, pamiętasz? Spójrz na siebie: robisz dokładnie na odwrót. Żalotne. Popatrz tylko: oto ja, która nie myśli o niczym innym jak tylko o dzieciach, i ty, myśląca tylko o swoim nieudanym małżeństwie. Szczerze mówiąc Hat, czy nie powinniśmy być ponad to? Tymczasem dajemy się wplątać w całą tę sieć i wplątane w nią giniemy. Miałyśmy się skupić na własnym rozwoju, kreowaniu osobowości, czy jak to się tam nazywa. Nie musimy tak ciężko pracować, nie musimy lamentować nad naszymi dziećmi i mężami. Gdzie się podziała nasza duma? Nie pamiętasz, jak to było, Hat? Chciałaś zostać premierem, a ja pracować na giełdzie. Na co nam teraz przyszło?

- Ale nie wiedziałyśmy, prawda?

- Czego nie wiedziałyśmy?

- Łatwo mówić, że się nie potrzebuje tego wszystkiego, mężczyzn, dzieci, zanim się dowiesz. Zanim się dowiesz, że potem stają się tym, czego pragniesz najbardziej na świecie. Nie muszę ci tego mówić, Julio. Możesz sobie przysięgać, że najważniejsza dla ciebie jest twoja praca, że jesteś

szczęśliwa, będąc niezależna i zarabiając pieniądze, że razem z Michałem zmywacie naczynia, ale sama dobrze wiesz, czego pragniesz najbardziej ze wszystkiego, co jest twoim życiowym marzeniem. Nie mam racji? Julia milcząco przyglądała się swojej dłoni. Wyłamując palce patrzyła, jak na stawach porusza się skóra, spod której prześwitują białe kości. Zacisnęła ją w pięść. Teraz ręka przypominała łapkę kurczaka.

- Tak, oczywiście, że masz.

** *

- Halo? Doktor Northfield? Miło mi, mówi Julia Evans. Zastanawiałam się właśnie, czy nie mogłabym wpaść na chwilę do pana. Jutro mam kolejne badanie i... aha, rozumiem... naprawdę? To dobrze, właściwie może moglibyśmy teraz o tym porozmawiać, jeśli ma pan czas. Widzi pan, doktorze, niedługo będę miała pobierane komórki jajowe i ciekawa jestem, czy to pan będzie... och... tak, oczywiście, rozumiem, widzi pan, chodzi mi o to, że ostatnio bardzo się denerwowałam i... Tak, oczywiście, on także przyjdzie, czy będzie pan korzystał z zamrożonych plem... - aha, jasne. Cóż, w takim razie będzie przy tym, ale nie o to nam chodzi, prawda? Wiem, że chciał się pan ze mną zobaczyć i porozmawiać... Wiem wszystko. W takim razie dobrze. Dziękuję... tak, bardzo dziękuję. Ja także mam nadzieję... Będę, dzięki, do widzenia.

Antoni Northfield odłożył słuchawkę. Po rozmowie z Julią Evans czuł się trochę niepewnie. Tak jak inni lekarze z kliniki przywykł już do tego, że niektóre pacjentki podczas leczenia bardzo się od niego uzależniają, ale w jej głosie było coś szczególnego. Wolałby raczej nie zadawać się z nią więcej i może przenieść ją do któregoś z kolegów. Z drugiej strony wiedział, że profesor Hewlett przykładął dużą wagę do dobrego samopoczucia pacjentek. Gdyby nawet próbował się jakoś wymigać, Julia mogłaby zadzwonić lub napisać do Hewletta list z zażaleniem, że nie jest traktowana we właściwy sposób. Oczyma wyobraźni ujrzał Andree, odbierającą wieczorem telefon - o tej bowiem porze Hewlett zwykł dzwonić z problemami, wymagającymi nie-

zwłocznej dyskusji, która powinna się odbyć poza kliniką (ze względu na jej nerwową atmosferę). Zobaczył jej twarz, zmarszczone brwi, kiedy podaje mu słuchawkę i patrzy, jak rozmawia z Hewlettem. I na samą myśl o jakimkolwiek zgrzycie w ich wspólnym życiu poczuł skurcz w trzewiach.

Co w tej rozmowie tak go zastanowiło? Był odporny na pochlebstwa i zwykle całkiem zadowolony, że jego wygląd, niebieski fartuch i stetoskop działały na pacjentki. Tym jednak razem to, co zostało powiedziane, zapadło mu głęboko w serce. Wiedział, że tak szybko się tego nie pozbędzie.

- Dobra - westchnął - jeśli tylko uda się jej zająć w ciążę, na pewno wszystko dobrze się skończy.

Przełączył się na numer wewnętrzny. Po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się głos siostry Bentham.

- Chciałem zadać pytanie o panią Evans, siostrze. Ile czasu jeszcze potrwa zbieranie komórek oraz w jakim jest stanie psychicznym?

- Zupełnie stabilnym, doktorze, chociaż jak pan wie, jest dość wrażliwa. Następne badanie ma wyznaczone na... chwileczkę, na...

- Jutro. Tak mi powiedziała.

- ...tak, jutro wieczorem, po pracy, tak więc jutro dowiemy się więcej, ale myślę, że jest już blisko terminu. W czym mogę jeszcze panu pomóc, doktorze?

- To już wszystko, dziękuję, siostrze. Chodziło mi o to, że pani Evans poprosiła mnie, abym to ja pobrał jej komórki. Próbuję więc ustalić, kiedy to nastąpi, żebym mógł być w pobliżu.

- Kolejna zakochana?

Antoni domyślał się, że jak zwykle oczekuje od niego dowcipnej odpowiedzi.

Nastał jednak moment dziwnej ciszy, którą w końcu przerwał głos siostry:

- W porządku, doktorze, powiem Janet, aby miała oko na sprawy i dopasowała je do pańskiego rozkładu.

- Dziękuję, siostrze.

Co u licha tak go niepokoiło? Dlaczego instynktownie wzbraniał się przed tą Evans i chciał ją komuś przekazać?

- Daj spokój chłopie - powiedział do siebie i wstał od biurka - masz paranoję, to wszystko. Zbyt wiele neurotycznych, zdesperowanych kobiet może człowieka wyprowadzić z równowagi. Cała naprzód, bądź mężczyzną, jak mawiał poczciwy, stary ojciec. - Zachichotał, wychodząc z gabinetu, i zgasił światło.

* * *

Julia oprowadzała klienta po mieszkaniu na Eaton Square, po części zajęta myślami o dzierżawie, właścicielu, wynajmie od zaraz i opłatach, a po części skupiona na własnych jajnikach. Sztucznie wypełnione, stale przypominały jej o chemicznie pobudzonym procesie, na skutek którego jej brzuch jeszcze raz zaczął wypychać spódnice.

- Biorąc pod uwagę lokalizację, cena jest bardzo korzystna - mówiła do swego Irańczyka. - Musi pan wiedzieć, że ta ulica ma duże wzięcie. Od długiego czasu nie mieliśmy tak dobrze usytuowanego mieszkania do wynajęcia. Tak jak wspominałam panu rano, jest do wzięcia od zaraz, a właściciel jest skłonny omówić warunki dotyczące wyposażenia i mebli, jeśli jest pan zainteresowany. Zdaje się, że chodzi tam o rozwód, więc mile widziana jest szybka decyzja. Jestem pewna, że są skłonni zgodzić się na inne propozycje finansowe, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku.

Pan Amjardi rozejrzał się po pokoju i jeszcze raz popatrzył na gruby, kremowy dywan, wiekowy, drewniano-złoty żyrandol i marmurowy kominek. Potem spojrzął na Julię. Była gustownie ubrana: w beżową, jedwabną spódnice i luźny, biały sweter, a na szyi miała starannie zawiązaną apaszkę.

- Bardzo mi się podobać - powiedział grzecznie. - Zastanowię się i jeśli można, zadzwonię do pani do biura.

Julia zorientowała się, że nadszedł moment, w którym dzięki swemu doświadczeniu i umiejętnościom powinna usidlić klienta. Zawsze wyczuwała, kto jest potencjalnie szybkim kupcem. Wiedziała, że by wymóc jakiegokolwiek ustne zobowiązanie, trzeba użyć delikatnego, ale stanowczego sposobu. Jeśli pozwoli mu teraz wyjść, zapewne

uda się do jednego z wielu wolnych mieszkań w tej dzielnicy, a tracenie klienta tylko dlatego, że się nie próbowało, byłoby nonsensem. To jej specjalność - po pierwszych dniach lub tygodniach poszukiwań przestrzeni, która w doskonały sposób odpowiadać będzie danemu klientowi, należało temu ostatniemu zaszczyć przekonanie, że to jest właśnie to.

Wiedziała, że mieszkanie mu odpowiada. Zorientowała się od razu, jak tylko wszedł do pokoju i w milczeniu kiwał głową. Teraz zbierała się do ataku.

Jednocześnie była tym wszystkim zmęczona. W takich chwilach zawsze czuła dreszcz emocji, a teraz nie mogła się jakoś pozbierać: myśl o zakończeniu transakcji wydawała się tak mało ważna; perspektywa premii za dobry kontrakt tak nieistotna. Wróciła do niej rozmowa z Harriet i choć słowa, jakie podczas niej padły, stały się odległe, znaczenie tego, co obydwie miały na myśli, było dostatecznie klarowne: nic tak naprawdę nie miało sensu. Nie miało wcześniej i nie będzie miało w przyszłości. Liczyło się tylko jedno, a ona musi skupić całą swą energię, aby osiągnąć cel. Cała reszta to zwykła gra, należało więc ją porzucić.

- Dobrze, proszę pana. Nie zabieram panu więcej czasu, proszę się namyślić i zadzwonić do mnie. Odprowadzę pana.

Zeszli po ozdobionych sztukaterią schodach. Amjardi skinął głową i pomachał jej na pożegnanie. Julia podeszła do samochodu, w którym czekał jej podwładny Tomy (przepisy firmowe nie pozwalały żadnemu pracownikowi rodzaju żeńskiego oprowadzać samotnego mężczyzny po posiadłości, jeśli na zewnątrz nie czekał jeden z kolegów), i otworzyła lewe drzwi.

- Dobrze? - uprzejmie spytał młodzieniec. - Ryba połknęła haczyk?

- Nie, jeszcze nie połknęła - przyznała - ale może zrobi to w najbliższej przyszłości. Wracamy do biura, chcę dzisiaj wcześniej iść do domu.

Samochód wyjechał z zatoki i zniknął w ciemniejszym mroku grudniowego popołudnia.

* * *

Antoni leżał w łóżku z Andrea, słuchając jednym uchem o jej planach wielkiego kinderbalu na cześć pizzy. Drażniło go, że przez cały czas na dnie duszy coś mu dokucza - jak ziarnko piasku w oku. Zdążył już zapomnieć, jakie wydarzenie z tego zabieganego dnia spowodowało to niejasne uczucie, więc myślami analizował wszystkie spotkania, telefony i rozmowy z ostatnich ośmiu czy dziesięciu godzin, próbując znaleźć przyczynę.

- Więc pomyślałam o Hyde Parku latem; coś w rodzaju giełdy pizzy. Moglibyśmy postawić tam samochody dostawcze, gdzie byśmy je podgrzewali i mnóstwo kucharzy, przebranych za Pizza Pete, którzy by ją rozdawali. Jak myślisz? Zaproszę kupę dzieci niepełnosprawnych. Musimy zrobić jakiś dobry reportaż, jak nam się uda. Wiem, to może być nieco przydługie, ale dzięki temu mielibyśmy czas na oprowadzenie wszystkich osobistości i zrobienie zdjęć. Jak by wyglądał sześć- lub siedmiolatek z olbrzymim kawałem pizzy, sięgającym mu od ucha do ucha, jak myślisz? Albo młodszy, tak, właśnie, niech to będzie berbec w wieku dwóch, trzech lat! Wtedy pizza będzie się wydawała jeszcze większa. Będą trochę za mali, aby ich sfotografować... hej, słyszysz, co mówię?

- Co? Och, przepraszam, Andy, odpląnąłem myślami. Możesz trochę odsunąć stopę? Masz za długie paznokcie, musisz je obciąć.

Andrea podciągnęła kołdrę pod brodę i odwróciła się do niego twarzą, podciągając nogi i zabierając stopę z jego uda.

- Dlaczego jesteś taki poważny?

-Zastanawiałem się właśnie... - Antoni zadrżał i krótko, choć gwałtownie zatrzęsł głową.

- Nad czym?

- Och, nic takiego, po prostu nie mogę się jakoś uspokoić - mruknął i sięgnął po „Independent”, leżący na ziemi w nieładzie. - Jest coś ciekawego w telewizji?

- O Boże, zapomniałam oddać próbki nowych opakowań do perfum.

Cholera! No trudno, jutro to zrobię. Za chwilę są wieczorne wiadomości.

- Faktycznie, włącz pudło.

Nowy, zgrabny telewizor, połączony z wideo, stał po stronie Andrei, która nie mogąc znaleźć pilota, wychyliła się z łóżka i włączyła odbiornik. Pokój wypełniły odgłosy dyskusji dotyczącej zalet ujednolicenia waluty. Prowadzili ją dwaj politycy. Nagle Antoni przypomniał sobie, gdzie leży przyczyna jego niepokoju. Wszystko zaczęło się od rozmowy z Julią Evans! Próbując ustalić, jakie to stwierdzenie tak go martwi, rozejrzał się po miłym pokoju. Tylko jedna włączona nocna lampka rozświetlała żółtawym blaskiem całą przestrzeń, łągając zdecydowane linie nowoczesnych, starannie dopasowanych mebli. Przez na wpół zasunięte drewniane żaluzje wpadało zimne światło ulicznej latarni, rzucając blade, poprzeczne pasy na równo złożone ubranie Andrei, leżące na małym krzeselku pod oknem. Próbując znaleźć nieuchwytnie źródło swojego zmartwienia, Antoni jednocześnie leniwie rozważał, czy ma ochotę namówić Andreę na trochę seksu. Przysunął się do niej i pogłaskał ją w szyję.

- Maleństwo... - zaczął i nagle przerwał.

- Co? - spytała, odwracając głowę.

- Poczekaj chwilę. Tak, znalazłem, naprawdę znalazłem!

- Co takiego? Co znalazłeś?

Teraz, kiedy już wiedział, żałował, że niepokoi Andreę. Przez sekundę się zastanawiał, czy nie powinien czegoś zmyślić. Zawsze się jej zwierzał i wiedział, że tylko opowiadanie jej o wszystkim może mu pomóc.

- Już wiem, co powiedziała dzisiaj ta Evans. Cały wieczór chodzi mi to po głowie i do tej chwili nie mogłem sobie uświadomić dlaczego. Chodziło o pobranie komórek jajowych; ona jest przewrażliwiona na swoim punkcie. Zadzwoń, aby poprosić mnie o przeprowadzenie zabiegu.

- Ach tak - powiedziała Andrea z krzywym uśmiechem, przekręcając się twarzą do niego. - To ta...

- Nie, zamknij się Andy, niech pomyślę. Odpowiedziałem jej, że być może to nie będą ja i że mąż może jej towarzyszyć przez cały czas trwania zabiegu. A ona stwierdziła wtedy coś zupełnie dziwnego.

Powiedziała, że nie obchodzi jej mąż i przypuszcza, że będę chciał tam być, abyśmy mogli porozmawiać, ponieważ ona o wszystkim wie. O co,

do cholery, mogło jej chodzić? Jaka rozmowa? O czym ona może wiedzieć?

- Nie uważam, aby to było szczególnie dziwne. Może chodziło jej na przykład o to, że te komórki to bardzo ważna sprawa, i dlatego chce rozmawiać z profesjonalistą. Tak, na pewno dlatego stwierdziła, że mąż w takiej sytuacji na wiele się nie zda. No wiesz, to wszystko jest zbyt medyczne i tak dalej. Nie, nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

- Nie? A ja uważam, że to bardzo dziwne podejście do sprawy.

Rozdział 13

Julia siedziała przy toalecie i patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

- Tylko dwa - wymamrotała - tylko dwa. Żałosne!

Pochyliła się tak bardzo, że jej nos prawie dotykał zimnego szkła.

Ostatnie słowa wyrzuciła sobie prosto w twarz z goryczą. Powierzchnię lustra pokryła mgiełka. Odsunęła się dalej i wytarła szkło ręką.

- Dobra, wyglądasz okropnie - szepnęła. Opadła na krzesło i w ciszy zaczęła lustrować swój wygląd. Włosy proste i nie umyte, cera blada i wysuszona, makijaż pod oczami rozmazany. Pozwoliła mięśniom twarzy całkowicie się zrelaksować, czując ciężar, z jakim obwisa jej skóra, i patrząc, jak wokół ust powstają małe zmarszczki. Ziewnęła. Z głośnym westchnieniem wyprostowała się nieco i wsadziła dłonie we włosy, naciągając skórę twarzy, co nadało jej młodzieńczy i trochę orientalny wyraz. Naciągnęła ją jeszcze mocniej i oparła się na łokciach, wpatrując się niechętnie w swoje odbicie.

- Tyle cholernego wysiłku dla marnych dwóch komórek - wrzasnęła. - Boże, jakie to żałosne!

Z westchnieniem opuściła ręce na blat i oparła na nich głowę.

- Co mam zrobić? Jaka jest nadzieja, jeśli mam tylko dwie? Miałam szansę. Dano mi ją i zawiodłam. Teraz on mnie nie zechce, wiem o tym. Pięć - wtedy powinnam była to zrobić. Pieprzona idiotko, straciłaś okazję, wiesz? - Znowu podniosła głowę i spojrzała w lustro. Rozczulanie się

nad sobą jedynie spotęgowało jej wstręt do samej siebie. Zerwała się z krzesła i podeszła do okna. Wychyliła się i spojrzała w dół z taką samą rezygnacją, z jaką przed chwilą przyglądała się swemu odbiciu.

Zobaczyła kobietę z parasolką, która szła po mokrym chodniku, prowadząc na smyczy psa - wielkiego, leniwego labradora. Jego chwiejny chód nieoczekiwanie przypomniał Julii o Lucy. - Nie - rzuciła do siebie, wycofując się od okna. - Nie! Tylko nie to! Nie mogę znowu zaczynać od początku. Nie mogę!

- Coś do mnie mówisz, kochanie? - zawołał z dołu Michał.

- Nie, mówię do siebie - odkrzyknęła Julia. - Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Nadal się martwisz, Julio? - Michał wszedł po schodach do sypialni. -

Znowu zaczynasz? Przecież urodziło się wiele, naprawdę wiele dzieci, gdy została pobrana tylko jedna komórka, nie mówiąc już o dwóch.

Przecież nam mówili, i to wyraźnie. Och, kochanie, jak ty wyglądasz - powiedział, stając w drzwiach.

- Dziękuję za komplement.

- Ty głuptasie. Sama się doprowadzasz do takiego stanu. Dajże już spokój, to bez sensu. Tyle już przeszliśmy, nie zaczynaj od nowa. Nie masz powodów. Jesteśmy na dobrej drodze, pobrali dwie dobre komórki...

- Ale nie doskonałe, nieprawdaż? Tym razem nikt nie powiedział, że są doskonałe.

- Och, Julio, nie bądź dziecinna. - Michał przysiadł na brzegu łóżka i przyglądał się, jak Julia chodzi po pokoju, nie spojrzawszy na niego ani razu. - Nie czepiaj się słów. Komórki są w bardzo dobrym stanie i wszyscy byli z nich zadowoleni. Bardzo prawdopodobne, że tym razem się uda.

- Tym razem? Udało się poprzednim. Jak możesz oczekiwać, że zdarzy się to po raz drugi?

- No cóż, z tego, co mówił doktor Northfield...

- Nie mieszaj w to Antoniego!

- Co? Coś ty powiedziała? Co to ma znaczyć?

- Nic. Po prostu nie mów o tym, czego nie rozumiesz. Michał zerwał się na równe nogi i chwycił Julię za ramię, odwracając ją w swoją stronę.

-Słuchaj... Nie, nie tak, popatrz na mnie. Mam tego wszystkiego dosyć. Staram się, jak mogę, być wyrozumiały, ale tym razem posunęłaś się za daleko, Julio. Za daleko. Nie śmieję powtórzyć, żebym nie mówił o...

- Och Michale, nie bądź taki dramatyczny! Szczerze mówiąc, jesteś żałosny!

- Zamknij się! - ryknął Michał. - Zamknij się! Rzygać mi się chce od tego cackania się z tobą, rzygać! Wydoroślej, Julio! Nie możesz traktować tego jak swojej własnej, prywatnej sprawy. Jestem tak samo w nią wplątany, jak i ty! Nie chcę, żebyś tak do mnie mówiła!

- Och, doprawdy? Nie chcesz, abym tak do ciebie mówiła? - Julia przedrzeźniała sposób mówienia Michała. - Najdroższy! Tak mi przykro, naprawdę!

- Tak właśnie, Julio. Dosyć tego.

Michał odwrócił się i wymaszerował z pokoju, a Julia z dziwnym uśmiechem na twarzy poszła do łazienki, aby umyć włosy.

* * *

- Zostaniesz dziś na noc? - Anna z powagą przyglądała się Michałowi, który siedział naprzeciwko niej na kanapie. Mijał już trzeci dzień, odkąd ją odwiedził, i obydwójce stwierdzili, że wolą spędzać czas razem niż osobno. Potrząsnął przecząco głową. W znoszonej, żółtej bluzie i starych, brązowych, sztruksowych spodniach, które zdążył na siebie włożyć po telefonie od Anny, wyglądał znacznie młodziej i bardziej bezbrinnie niż poprzednio w urzędowym garniturze.

- Nie, Anno, nie trzeba. Masz cudowną policjantkę. Nie mam prawa tu być.

- Prawa? Jesteśmy jak w więzieniu, Michale. Ludzie w więzieniu nie muszą mieć praw, oni tylko pozwalają, aby wszystko toczyło się samo. Nie ma żadnych reguł, nie rozumiesz? Odkąd pozwoliły Harry'emu zniknąć, straciły nade mną jakąkolwiek władzę. Ty także nie potrzebujesz mieć prawa, jesteś stracony, tak jak ja. Możesz robić to, co chcesz.

- O Boże, Anno, czasami mówisz jak staruszka. Nie powinnaś. Jesteś taka młoda, to straszne widzieć, jak...

- O nie, nie zaczynaj. To niby taka tragedia, która mnie dotknęła, zanim osiągnęłam dojrzałość, czy coś w tym rodzaju. Zawsze taka byłam, nie łudź się. No tak, może w twojej wygodnej klasie średniej młode dziewczęta są słodkie i niewinne...

- Nie mówiłem tego.

- Ale wierz mi, nigdy nie byłam ani słodka, ani niewinna. Nie jest mi z tego powodu przykro. Ani się nie skarżę. Nie przychodź tu z tymi wyświechtanymi komunałami o dziewczynach klasy robotniczej, które przyjeżdżają do Londynu z północy i są głupie. Umieję czytać; oglądam telewizję; wiem co nieco o tym, co się dzieje na świecie... Do cholery, tak naprawdę jestem pewna, że wiem więcej niż ty sam.

- Z pewnością masz rację - uśmiechnął się Michał.

- O nie, nie uśmiechaj się do mnie tak protekcyjnie. Pieprzę to. Twój świat jest tylko małą częścią prawdziwego. Mój - olbrzymią. W dodatku stale się powiększa. Straciłam Harry'ego i dowiedziałam się o istnieniu nowej rzeczywistości. Przedtem wydawało mi się, że wszystko już wiem, ale to nieprawda. Ty wiesz jeszcze mniej. Dopiero teraz naprawdę żyję. I ty tak samo, być może po raz pierwszy w życiu. Fajnie jest, co?

- Och, Anno! - Michał wstał i podszedł do niej. Siedziała na małym, twardym krześle. - Przestań. Przestań. - Kucnął przed nią i położył dłoń na jej rękach. - Tak, oczywiście, jeśli chcesz, abym został, zostanę. Powiem policji, że tu jestem, na wypadek gdyby chcieli do mnie zadzwonić. Chcę zostać. Dziękuję.

Wiatr zawiął mocniej i okno otworzyło się z lekkim stukiem.

Anna uśmiechnęła się do niego i nagle uklękła. Pocałowała go w czoło, a chłodna wilgoć jej ust podziałała jak zimny kompres na rozgrzanej skórze.

- Też ci dziękuję - powiedziała. - Powiem Zuzannie, że nie musi zostawać. Wolę być sama z kimś, kto rozumie.

- Jesteś pewna, że to właściwe? Może powinna zostać? No wiesz, chodzi mi o to, czy nie będzie wyglądało...

Anna ukryła twarz w dłoniach i jęknęła:

- O rany, człowieku! Nie bądź durniem! Nie rozumiesz tego, co chciałam ci wytłumaczyć? Wszystko jest właściwe. Nic nie jest właściwe. To nie ma znaczenia. Przejdź przez to tak, jak umiesz, tylko tyle możemy zrobić. Jeśli ja uważam, że dobrze mi z tobą, a ty chcesz tu być, to właśnie o to chodzi. To jest w porządku. Jeśli ktoś pomyśli, że się tu ze mną pieprzysz, to dobrze. Być może będziesz to robił.

- No nie, Anno, naprawdę! - Michał szybko zaprotestował, ale w tym samym momencie na dźwięk tych słów poczuł nagle ogarniający przyływ podniecenia. - Nie utrudniaj wszystkiego. Jest tu facet, który może się tobą zająć i nie iść z tobą do łóżka, wiesz o tym. Zostaję tu jak twój przyjaciel, chcę się tobą opiekować i potrzebuję twojego towarzystwa. Jak ojciec. Tak, właśnie, jak ojciec - uśmiechnął się.

- Przepraszam - powiedziała Anna. - Wiem, wiem. Przepraszam. Ale mimo wszystko nie mógłbyś być moim ojcem. Musiałbyś mieć około czterdziestu lat.

-Dziękuję za komplement, ale jestem o wiele starszy. A poza tym, skąd możesz wiedzieć, co robiłem, jak miałem czterdzieści lat? Czułbym się zaszczycony, mogąc być twoim ojcem.

Michał uniósł się z klęczek i objął ją delikatnie. Na szczęście oparcie krzesła przysłoniło namacalne dowody, że jego uspokajające słowa nie idą w parze z reakcją ciała.

Anna wysunęła się ostrożnie z jego objęć, oparła się i w zamyśleniu pochyliła głowę. Jej kruczoczarne włosy, chociaż nadal nie uczesane, były jakby mniej matowe i węższe, niż Michałowi się wcześniej wydawało. Po raz pierwszy jej bladej twarzy nie znaczyły ślady nieutulonego płaczu i rozmazany makijaż. Zmizerowana i wychudzona, pozbawiona nawet śladu kredki do oczu, wyglądała bezbronne. Czarna, wycięta w karo bluza i czarne legginsy przypominały Michałowi sobotnie wieczory, kiedy jako młody chłopak wybierał się na potańcówki, a ubrane w czerń, długowłose dziewczyny o szkarłatnych ustach i minach Juliette Greco fascynowały go doświadczeniem nabytym za granicą oraz niezrozumiałym egzystencjalizmem, z jakim się obnosiły. Anna nie wyglądała na do-

świadczoną - mimo całej swej życiowej mądrości i cynizmu. Kiedy patrzyła na niego z powagą, czuł się tak, jakby miał przed sobą młodą osobkę, kruchą i niespokojną małą dziewczynkę.

- Sypiałeś z nią? - spytała. - Chodzi mi o to, czy po tym wszystkim nadal chodziliście razem do łóżka? Spaliście razem?

Michał westchnął. Usiadł na wytartym dywanie i założył ręce na kolana.

- Nie. Nie spaliśmy. Jest coś, czego jeszcze ci nie mówiłem. Jeszcze gorszego niż afera z Northfieldem. Właściwie nikomu o tym nie opowiadałem, oczywiście z wyjątkiem tych, których ta sprawa dotyczyła, i to było... Nie, naprawdę, nie mogę o tym mówić, Anno. Przepraszam. Nawet tobie. Istnieją rzeczy, z którymi trudno mi samemu stanąć twarzą w twarz. Ale nie, nie kochaliśmy się od czasu, jak wszystko się zaczęło.

- Biedaku - powiedziała z lekkim uśmiechem.

- Tak - uśmiechnął się w odpowiedzi. - Żebyś wiedziała.

- Naprawdę możemy spać dzisiaj razem, wiesz o tym. Michał potrząsnął głową, nadal się uśmiechając.

- Wiem, co robię, Michale. Jesteś jedyną osobą na całym świecie, która mnie zrozumie. Wyobrażasz sobie? Chociaż dziecka nie ma, bo zostało porwane, kobieta chciałaby się z kimś przespać. Któż inny miałby to zrozumieć?

Michał odwrócił wzrok.

- Chcesz mnie? Pytam poważnie.

- Anno. Zrobiłbym wszystko, aby ci pomóc, wszystko. Wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę. Ale nie będę się z tobą kochał. Wydaje ci się, że na chwilę zapomnisz o tęsknocie i bólu, ale co będzie potem? Jak obydwójmy będziemy się czuli? Będziemy żałować, czuć się, no nie wiem... winni.

- Ja nie.

Powiedziała to z taką prostotą, że musiał na nią spojrzeć. Poważny, smutny wyraz twarzy kazał mu czuć, że ona ma rację - w taki sposób nic nie mogłoby jej zranić. Zniosła już takie męczarnie, samooskarżanie i poczucie winy, że stała się odporna na ból. Nawet ten obecny, gryzący, pustoszący jej ciało, spowodowany utratą Harry'ego.

- Anno, przepraszam. Może masz rację. Może mogłoby ci to pomóc, i mnie także, ale po prostu nie potrafię. Jesteś bardzo młoda. Przez to wszystko czuję się taki zagubiony, że nie jestem w stanie posunąć się do takiego kroku.

- To nie jest żaden ważny krok - prychnęła Anna lekceważąco. - To po prostu pieprzenie, człowieku, do cholery. Nie traktuj tego jak ceremonii zawarcia małżeństwa czy czegoś takiego. W porządku, jeśli nie możesz tego zrobić, rozumiem, ale nie przywiązuj do tego takiej wagi. To nic takiego.

- Dobrze. A teraz zostawmy to. Nadal chcesz, abym tu został?

- Jasne, co ty sobie wyobrażasz? Ze chodzi mi tylko o twoje ciało?

- Nie - szepnął Michał. - Nie, nie uważam, aby tak było.

- W takim razie w porządku - powiedziała Anna. - Pościelę ci na kanapie. Julia zbiegła po schodach i złapała taksówkę, która zawiozła ją do Harriet. Kiedy otworzyła drzwi samochodu, mimo płaszcza z wielbłądziej wełny poczuła przeszywający podmuch zimowego wiatru. Taksówkarz zlustrował ją wzrokiem, kiedy mocowała się z klamką i przekrzykując wiatr, podała miejsce, gdzie mają jechać. Wgramoliła się do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Najpierw zakupy taksówką -prawdopodobnie u Harrodsa, a potem lunch.

Julia rozparła się na tylnym siedzeniu i zastanowiła się nad tym, co zrobiła. Działała prawie bezwiednie. Po telefonie do biura, w którym poinformowała, że nie przyjdzie do pracy, ubrała się szybko i wyszła, nie Michałowi nie mówiąc. Przez cały ten czas golił się w łazience - ona zdążyła zadzwonić do pracy, a potem do kliniki. Tak było łatwiej. Nie musi wiedzieć. I tak ją w końcu zrozumie. Tym razem nie mógł się wtrącać; musiała wykorzystać szansę i to nie tylko ze względu na nią samą, ale i Antoniego; tak, to oczywiste.

Patrzyła przez okno. Drzewa na Sloane Square pokryte były białym puchem, który pojawiał się w grudniu co roku, uświadamiając jej, jak blisko do świąt. Po raz pierwszy od

długiego czasu ta perspektywa nie wydała się jej zniechęcająca; tak wiele świąt nosiło piętno udawanej radości; brak dzieci, dla których święty Mikołaj mógłby przynieść prezenty, prawie pozbawiał sensu rodzinne przesiadywanie przy wspólnym stole. Teraz jeszcze raz pojawiła się iskierka nadziei, dzięki której nadchodząca pora roku nabierała zadziwiających kolorów.

Obie komórki zostały zapłodnione. Była szansa. Gdyby tylko udało się jej tym razem wytrzymać - gdyby zostawiono ją w spokoju, może mogłoby się udać.

* * *

- Tak? - głos Harriet, wydobywający się z głośnika domofonu, był niewyraźny i odległy.

- Hat, mówi Julia. Potrzebuję cię. Możesz mnie zawieźć do kliniki?

- Na Boga, co się stało? Jesteś chora?

- Słuchaj, czy możesz ze mną pojechać? Jeśli nie, powiem taksówkarzowi, aby mnie zawiózł samą i...

- Nie, oczywiście, że cię zabiorę. Wejdiesz?

- Tak. Odłóż słuchawkę, zapłacę za taksówkę... Do zobaczenia za chwilę.

- Co się stało? O co chodzi? - zapytała, kiedy po kilku minutach zobaczyła dziwny wyraz twarzy przyjaciółki. Julia weszła do mieszkania.

- Nic. Mówiłam ci. Po prostu muszę jechać do kliniki, gdzie wszczepią mi embriony, to wszystko, i...

- Och Julio! Jak wspaniale! Są zapłodnione, tak? Dlaczego nie pojechałaś taksówką? Gdzie Michał?

-W domu. Jest zajęty. Potrzebowałam kogoś, kto by mnie zawiózł, to wszystko. Muszę ci wszystko tłumaczyć?

- Przepraszam. Usiądź na chwilę, ubiorę się tylko. Julia przysiadła na brzegu kuchennego stołu i patrzyła

na porozrzucane po podłodze zabawki. Zdziwiło ją, że patrząc na nie, nie czuje jak zwykle ukłucia zazdrości. Zastanawiała się dlaczego. Obejrzała się i zobaczyła stos nie umytych naczyń w zlewozmywaku. Już chciała wstać i pozmywać, ale się powstrzymała. Od teraz wszystko jest na drugim miejscu, a ona na pierwszym. Nic nie może stać

pomiędzy nią a szansą, jaka została jej dana. Musi myśleć tylko o sobie, swoim ciele i pozytywnym wysiłku przygotowania.

- Gdzie dzieciaki? - zawołała.

- Są w pokoju Jessie, grają na komputerze. Wszystko w porządku, poproszę sąsiadkę z dołu, aby z nimi posiedziała - powiedziała Harriet, wpadając do kuchni i w biegu nakładając płaszcz. - Gdzie są do diabła klucze? I torebka? A tak przy okazji, ile czasu tam będziemy?

- Nie tak długo. Dzięki, Hat.

- Dobrze, dobrze - uśmiechnęła się Harriett. - Niech tylko tym razem się opłaci, co?

- Jasne.

Powiedziawszy szybko do widzenia dzieciom, które i tak były zbyt zajęte komputerowymi lemingami, aby zwrócić na nią uwagę, Harriet poszła poprosić sąsiadkę, aby posiedziała z dziećmi do jej powrotu. Kiedy wreszcie schodziły po schodach, Harriet usłyszała, że dzwoni jej telefon.

- Jessie, odbierzesz? - wydarła się w górę schodów. - Och, wszystko jedno. Kiedy jest włączony telewizor, nigdy mnie nie słyszą. Ten ktoś na pewno zadzwoni jeszcze raz.

** *

Michał odłożył słuchawkę i zmarszczył brwi. Był pewien, że Julia poleciała do Harriet, będąc zbyt zdenerwowana po telefonie do kliniki, aby rozmawiać z nim. Tak się już przyzwyczaił do jej nieprzewidywalnych zmian nastroju, że wyjście z domu bez słowa nawet go nie zdziwiło. Ale u Harriet nikt nie odbierał. Ogarnął go niepokój. Czyżby mimo wszystko wiadomości były dobre? Czyżby znowu poszła do kliniki sama, nawet mu o tym nie mówiąc? Wykręcił numer i usłyszał znajomy, przyjazny głos.

- Dzień dobry, czym mogę służyć?

- Dzień dobry, mówi Michał Evans. Chciałem tylko zapytać, czy przypadkiem nie ma u państwa mojej żony?

- Nie, proszę pana, jeszcze nie przyszła. Czy mam coś przekazać?

- Nie, nie trzeba, dziękuję. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy już do was dojechała.

Michał poczuł się urażony i samotny. Wydawało mu się, że przywykł już do sposobu, w jaki Julia odcinała mu dostęp do swoich uczuć oraz - coraz częściej - także fizycznych aspektów leczenia, ale ton głosu recepcjonistki pozwolił mu przypuszczać, że zapłodnienie komórek zakończyło się sukcesem. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest wyobcowany.

- Do licha, przecież te embriony są także moje - wymamrotał na głos. Rozgniewany i przepelniony wzbierającą w nim energią wstał i ruszył do przedpokoju. Chwycił wiszący na wieszaku niebieski płaszcz, wziął ze stołu kluczyki i szybko wyszedł z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Rozdział 14

Kiedy Michał wszedł do poczekalni na Weymouth, stanął jak wryty. Siedziała na kanapie pod oknem i czytała gazetę. Mając nadzieję, że pomylił uczesanie i sylwetkę, niepostrzeżenie przemieścił się do jednego z foteli. Podniosła głowę. Skonsternowany stwierdził, że miał rację.

- Harriet - powiedział cicho - co, do diabła, tutaj robisz? Nie, przecież wiem, oczywiście. Chodzi mi o to dlaczego. Dlaczego tutaj jesteś? Co ci powiedziała Julia?

- Że jesteś zajęty. Przepraszam, czy... Chodzi mi o to, czy... chciałeś sam ją tu przywieźć? Ona nie... Boże, to okropne. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nic, wszystko dobrze, Harriet. To nie twoja wina. Nie to miałem na myśli. Obawiam się, że ostatnio sprawy zaszły za daleko. Przypuszczam, że wolała iść z tobą, to wszystko. Nieważne, to nie ma znaczenia.

- Ostatnio była bardzo napięta. Wiesz o tym, rzecz jasna. - Harriet uśmiechnęła się zawstydzona. - Nie jestem zdziwiona. Uważam, że i tak byliście wspaniali. To wszystko nie jest takie proste.

- Nie, istotnie nie jest. - Michał usiadł w fotelu i spojrzał na nią. - Wszystko jedno. Dziękuję, Harriet, że przyjechałaś, ale myślę sobie, że teraz kolej na mnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jestem pewien, że Julia powie ci potem, jak poszło. Nie musisz zostawać. Teraz ja tu jestem. Zabiorę ją do domu.

- Oczywiście. Czy mógłbyś ją poprosić, aby do mnie przedzwoniła? Nie chcę, aby pomyślała, że sobie poszłam, wiesz, o co chodzi.

- Nie martw się. Wszystko jej wytłumaczę, obiecuję.
- Dzięki. - Harriet wstała, zabierając z kanapy płaszcz i torebkę. - W takim razie do zobaczenia.

- Cześć, Harriet.

Harriet skierowała się do drzwi, ale zanim do nich doszła, stanęła i odwróciła się.

- Nie potrafię wyrazić tego, co naprawdę bym chciała, ale... cóż, mam wielką nadzieję, że teraz się uda.

- Dzięki, Harriet, jestem pewien, że masz rację.

- Nie to mam na myśli. Mówię o ostatnich tygodniach i o was. Tak bardzo zasłużyłeś, aby się udało. Potem na pewno miną jej złe nastroje. To wszystko było takie pogmatwane i...

- Tak, wiem. Wiem, co chcesz mi powiedzieć, Harriet, i jestem ci wdzięczny. Wierzę, że wszystko się uda, i nie martwię się tym, co się dziś stało. Przywykłem.

Uśmiechnął się do Harriet, która odpowiedziała mu uśmiechem, odwróciła się i wyszła.

* * *

Po kilku minutach do poczekalni weszła Julia. Miała napiętą twarz, która mimo lekkiego makijażu w dziennym świetle wyglądała blado i sztywno. Podeszła do kanapy, na której oparciu rzuciła przedtem płaszcz, i spojrzała na Michała. Wyraźnie zdziwiła ją jego obecność.

- Idziemy? - spytała i zatrzymała się w przejściu.

- Tak, idziemy. Jak się czujesz? Ile ich było?

- Oba. Dwa. Dobrze się czuję. Chodźmy.

Michał cieszył się w duchu, że w poczekalni nie było żadnych świadków tej ponurej sceny. Nie był w stanie udawać optymizmu, którego nie czuł, znużony kłótniami i obwinianiem siebie nawzajem. Dlatego milczał.

Wstał i razem skierowali się w stronę wyjścia. Po nieśmiertelnych, sztucznie uprzejmych fotografiach i rozpluwających się w uśmiechach recepcjonistkach z ulgą powitali chłodną szarość dnia. Idąc po mokrym, szarym chodniku, zmierzali do samochodu.

- Zaparkowałeś przy parkomacie? - zapytała Julia. Nie patrzyła na niego; wzrok miała wbity w nieokreślony punkt przed sobą.

- Tak. Nie, właściwie nie. Na parkingu strzeżonym. Kawalek dalej. Szli przez chwilę w milczeniu. Nagle Julia się zatrzymała.

- Tym razem nie pozwolę, aby cokolwiek się nie udało. Wiesz o tym, prawda?

Zignorował dziwnie zaleźniony ton jej głosu i powiedział łagodnie:

- Oczywiście. Jestem pewien, że nic się nie stanie. Wszystko jest na dobrej drodze. - Przystanął, wziął ją za ramiona i delikatnie odwrócił do siebie. - Zajmę się tobą. Musisz mi tylko na to pozwolić, kochanie. Nie mogę ci pomóc, kiedy tak mnie odtrącasz, poza tym to nie w porządku. Odsunęli się nieco na bok. Zza rogu wyłonił się szpaler dzieci ze szkoły, ubranych w szare płaszczyki i niebieskie, aksamitne berety. Dzieci zmierzały w ich kierunku. Michał patrzył na chichoczące, rozgadane dziewczynki, trzymające się za ręce obleczone w rękawiczki; kiedy maszerowały, tornistry podskakiwały im na plecach. Uśmiechnął się i obejrzał na Julię. Spodziewał się, że i ona poweseleje na ten widok, tchnący nieodpartą młodością i pogodą ducha. Ale nie; cały czas patrzyła przed siebie, gdzieś ponad ramieniem Michała, błędząc myślami daleko stąd.

- To nie Antoni przeprowadził zabieg - stwierdziła. - Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

- Co takiego? - spytał. - Masz na myśli Antoniego North-fielda?

- Tak.

- Oczywiście, że nie ma znaczenia.

Grupa dziewczynek już ich minęła. Michał wziął Julię za rękę i powoli ruszył naprzód.

- Nie rozumiem, dlaczego robisz z tego taki problem; oni wszyscy są tak samo dobrzy. Kto był tym razem?

- Nie pamiętam nazwiska, ale przez cały czas był bardzo miły.

- No widzisz. Nie ma znaczenia, kto to robi. Tak powiedział profesor Hewlett, pamiętasz? Mówił przecież, że wszystko zależy od tego, czy zabieg nastąpi we właściwym momencie, prawda?

- Tak, wiem. Ale mimo wszystko to dziwne, nie sądzisz? Dotarli do samochodu; Michał włożył klucz do zamka i otworzył drzwi po stronie kierowcy; drugie drzwi odblokowały się automatycznie.

- Dlaczego nie używasz pilota? - zapytała Julia, wsiadając do środka.

- Nie działa - wyjaśnił Michał. - Co w tym dziwnego?

- No wiesz, to, że to nie był Antoni.

- Ale dlaczego?

* * *

- Michale, Michale, Michale...

Cichy, powtarzający się szept przerwał jego sen. Michał otworzył oczy i nieprzytomnie spojrzał w purpurową ciemność, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Gdzieś na dnie żołądka poczuł znajome ukłucie strachu niewiadomego pochodzenia. Powoli się rozbudzał i wracał do pełnej przytomności, jednak tym razem ból pierzchł za sprawą zagadkowej, niewytłumaczalnej nadziei. Próbując znaleźć wyjaśnienie tego obcego mu uczucia, ponownie usłyszał płynący z mroku szept. W tym samym czasie, w którym mózg zaczął odbierać sygnały, oczy przywykły do ciemności i rozpoznały kształt głowy, która bardzo, bardzo blisko nachylała się nad nim. Uniósł się i podparł łokciem. Nagle dotarło do niego, gdzie jest.

- Anna? Anno, co jest? Coś się stało? Chcesz porozmawiać?

Nie odpowiedziała; zamiast tego wślizgnęła swe małe, szczupłe ciało pod kołdrę i położyła się obok niego. Michał odsunął się, wciskając w oparcie kanapy, robiąc jej miejsce. Jego podkoszulek i slipy pozwijały się, ocierając się o szorstki materiał obicia.

- Dobrze się czujesz? - zapytał szeptem. Jego prawa ręka znajdowała się teraz pod plecami Anny, unieruchomiona, a druga zwisała dziwnie wzdłuż lewego biodra.

- Tak, dobrze - odszepnęła. - Przepraszam, że cię budzę.

- Nie bądź głuptasem.

Kiedy nieznacznie odwróciła się do niego, Michał zdał sobie sprawę, że zaczyna mu to sprawiać przyjemność; od-

słonięte ramię leżące pod Anną napotkało miękkie, ciepłe ciało. Leżeli tak przez chwilę nieruchomo, powstrzymując oddechy, po czym Michał znowu odezwał się szeptem. Jego usta niemal dotykały jej włosów.

- Nie martw się. Wiesz, cały czas mam przeczucie, że nic mu się nie stanie. Naprawdę.

Na ramieniu poczuł delikatne drżenie, przypominające mruczenie kotki. Uniósł głowę i próbował dojrzeć jej twarz, ale w ciemnościach na jaśniejszym tle dywanu widział jedynie zarys głowy.

- Anno? Ty płaczesz?

Odpowiedź nie przyszła od razu. Dopiero po chwili usłyszał słaby głos, napływający z ciemności.

- Tak. Myślę, że już nigdy go nie zobaczę. Nie zniosę tego.

- Kochana moja. Kochana. - Podniósł lewą rękę, próbując dotknąć jej twarzy. Mokre policzki były dla niego szokiem; zanim go obudziła, musiała płakać już wcześniej, sama w swoim łóżku. Otarł jej twarz i pogładził po włosach. Płynące łzy zbierały się na skroniach. Sięgnął po prześcieradło i skrawkiem materiału osuszył jej twarz.

- Dzięki - powiedziała cicho. - Przepraszam, ale nie potrafię tego wytrzymać.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć; sama tak mówiłaś, nie pamiętasz? Jestem jedyną osobą, której nie musisz nic wyjaśniać ani przepraszać. Płacz, jeśli chcesz.

Ręka Michała spoczywała teraz na prześcieradle, oddzielającym ją od ciepła jej ciała cienką, błękitną tkaniną. Wyczuwał lekkie bicie jej serca. Anna wydobłała swoją rękę spod pościeli i ujęła dłoń Michała z gwałtownością, która go zaskoczyła.

Przez kilka kolejnych minut leżeli w ciszy, rozkoszując się bliskością swych ciał i myśli, po czym Anna powoli podciągnęła rękę Michała do swojej twarzy i bardzo delikatnie wessała ustami czubek jednego z palców. Zupełnie jak niemowlę ssące pierś. Michał wstrzymał oddech, zdumiony silną falą pożądania, jaka zawładnęła jego ciałem. Anna wypuściła z ust jego palec i cicho westchnęła; nadal trzymając w dłoniach jego rękę odepchnęła nakrycie, które zwinęło się w fałdy na ich nogach. Białosc jej ciała wi-

doczna była nawet w nikłym świetle; Michał objął wzrokiem jej nagość i małą, ciemną plamę pomiędzy nogami. Ich ręce spoczywały na jej brzuchu. Michał łagodnie wyplątał dłonie z jej uścisku. Położył je delikatnie na ciepłych, krągłych piersiach, czując twardość sutków i bicie jej serca, silniejsze niż przedtem. Głaskał miękką skórę i pełne, duże piersi - podniecony i jednocześnie zaskoczony, że natura tak szczerze wyposażyła to drobne ciało. Bawił się sutkiem, głaszcząc jego ciemną, pomarszczoną otoczkę, a potem ujął dłonią całą pierś i schyliwszy głowę, zaczął ją pieścić ustami. Ssał sutek tak, jak ona przedtem jego palec, z tym samym czułym skupieniem; przywarła do niego mocniej. Prześlizgnął się dłonią po jej talii, biodrze i łagodnie sięgnął pomiędzy uda.

Anna westchnęła, ale w tym oddechu Michał usłyszał drzenie. Uniósł głowę i spojrzał na jej majaczącą w mroku postać.

- Boże, Anno - szepnął. - Ty znowu płaczesz. Mam przestać?

-Nie, nie przestawaj. Płaczę, ale nie przestawaj. Nie przestawaj, na litość boską.

Ręka Michała pieściła wilgotne miejsce między jej nogami; potem zaczął całować jej szyję. Odchyliła głowę do tyłu, a on całował i dotykał językiem jej skóry tak lekko, że ledwo ją muskał ustami. Anna schyliła się do niego, próbując w ciemności spojrzeć mu w oczy. Ich usta się spotkały, wargi ostrożnie chwyciły się nawzajem; wtedy poczuł twardy czubek jej języka, wpychający się do jego ust. Otworzył je szerzej i całowali się namiętnie, aż Anna, prawie bez tchu, oderwała się od niego i szepnęła zdyszana:

- Nie mogę oddychać! Roześmiała się cicho.

- To przez płacz - stwierdził Michał, uśmiechając się w mroku. - Przestań, Anno. Nie płacz i skup się.

Wniknął palcem do jej wnętrza. Westchnęła z rozkoszy.

- Jesteś cudowna - wymruczał. - Jestem z tobą, Anno. Czuj mnie. Jestem tutaj.

Po kilku chwilach przesunął rękę na jej uda i rozszerzył je tak mocno, że jedna noga Anny opadła z sofy. Ostrożnie

położył się na niej; oplotła go nogami; był w niej, drżący ze szczęścia, a ona, desperacko i mocno, poddała się sile jego bioder.

- A teraz - szepnął, kiedy zaczęli się rytmicznie poruszać - po prostu zapomnij.

Jęczała, kiedy wchodził w nią coraz mocniej; chciała coś powiedzieć, ale słowa nie mogły jej przejść przez gardło, więc tylko dyszała z wysiłku.

- Zapomnij - szepnął czując, jak jej palce zaciskają się na jego ramionach, a ciało pulsuje w rytmie ich ruchów - chcę... żebyś w tej... chwili...

zapomniała.

* * *

- Andy, co sądzisz o muszkach?

- Mhmm?

- Pytam o muszki.

- A chciałbyś je nosić?

- Tak i nie. Pytam ogólnie. Pomyślałem sobie, że może powinienem zacząć się ubierać trochę bardziej elegancko. W takim staroświeckim, dobrym znaczeniu tego słowa.

Antoni studiował bacznie swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Andrea, wyciągnięta na łóżku w sypialni obok, czytała „Hello”.

- Pamiętam, że jako student byłem pod wrażeniem krawatów mojego profesora. Codziennie nosił inny, i nie pamiętam, aby którykolwiek włożył drugi raz, chociaż pewnie tak było. Wdzięczni pacjenci zasypywali go nimi. Co o tym myślisz? Czy wyglądałbym czarująco, czy raczej jak stary malutki?

- Chyba jak ten, no, jak on się nazywa, no wiesz. Pisali o nim. Dawno, dawno temu.

- Och, wiem, chodzi ci o Robina Daya. Tak, chyba masz rację. - Antoni zmasał wyobrażoną muszkę ze swojego odbicia. Zamyślił się na chwilę. - Ale wiązane nie są ładne, prawda?

- Nie, zdecydowanie! Uważam, że wyglądasz wspaniale tak, jak się ubierasz. Jeśli o mnie chodzi, twój styl jest całkowicie na miejscu. Pasuje do młodego, utalentowanego i przystojnego doktora. Pamiętaj, że znam się na tym.

- Tak, tak, masz rację. Dlatego pytam ciebie, kochanie. Wiem doskonale, jaka jesteś błyskotliwa w sprzedawaniu. Tylko, jakby to powiedzieć, czuję się trochę... jakby to powiedzieć - mało oryginalny. - Andrea podniosła głowę znad ciekawej fotografii pięknego, weneckiego domu, należącego do dziwnie wyglądającej, starej, obwieszanej klejnotami arystokratki. Patrzyła, jak wchodzi do sypialni.

- Nie, nie sędzę. Czasami tylko mógłbyś włożyć jakąś wystrzałową koszulę.

- To znaczy?

- Sama nie wiem. Może na przykład różową.

- Mhmm. Ma być różowa czy markowa? - Co?

- Różowa w kolorze czy od Thomasa Pinka?

- Aha, o to pytasz. Różowa w kolorze. A najlepiej i jedno, i drugie. -

Andrea opadła na poduszki i bezwiednie podrapała się po brzuchu. -

Skoro mnie pytasz, podobasz mi się taki, jaki jesteś. Coś mi się przypomniało. Jak tam twoja starsza pani? Nadal zachwycona?

- Chyba nie mówisz o którejś z moich pacjentek. Mogłabyś okazywać im trochę więcej szacunku. Ta kobieta, o którą zapewne pytasz, podchodzi drugi raz. Nie było mnie, kiedy miała drugi zabieg, więc nie mam pojęcia, co z nią, ale pewnie niedługo przyjdzie na badanie krwi. - Antoni silił się na obojętność. Wspomnienie Julii stale go niepokoiło, a w obecności Andrei stawało się szczególnie denerwujące. - Nie słyszałem, aby miała zaczynać od nowa, więc przypuszczam, że nie dostała miesiączki. Jeśli chcesz, mogę się dzisiaj dowiedzieć, jak się czuje. Sprawdzić jej rozkład, specjalnie dla ciebie. Zadowolona?

- Mhmm. Czy jest ładna? Antoni przysiadł na łóżku i podparł się ręką.

- Kochanie, chyba nie pytasz poważnie? Nawet odrobinę? Wiesz przecież, że za tobą szaleję i nawet nie myślę, żeby spojrzeć na inną. Kiedy mówię o wielbiących mnie pacjentkach, tylko żartuję. Nie mam najmniejszej ochoty z nimi flirtować. Nie mówiąc już o tym, że mogłoby to źle wpłynąć na moją dopiero raczkującą karierę zawodową. Kochanie?

- Tak, tak oczywiście. Wiem. Ale mimo to sprawdź. Czyżby w jej pełnym kpiny głosie uchwycił nutkę strachu?

* * *

- Michał!

Tym razem krzyk, nie szept. Głos Julii brzmiał przerażająco i Michał obudził się z lękiem. Siedział przed kominkiem, z głową dziwacznie zwieszoną na oparciu fotela i otwartymi ustami - odwołane popołudniowe spotkanie stało się doskonałą wymówką; korzystając z okazji wrócił do domu po lunchu i uciął sobie drzemkę. Szybko zamknął usta, a kiedy je oblizwał, poczuł suchy, kwaśny smak. Chciał odpowiedzieć, ale z jego gardła wydobyło się jedynie rżenie. Odchrząknął i rozprostował kości, zastygłe w niewygodnej pozie.

- Co? Co się stało?

Julia wpadła do pokoju cała rozdygotana. Rzuciła się do niego. Na twarzy poczuł lekki dotyk jej apaszki. Zerwał się na równe nogi, a ona kucnęła przed nim. Jej płaszcz przeciwdeszczowy ułożył się dookoła na podłodze w fałdy. Z napięciem, malującym się na twarzy, patrzyła mu prosto w oczy i jednocześnie w niewidoczny punkt za nim - jakby w jednej chwili żyła w dwóch światach, obydwu żywych i realnych - jednym teraźniejszym, a drugim nieokreślonym, dalekim, istniejącym na drugim planie.

Ponownie usiadł.

- Chryste, Julio, przestraszyłaś mnie. Co się...

- Michał, Michał...

- Julio, na Boga, uspokój się! Nie krzycz. Po prostu powiedz, powiedz, co się stało.

Nagle się roześmiała. Jej oczy nadal były skupione na nim, ale ich wyraz złagodniał dzięki zmarszczkom, które pojawiły się od śmiechu. Michał wstrzymał oddech i wpatrywał się w jej twarz. Dookoła jej włosów jaśniała aureola światła, które biło z małej choinki stojącej z tyłu.

Nachyliła się do niego; jej śmiech ucichł, zastąpiony łagodnym uśmiechem.

- Michał, kochany, nie bądź taki przerażony. Udało się nam, słyszysz, udało się!

W oczach Michała pojawił się błysk zrozumienia. Wyprostował się i chwycił ją z całej siły za ramiona.

- Och, Julio, czy masz na myśli...

- Poczekaj kochanie, jedną chwileczkę. Mówiłam ci o tym w myślach cały czas, wracając z kliniki. Nie zepsuj tego. Nic nie mów. Ja chcę to pierwsza powiedzieć; już nigdy w życiu nie będzie okazji, abym to mogła wypowiedzieć po raz pierwszy. Muszę to zrobić. Chcę zapamiętać tę chwilę na zawsze, chwilę, kiedy po raz pierwszy powiedziałam to głośno. To prawda, Boże Wszechmogący, to prawda. Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę w to uwierzyć! Tak, kochany, tak - nie bądź taki poważny. Uśmiechnij się, Michał, uśmiechnij się do mnie kochanie, proszę...

Zrobił, jak prosiła. Uśmiechnął się szeroko, a po chwili roześmiał się także na głos. Wstał i ostrożnie wziął swą żonę w ramiona. Przytulił jej opatuloną w przeciwdeszczowy płaszcz postać. Stali objęci przez chwilę, nic nie mówiąc. Julia oddychała głośno prosto w jego ucho, a w jego głowie brzęczało to jeszcze nie wypowiedziane zdanie.

Uspokoiła się, a jej oddech stał się wolniejszy. Michał czule przesunął dłonie z jej pleców i znowu położył na jej ramionach. Odsunął ją troszkę od siebie, aby móc na nią patrzeć, i tak stali jeszcze przez kilka chwil: przyglądając się sobie z pewną obawą, bez uśmiechu, całkiem poważnie.

- Tak? - odezwał się w końcu prawie szeptem. - Tak, kochanie? Co mi musisz powiedzieć?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, który ponownie rozkwitł na jej ustach. Śmiały się jej oczy i cała twarz, rozjaśniona szczęściem, promieniującym z niej od samego środka. Nachyliła się do jego ucha tak blisko, że czuł na skórze jej oddech.

- Jestem w ciąży. Jestem w ciąży. Och, Michale, jestem w ciąży!

Rozdział 15

Największy problem tkwi w tym, kiedy mamy powiedzieć babci.

- O Boże, to prawda. Co z twoją matką? Przecież ona tego nie aprobowała, prawda?

Julia spojrzała na Harriet z ironią. Siedziały przy kuchennym stole, zastawionym brudnymi filiżankami, na wpół opróżnionymi miskami z kaszą i całą masą zabawek.

- Nie dałabym głowy. I tak jest już po fakcie. Chociaż to wszystko było takie „nienaturalne”, ja jestem taką złą żoną i tak dalej, pewnie mimo wszystko się ucieszy, że zostanie babcią.

- Ale chyba nie powiesz jej o tym teraz, co? To dopiero pierwsze dni, wiesz dobrze.

Harriet odruchowo podniosła jednonogiego plastikowego Power Rangera i rzuciła go do wiklinowego kosza na zabawki, który stał w kącie.

- Jestem tak wzruszona, że mi o tym powiedziałaś. Och, Julio, to cudowna, cudowna wiadomość!

- Tak - przyznała Julia. - Naprawdę.

- Jak się czujesz?

- Fantastycznie. Absolutnie fantastycznie. I jestem pełna wiary, nie potrafię tego wytłumaczyć, to zabawne. Po prostu wiem, że tym razem wszystko będzie dobrze.

Urwała i przez chwilę zapatrzyła się w okno.

- Ciekawe, kto to jest, Hat. Mam na myśli płęć. Nie mam pojęcia, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Ciekawe, co się urodzi.

Harriet patrzyła na nią przez chwilę i nagle zerwała się na równe nogi. Podbiegła do drzwi.

- Poczekaj chwilę! Mam coś! Nadzwyczajne, w tym przeklętym mieszkaniu nigdy nic nie mogłam znaleźć, a tu wczoraj, kiedy przekopywałam się przez choinkowe zabawki, wpadło mi w ręce coś, czego właśnie potrzebujemy! Zdumiewające - mówiła wychodząc z pokoju i krzycząc z sypialni. - To jakiś omen. Od lat tego nie widziałam i nagle wczoraj... czekaj chwilę, gdzie to jest, widziałam to w... o jest. Świetnie, wiedziałam.

Harriet pośpieszyła do kuchni, trzymając w dłoni kawałek sznurka z nawleczonym nań małym błyszczącym pierścionkiem.

- Nie bądź śmieszna, Hattie - roześmiała się Julia. - Tylko mi nie mów, że będziesz wróżyć, czy jak tam to nazywają.

- Śmieję się, śmieję - odparła Harriet - powiem ci tylko tyle, że moja babcia za pomocą tego wynalazku przepowiedziała płęć z tuzina dzieciaków.

- Też mi wynalazek! Stary pierścionek na sznurku!

- To nie jest zwykły pierścionek. To pierścień zaręczynowy, a ten kawałek sznurka, czy jak to sobie nazwałaś, za każdym razem bezbłędnie odczytuje wynik. Tak samo było z moimi bachorami.

- Czy ona się rozwiodła? Albo owdowiała?

- O co ci chodzi?

- No wiesz, dlaczego nie nosi pierścionka?

- Nosila. Przez całe życie. Zdejmowała go tylko wtedy, gdy chciała przepowiedzieć płęć dziecka. Zawieszała go wówczas na tym właśnie kawałku sznurka.

- Oczywiście przed narodzinami, jak przypuszczam. W przeciwnym razie wystarczyłoby tylko popatrzeć.

- Możesz sobie żartować, ale to działa.

- Czy za pomocą tego można znaleźć wodę? Albo ropę czy coś użytecznego?

- Tego już za wiele. Za bardzo dziś dowcipkujesz, zupełnie nie rozumiem, co się z tobą dzieje, oczywiście poza tym, że zaszłaś w ciążę. Jeszcze będziesz płakać, wspomnisz moje słowa. A teraz zamknij się wreszcie i połóż się na ka-

napie, a ja powiem ci, jaka będzie płeć istoty ludzkiej, którą tak nieroztropnie zamierzasz wydać na świat.

Julia wstała od stołu i z uśmiechem położyła się na kanapie, która stała w kącie kuchni. Czuła się zupełnie jak młoda dziewczyna, a nie jak kobieta przed czterdziestką; roztargniona i chichocząca.

- To śmieszne. Przecież już niedługo będę miała USG i...

- To jest o wiele lepsze niż USG. Nic nie diagnozuje tak wcześnie i nie jest tak niezawodne jak babciny pierścionek.

- Ach tak, rozumiem.

Julia leżała nieruchomo, a Harriet położyła rękę na jej brzuchu i przesunęła ją w kierunku łona. Drugą ręką uniosła sznurek i trzymając go za koniec ustawiła rękę tam, gdzie według niej pod skórą, tłuszczem i ubraniami znajdowała się macica Julii. Pierścionek zawisł centymetr ponad brzuchem.

- Czy to działa także przez ubrania?

- O tak, nie sądzę, aby w przeciwnym razie babunia mogła go w ogóle używać. Widok nagiego ciała byłby dla niej nie do zniesienia.

Julia patrzyła zafascynowana, jak pierścionek z wolna zaczął się obracać, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

- Nie oszukuj! Ruszasz ręką! - roześmiała się.

- Nie, naprawdę. Nie ruszam, daję słowo. Popatrz, moja dłoń się nie rusza. To nie ja, to pierścionek.

- Och, z pewnością. Bardzo prawdopodobne. Mój ojciec znał położnika, który przepowiadał płeć dzieci. Najpierw stanowczo oświadczał matce, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka, a kiedy okazywało się to nieprawdą, wyciągał swój notes. Obok nazwiska matki widniała płeć dziecka, oczywiście tym razem właściwa. „Popatrz, mówił, wiedziałem, że to będzie chłopiec. Po prostu czułem, że wolałabyś dziewczynkę, i chciałem, abyś była szczęśliwa w ciąży, więc pozwoliłem sobie na to małe kłamstewko. Sama widzisz, że wiedziałem, co się urodzi, i byłem przekonany, że po porodzie nie będziesz mi miała tego za złe”.

- A jeśli przez przypadek za pierwszym razem trafił, notes nie był potrzebny?

- Jasne.
- To bardzo sprytne. Ale to naprawdę działa. - I co ?
- To chłopczyk.
- A gdzie notes?
- Nie ma notesu. To bez wątpienia mały facecik.

Anna obudziła się pierwsza. Pokój wypełniało światło dnia, zabarwione i rozproszone przez czerwone zasłonki. Z poczuciem winy i jednocześnie zdumiona uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od zaginięcia Harry'ego obudziła się po wschodzie słońca. Przedtem każdej nocy trwała aż do świtu. Oczami opuchniętymi od płaczu i niespania obserwowała, jak światło rozpoczyna swą powolną wędrówkę w głąb pokoju, oznajmiając koniec długiej, beznadziejnej nocy i początek kolejnego dnia; dnia, który znowu wypełni pustka i rozpacz albo przyniesie wieści, będące jedynym celem, dla którego warto żyć.

Tego ranka było inaczej. Obudziła się jak zwykle nerwowo, ale gdzieś w głębi duszy wiedziała, że zaszła jakaś niedostrzegalna gołym okiem zmiana. Zbyt subtelna, aby starać się ją odnaleźć, lecz wystarczająco znaczna, aby istnieć. Nie otworzyła oczu; czuła ramię Michała, które ją obejmowało, ciepło jego ud na swoich nogach. Przysłuchiwała się jego równemu oddechowi. Każdy wdech był lekko chrapliwy, a powietrze wydechane ustami delikatnie poruszało krótkimi, czarnymi włosami Anny. Cudownie było poddać się temu równemu rytmowi; być samotnym myślami i tulić się do ciała, które pogrążone w głębokim śnie nie wyczuwało jej obecności.

Leżała nieruchomo, nie chcąc go budzić. Kontakt z tym człowiekiem przyniósł jej ulgę. Nie czuła zwykłej wszechogarniającej tęsknoty i nie chciała zmienić tego stanu. Z uchem przy jego klatce piersiowej nadśluchiwała i wyczuwała uderzenia serca, które za każdym razem, kiedy wdychał powietrze, przyspieszało tempo, a zwalniało, kiedy czuła na czole delikatny podmuch. Świat ograniczył się do rytmu dźwięku i odczuwania. Wsłuchując się w swoje ciało

poczuła własny puls, mieszaninę bicia serca, wdechów i wydechów, jej szybsze uderzenia przez chwilę pozostawały zgodne z rytmem jego serca, po czym wyprzedzały go, by po chwili znowu bić unisono.

Michał jęknął przez sen, chciał się odwrócić, ale powstrzymany przez leżące obok drobne ciało znieruchomiał na moment. Nagle otworzył oczy i napotkał spojrzenie Anny. Przez chwilę było cicho, po czym zmarszczył lekko brwi i czując kwaśny zapach swojego oddechu szepnął do niej:

- Nadzwyczajne. Jak to możliwe?

- Co takiego? Dobrze się czujesz? - odszepnęła.

- Nie byłem pewien, czy to prawda. Nie chciałem otwierać oczu z obawy, że wszystko sobie wyobraziłem. Jak w samym środku koszmaru mogłem przeżyć tyle szczęścia? Anno, kiedy się obudziłem i poczułem, że jesteś obok - nie wiem, jak to powiedzieć - przez chwilę nie myślałem o nich.

Myślałem tylko o nas.

Uśmiechnęła się nieśmiało i z przymusem.

- Ja nie - powiedziała.

- Wiem, że nie. Ale nie będę cię za to przepraszał. - Otulił ją prześcieradłem i przycisnął mocniej do siebie. - Jestem tu dla ciebie i nie zostawię cię, dopóki go nie znajdziemy. - Popatrzył na nią i uśmiechnął się. - Jesteś przepiękna. Cokolwiek się stanie, wiem, że przeżyłem coś, czego nigdy nie zapomnę. Być może tylko dwoje zdesperowanych ludzi jest w stanie doświadczyć czegoś takiego. Teraz rozumiem, co miałaś na myśli. Nic nie jest ważne. Nic nie jest dobre ani złe. - Pocałował ją w czoło i oparł się na sofie. Czuł w głowie dziwny, ale raczej przyjemny zamęt.

- Michał, nie mogę...

- W porządku. Nic nie mów. Wszystko w porządku. Jesteśmy tu razem, tylko to się liczy, nic innego nie ma znaczenia. Nie wstawaj - niech jeszcze chwilę potrzymam cię w ramionach.

Leżeli więc ciasno przytuleni, a Michał rozglądał się po małym pokoiku. Na parapecie stał bukiet rozwiniętych żonkili, prezent od Zuzanny Calvert, która w przypiływie współczucia postanowiła rozjaśnić zimny smutek tego pomieszczenia odrobiną wiosennej świeżości. Michał przy-

zwyczał się już do widoku wytartego fotela, małego stoliczka, nakrytego koronkową serwetą i krzeseł o niegościnnych, plastikowych siedziskach. Nawet niewygodna kanapa, na której teraz leżał, stała się przytulna i domowa. Po tym, co się wczoraj wydarzyło, nabrała wręcz szczególnego znaczenia - czerwony dralon już nigdy nie będzie wyglądał tak samo. Z głową opartą o poręcz i prawym okiem tuż przy powierzchni obicia przyłapał się na tym, iż podziwia płataninę tysiąca nitek nylonowej, błyszczącej tkaniny.

- Wspaniałe, naprawdę wspaniałe - mruknął pod nosem.

- Słucham?

- Nic takiego. Po prostu dzięki tobie zyskałem nowe spojrzenie na tę sofę. To zdumiewające.

- Ach tak - westchnęła Anna. - Wstaję. Możesz zabrać rękę?

Patrzył, jak idzie do łazienki. Widok jej bladego, szczupłego ciała, skąpanego w ciepłym i czerwonym świetle wzbudził w nim tak silny opiekuńczy instynkt, że niemal poczuł ból.

- Anno?

-Tak?

Odwróciła się. Teraz mógł zobaczyć na własne oczy to, co do tej pory poznał jedynie przez dotyk: pełne piersi, płaski brzuch i długie, zgrabne nogi. Ogarnęła go silna fala pożądania.

- Chodź tu na chwilę, tylko na momencik.

Podeszła - wcale nie onieśmielona swoją nagością -i przykucnęła obok sofy. Oparł się na łokciu i patrzył na nią. Następnie bardzo powoli i ostrożnie przysunął do niej głowę i pocałował w usta tak czule i delikatnie, że znów zachciało się jej płakać.

- Będę się tobą opiekował - wyszeptał - cokolwiek się zdarzy, będę.

Obiecuję.

* * *

- Podali ci termin? - zapytała pani Palmer, próbując ominąć groźnie wyglądającego młodzieńca w dzinsach i anoraku, który przechodził przez jezdnię.

- Na litość boską, mogłabyś trochę uważać, mamó. Tak, czwartego września. - To powiedziawszy, nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- W takim razie późnym latem będziesz najgrubsza. Nie ma nic gorszego, oczywiście kiedy jesteś w ciąży i tak jest ci strasznie gorąco. No ruszaj się! - huknęła niecierpliwie na stojący przed nią samochód.

- Mamó, on skręca w prawo, nie...

- Pójdziemy prosto na pierwsze piętro i poprosimy panią Wallis o pomoc. Wiem, że to dopiero pierwsze dni, ale równie dobrze możemy zacząć teraz. Będziesz miała o jedną rzecz mniej, a kiedy zaczną się mdłości, będziesz zmęczona i ocieżała. (Cudownie - pomyślała Julia - dzięki ci, mamó). A teraz uważaj, patrz, czy nie ma jakiegoś miejsca do zaparkowania. Och, spójrz! Czy oni wyjeżdżają, czy parkują? Zahamowała gwałtownie i wyjrzała przez okno. Julia zauważyła, że jadący za nimi czerwony samochód zahamował z piskiem opon. Jadąc z matką należało pozostawać całkowicie niewrażliwym na reakcje innych kierowców. Niestety, szal świątecznych zakupów powodował, że coraz trudniej było zachować obojętność. Julia wspomniała coś o przepisach ruchu drogowego, ale została źle zrozumiana: teraz pani Palmer prowadziła samochód w dość swobodny sposób, klucząc pomiędzy pojazdami, beztrąsko nieświadoma wrażenia, jakie wywiera na innych kierowcach. Julia dostrzegła w bocznym lusterku, jak gestykulują rękami, rozpaczliwie starając się uniknąć kolizji.

Trąbiła i pokrzykiwała tak długo, dopóki miejsce się nie zwolniło, i wtedy, po kilku pomysłowych manewrach, pozostawiła dość nietypowo zaparkowany samochód w jednym z rogów zatoki. Kierując swe kroki prosto do Harrodsa, Julia bezradnie rozmyślała, czy poinformowanie matki o ciąży nie było jednak błędem. Wstrzymywała się przez dwa tygodnie. W końcu jednak poddała się - łatwiej było znieść wtrącanie się matki niż trzymać całą rzecz w tajemnicy, czując, jak rośnie w niej poczucie winy - nawyk z dzieciństwa. Tak jak przewidywała, reakcja matki była praktyczna i pozytywna. Zastrzeżenia dotyczące metody poczęcia całkowi-

cie zniknęły, zastąpione wskazówkami, jak postępować, aby wszystko poszło dobrze. Już pojawiły się instrukcje, gdzie umieścić ogłoszenie o narodzinach (tylko w „Timesie”, nie słuchaj innych), dotyczące szpitala (oczywiście u Królowej Karoliny), wyprawki, chrzcin i tysiąca innych spraw, o których już należało zacząć myśleć. Pozwoliwszy matce decydować o takich rzeczach, Julia czuła się całkiem szczęśliwa. Michał, jak zwykle dbający o własną wygodę, nie miał nic przeciwko temu - dopóki przyszła matka była zadowolona, gotów był zrobić wszystko, co uważała za stosowne. Sama Julia przeżywała emocjonalny błogostan, który wznosił ją ponad przyziemne sprawy. Moszcząc się w miękkim gniazdku cudownej nadziei nie wysilała się zbyt, aby poddać konieczności podejmowania jakichkolwiek decyzji.

- Chciałabym nosić zwykle ubrania, no wiesz, mamo. Ogrodniczki, dzinsy i tak dalej. Nie warto kupować nic specjalnego.

Matka zmarszczyła brwi i zatrzymała się na chwilę.

- Ależ kochanie - odwróciła się i spojrzała na nią. - Tak bardzo chciałabym ci coś sprawić. Coś ładnego.

Patrzyły sobie w oczy, w których po chwili pojawił się błysk zrozumienia.

- Dobrze, niech będzie, przecież jedna sukienka mi się przyda, prawda? - powiedziała Julia. - Dzięki.

Przecisnęły się przez ciżbę bożonarodzeniowych zakupo-wiczów i zatłoczoną windą udały się na pierwsze piętro. Minęły monotonne rzędy wieszaków z płaszczami, kostiumami i sukienkami, i w końcu znalazły się przy jednej z lad. Mała kobietka około sześćdziesiątki, ubrana w granatowy kostium i śnieżnobiałą bluzkę, podniosła wzrok i na ich widok zdjęła okulary, które zawisły na jej szyi na poślaczanym łańcuszku.

Odplątując jego fragment z włosów, uśmiechnęła się na znak, że poznaje. Matka Julii powitała ją wylewnie i szczerze. Widocznie dobrze się znały.

- Och, moja kochana, pani cały czas tutaj. Jak miło panią widzieć. To moja córka. Chyba jeszcze się nie...

- Nie, droga pani. Bardzo mi miło. Cieszę się, że panią poznałam. Znamy się z pani matką od lat.

- Dzień dobry - odpowiedziała Julia.

- Chciałabym kupić córce suknię ciążową. Ona oczywiście lubi nosić tylko praktyczne ubrania, ale moim zdaniem powinna mieć choć jedną elegancką rzecz specjalnie na tę okazję.

- Niestety, obawiam się, że nie będę mogła pani pomóc. Proszę zapytać na czwartym piętrze. Co za miła wiadomość! Czy to pierwszy raz?

- Tak, pierwszy - odparła Julia. Każda dyskusja na temat ciąży sprawiała jej niebywałą przyjemność.

- W takim razie zostanie pani babcią, pani Palmer! To takie wspaniałe uczucie, zareczam pani. Nic innego nie może się z tym równać. Ja mam już trójkę wnucząt. Sama radość i duma.

- O tak, z pewnością. To cudowne.

Krótką odpowiedź matki wywołała uśmiech na ustach Julii. Czyż wnuczeta pani Wallis mogły się równać jej własnym? Rzuciły okiem na fotografię, wypowiadając kilka protekcyjnych pochwał, ale rzecz jasna potomek Palme-rów nie mógł mieć z nimi nic wspólnego. Tak więc pogawędka na ten temat została stłumiona w zarodku.

Po uprzejmym pożegnaniu wróciły do windy. Kiedy zatrzymała się na trzecim piętrze i drzwi otworzyły się szeroko, oczom Julii ukazał się niezwykle widok: ujrzała rzędy fortepianów, szczerzących białe klawisze w uśmiechach,

0 ustach orzechowych, dębowych i lśniących czarnych. Zapragnęła wysiąść z windy i wyciągnąć do nich ręce. Jaka szkoda - pomyślała - wyglądają tak, jakby chciały, aby ktoś na nich zagrał, wypełnił całą tę przestrzeń muzyką.

Wysiadły na czwartym piętrze. Powitał je ekscytujący szyld „Świat dziecka”. Pani Palmer zauważyła kogoś z obsługi i ruszyła w tamtą stronę, mijając po drodze stojaki z dziecinnymi sukienkami, sztruksowymi kombinezonami i małymi, błękitnymi sweterkami.

- Przepraszam, gdzie są ubrania dla ciężarnych? - zapytała głośno.

- O tam, proszę iść tędy i...

- Och Julio, popatrz tylko! Czy nie jest śliczny?

- ...tym przejściem, i na końcu po lewej stronie. Złapała za rękaw jeden z malutkich blezerów.

- Och, kochana, jakież słodkie. Kupię taki, co o tym myślisz?
- Mamusiu, nie bądź śmieszna - zawołała ze śmiechem Julia. - To ubranie dla trzy- może czterolatka. Daj mi trochę czasu. A poza tym, nie wiadomo, czy nie będzie nam raczej potrzebna różowa wizytowa sukieneczka.

- O tak, możliwe. - Zanim jednak zostawiła sweterek, rzuciła okiem na metkę. - Dobry Boże, sto cztery funty!

Minęły rząd ubranek, które robiły się coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie dotarły do końca przejścia. Na widok maleńkich kaftaników i błękitnych śpioszków, wyłożonych na wystawie wraz z puchatymi króliczkami, różowymi i niebieskimi grzechotkami oraz lampkami choinkowymi poczuła dreszcz emocji - mieszankę radości i niepokoju. Z trudem się powstrzymała, aby nie ściągnąć z wieszaków miniaturowych ubranek i nie zanurzyć w nich twarzy.

- Tędy, kochanie - zawołała matka. - Są, widzę.

Dział z ubraniami ciążowymi nie był zbyt duży. Julia już po pierwszym spojrzeniu wiedziała, że nie znajdzie tu rzeczy, które chciałyby nosić, ale mimo to postanowiła sprawić przyjemność matce i znaleźć coś dla siebie.

- Nie chcesz chyba nic dopasowanego, Julio? To wygląda strasznie, kiedy coś opina brzuch.

- Moim zdaniem, brzuch wygląda wspaniale. Z pewnością nie będę chciała go ukryć, o nie. Widziałas okładkę „Vanity Fair” z Demi Moore?

- Co takiego, kochanie?

- Och, nic, nieważne. Tak, jestem pewna, że masz rację.

Po kilku minutach przeglądania stosów spódnic i sukienek, starając się nie patrzeć na matkę, która usiłowała jej wcisnąć coś, czego w życiu by nie włożyła, Julia zdołała wybrać dwie sukienki. Były na tyle proste, że mogły się przydać. Sprzedawczyni wskazała im małą przymierzalnię, a sama poszła po odpowiedni rozmiar.

Czekając, Julia przyglądała się matce, która wyjęła z torebki puderniczkę i poprawiała sobie nos; mimo jej starań pozostał błyszczący. Jej zwykle nieskazitelnie ułożone włosy były rozczochrane. Julia spostrzegła, że różowy puder zbił się w grudki na suchej skórze i tworzy na linii włosów wyraźny

cień; zupełnie jak maska. Czerwona szminka, starta w miejscach, gdzie wargi stykają się nieustannie podczas mówienia, nadal obrysowywała usta - rozstarta trochę na brzegach i tworząca cienkie linie wokół. Pani Palmer nigdy nie zgłębiła do końca tajemnic makijażu oczu, ale mimo to jej powieki znaczył błękitny cień, który, podobnie jak szminka, zbił się w linie, doskonale widoczne na lśniącej skórze, kiedy zamykała lub mrużyła oczy. Po raz pierwszy w życiu Julii zrobiło się jej żal. Radość z powodu ciąży złagodziła napięcie, które zwykle czuła w obecności matki. Musiała obiektywnie przyznać, że stała się ona starszą, bezbroną pamiątką minionej już epoki. W morzu wszechobecnej technologii tak to właśnie wyglądało. Jedynie we własnym mieszkaniu albo miejscach takich jak to mogła się czuć bezpiecznie, odizolowana od rzeczywistości dzięki opiece uprzejmej obsługi sklepu, spokojnej muzyce, tolerując imigrantów wyłącznie jako uśmiechniętych kontrolerów autobusowych i małowównych robotników, a gin z tonikiem - wyłącznie przed kolacją. Pani Palmer wyjęła z torebki szminkę, odkręciła ją i odchyliła głowę, aby w małym lusterku puderniczki zobaczyć się dokładnie. Otworzyła usta i rozciągnęła wargi, i gadała dalej, niczym brzuchomówca. Strumień paplaniny płynął nieprzerwanie, podczas gdy z wysiłku na poźółkłych ustach osadzał się ciągnący śluz. Julia poczuła, że nagle wszystko podchodzi jej do gardła.

- O Boże - stęknęła. Zdażyła, opierając się o lustro ręką, opaść na krzesło. Dwa razy głośno jej się odbiło, kiedy usiłowała powstrzymać odruch wymiotny.

- Kochanie! - zawołała matka. - Dobrze się czujesz?

- Tak, tak, chyba - powiedziała Julia z trudem chwytając powietrze. -

Poczekaj moment... fuu. Och, to było okropne, przepraszam mamusiu, ale przez chwilę myślałam, że wszystko zwrócę.

- Głowa między kolana.

- Nie trzeba, mamó, już mi lepiej.

- Julio, czemu jesteś tak uparta? Musisz zdać sobie sprawę, że czasem inni lepiej wiedzą, co jest dla ciebie dobre. A teraz połóż głowę między kolana. Czy mogło ci rano coś zaszkodzić?

- Nie, nic nie jadłam.
- O to właśnie chodzi. To głupota, naprawdę. Czego oczekiwałaś?
Codziennie rano powinnaś zjeść choć odrobinę, mówiłam ci przecież...
- Mamo, proszę cię, przestań.
- ...inaczej tak właśnie się będziesz czuła. Wiesz, jaki był z ciebie jadek i...

- Mamo, przestań. Przestań!
- ...ale tym razem nie możesz myśleć tylko o sobie, tak jak zwykle.
Musisz wziąć pod uwagę jeszcze kogoś. Jeść często, ale w małych ilościach.

- Przestań!

- Rano filiżanka herbaty z mle...

- Przestań! Zamknij się. Zamknij się, proszę!

Julia podniosła wzrok i zobaczyła zakłopotaną sprzedawczynię, która niezdecydowana stała przy wejściu do przymierzalni, trzymając w ręku kilka sukienek.

- Przepraszam bardzo, ale muszę odwołać przymierzanie - powiedziała cicho. - Muszę zadzwonić.

Schyliła się po torebkę, z oparcia krzesła zdjęła swój płaszcz i wstała. Wyszła z przymierzalni i szybkim krokiem opuściła towarzystwo dwóch kobiet, kierując się do windy.

Rozdział 16

Michał właśnie kończył rozmawiać z ubiegającym się o odszkodowanie klientem, kiedy zadzwonił telefon. Od dwóch tygodni dzięki miłej perspektywie przyszłego ojcostwa patrzył na świat przez różowe okulary i odnosił się do wszystkiego tak życzliwie, że nawet dwuznaczny przypadek pana Bartleet, mimo protestów urzędników podatkowych, gotów był rozważyć pozytywnie. Ale ton głosu człowieka pod drugiej stronie aparatu popsuł mu dobry humor.

- Pan Evans?

- Tak, przy telefonie.

- Mówi Antoni Northfield. Northfield z kliniki. Przed chwilą dzwoniła do mnie pańska żona i zastanawiam się, czy nie miałby pan chwili, żeby do mnie wpaść?

- Czy z nią wszystko dobrze? Czy dziecko...

- Wszystko jest w porządku. Zupełnie nie o to chodzi. Chciałbym tylko zamienić z panem kilka słów. Nie ma się czym martwić. Przepraszam, że przeszkadzam panu w pracy, ale zależało mi, żeby pana zastać.

- Nie ma sprawy. Jeśli to coś ważnego, mogę przyjść zaraz...

- Nie, nie ma takiej potrzeby.

- Czy w takim razie mógłbym wpaść zaraz po pracy?

i czy chce pan rozmawiać z nami obydwójkiem? Około szóstej trzydzieści będzie pan jeszcze w pracy?

- Tak, ta godzina mi odpowiada, ale jeśli pan pozwoli, chciałbym porozmawiać w cztery oczy. Nie ma potrzeby niepokoić pani Evans.

Mimo wszystko zaniepokojony, Michał zgodził się na spotkanie i odłożył słuchawkę. Spojrzał na pana Bartleeta, któremu w trakcie telefonicznej rozmowy coraz bardziej rzedła mina.

Jedno spojrzenie na Michała i mężczyzna poczuł, zresztą zupełnie słusznie, że jego szanse na pozytywne rozpatrzenie skargi zniknęły równie gwałtownie, jak uśmiech z twarzy brokera. Walcząc z poczuciem straconych nadziei, podjął brawurową próbę przywrócenia miłej atmosfery, jaka panowała jeszcze przed chwilą.

-Wracając do rzeczy - mówiliśmy o suficie. Jestem szczęśliwy, że rozumie pan, jaki problem miała moja żona z tym kranem. Mówił pan, że nie ma żadnego powodu, dla którego...

- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale muszę przyznać rację rzeczoznawcom. Nie widzę niestety żadnego wytłumaczenia w tej sprawie.

* * *

Michał udał się do kliniki, gdy tylko uwiął się z ostatnim klientem. Była szósta trzydzieści. Celowo nie zadzwonił przedtem do Julii, instynktownie czując, że najpierw powinien pogadać z Northfieldem. Jadąc samochodem, całą drogę analizował, jakie mogły być powody tego zaproszenia. Starał się ignorować obrazy martwych i zdeformowanych płodów, które nachodziły jego wyobraźnię, pojawiając się co chwila na smaganej deszczem przedniej szybie samochodu. Zamiast tego próbował myśleć o pozytywnych powodach tego nagłego spotkania - a może mają być bliźniaki? Przecież wszczepiono jej dwa embriony i nazbyt dobrze pamiętał swoje podniecenie, kiedy profesor Hewlett ostrzegał ich przed ewentualnością ciąży mnogiej. Ale gdyby chodziło o to, z pewnością poproszono by także Julię. A może celowo chciano, aby to Michał jej o tym powiedział, z obawy, że taka informacja, choć mile widziana, może wywołać szok, który zaburzy jej delikatną psychikę?

Dotarł do kliniki, nie znalazłszy zadowalającej odpowiedzi. Zaparkował samochód i szybko wbiegł po schodach.

Minął wiszące rzędy uśmiechniętych fotografii i znalazł się przed rozczarowująco pustą recepcją.

- Dzień dobry! - zawołał z optymizmem w pustą przestrzeń. - Jest tu kto?!

- Och, przepraszam pana - powiedziała zdyszana, ale uśmiechnięta recepcjonistka, wybiegając zza drzwi, znajdujących się po drugiej stronie biurka. - Właśnie musiałam wyłączyć czajnik. Ma pan spotkanie z doktorem Northfieldem, prawda? Niech pan na chwilę usiądzie w poczekalni, powiem mu, że pan już przyszedł.

- Dziękuję.

Michał poznał, że była to ta sama dziewczyna, co poprzednio. Uspokoił go jej miły głos i przyjacielski sposób bycia. Nachyliła się do telefonu, a kosmyk jasnych włosów, który odgarnęła za ucho, sprawił, że Michał poczuł coś w rodzaju tęsknoty; szybko zdał sobie sprawę, że dziewczyna przypomina mu po prostu Julię, a to z kolei ponownie uświadomiło mu niepewność co do celu jego wizyty.

- Daj spokój, nie bądź idiotą - przekonywał sam siebie, idąc do poczekalni. - Nie ma się czym przejmować. Tak powiedział.

- Panie Evans?

Michał poczuł zadowolenie, że pamięta jego nazwisko i wymawia je w taki miły sposób. Po ostatniej, przygnębiającej wizycie zapomniał, jak gościnne jest to miejsce.

- Tak?

- Doktor Northfield czeka na pana. Proszę iść na górę; wie pan którą, prawda?

Jej uśmiech był tak szczery, zachęcający i krzepiący, że Michał rozkoszował się nim przez ułamek sekundy, po czym odwrócił się w stronę schodów. Już zapomniał, jak przyjemnie jest być traktowanym poważnie - jako integralna część przedsięwzięcia, zawodnik, darczyńca i sprawca - poczuł nagle, jaką ma władzę. Był przecież ojcem. Musiał omówić pewne sprawy, dotyczące jego ciężarnej żony. Bez wątpienia takie rzeczy się zdarzają.

Nic jednak nie przygotowało go na to, co nastąpiło potem.

O szóstej czterdzieści zadzwonił dzwonek do drzwi Harriet. Właśnie robiła sobie drinka. Bezskutecznie szperała w lodówce w poszukiwaniu toniku i wahała się, czy zrobić sobie wódkę z Ribeną, czy raczej z Tizerem. Ribena pierwsza wpadła jej w ręce, więc do przejrzystego płynu w szklance dodała pół kieliszka lepkiej cieczy. Z butelką w ręce podeszła do domofonu i podniosła słuchawkę.

- Tak? O cholera!

- Hat? To ja, Julia. Co się stało?

- O, cześć! Nic, wszystko dobrze, po prostu zalałam domofon Ribeną. - Wchodź. Co do diabła tutaj robisz? - Nacisnęła brzęczyk, otworzyła drzwi i czekała na nią na zewnątrz. - Cześć dzieciata! Jak się czujesz? Tylko nie biegnij po tych schodach! - zawołała do Julii. - Nie chcę mieć potem z tobą problemów, no wiesz. Wchodź. Czego się napijesz? Soku marchwiowego, mleka czy czegoś innego?

- Tak, może być. Czy ja się przesłyszałam, czy rzeczywiście mówiłaś coś o Ribenie?

Weszły do środka i Harriet zamknęła drzwi.

- Tak, sama zobaczysz, przez następne dwanaście lat też ją poznasz, równie dobrze możesz zacząć od dzisiaj.

Julia się uśmiechnęła.

- Dzięki.

- Chodźmy do kuchni, to jedyne miejsce w tym domu, gdzie jeszcze nie ma choinkowych ozdób. W tym roku sami robimy łańcuchy i już gorzko żałuję, że się na to zgodziłam. Biedny Piotr, będzie miał za swoje.

Wyglądasz wspaniale. Jak tam zakupy z mamą? I gdzie jest Michał? Siedzi w domu i czeka na kolację czy zapracowuje się w biurze?

- Przypuszczam, że już powinien być w domu. Znowu czuję się jak kozioł ofiarny, wiesz, o co mi chodzi. Zupełnie jak... Musiałam zadzwonić.

- Chcesz skorzystać z telefonu?

- Nie, dzięki, już to zrobiłam. A właściwie chodzi mi o to, że musiałam przerwać robienie zakupów i zadzwonić, a potem nie chciało mi się wracać do domu. Musiałam przemyśleć sobie ten telefon. O, dzięki.

Harriet wręczyła jej kubek wypełniony szkarłatnym płynem i usiadła naprzeciw niej - obydwie siedziały więc tam, gdzie zawsze.

- Wszystko dobrze?

- Tak, dlaczego pytasz?

- Och, właściwie nie wiem. Może wyglądasz na trochę podminowaną, to wszystko. Byłaś ostatnio taka wesoła, nie lubię, kiedy stajesz się starą, przewrażliwioną Julią.

- Wesoła! Nie powiedziałabym, że byłam wesoła, nawet w najlepszym razie - roześmiała się Julia. - Nie, czuję się dobrze. Po prostu znalazłam się w dość niezwykłej sytuacji i muszę sobie z nią poradzić. Nie jestem pewna, czy znalazłam najlepszy sposób, aby to zrobić.

- Masz na myśli ciążę, tak?

- Nie, skąd, to nie to. Cięża jest czymś wspaniałym. Nie o tym chciałabym teraz mówić, jeśli pozwolisz.

- Jasne.

Harriet patrzyła, jak przyjaciółka sączy swoją Ribenę, i nie potrafiła stwierdzić, co się z Julią dzieje. Nadal wyglądała na zadowoloną, jej twarz rozświetlał blask przyszłego macierzyństwa, ale i jeszcze coś więcej. Zupełnie, jakby osiągnięcie upragnionego celu samo w sobie było czymś nadzwyczajnym; dystans, jaki ją dzielił od Harriet, wynikał z uczucia zaspokojenia i triumfu.

- Nie popadaj w taki samozachwyty, Julio.

- Co takiego?

- Nie jesteś jedyną kobietą na świecie, która zaszła w ciążę. Nie obraż się, ale to do ciebie nie pasuje. Powinnaś się cieszyć, że masz kogoś, kto może ci coś takiego powiedzieć. Tylko ja jestem w stanie to zrobić. Ponieważ znam cię tak dobrze i towarzyszę ci przez cały czas.

- O czym ty do cholery mówisz?

- Tyle przeszłaś, żeby tego dokonać, i zrobię wszystko, żeby cała ta ciąża i narodziny były jak najlepsze, a mój chrześniak stał się najbardziej udanym dzieciakiem, jaki się kiedykolwiek urodził. Oczywiście poza moimi dwoma, które Bóg wie jak zdołały wyrosnąć na najładniejsze i najbardziej urocze bachory, jakie znam. Pomimo wpływu tego konowała, ich ojca. Hiik! - Oj, przepraszam, cofam ostatnie

zdanie. No więc chodzi mi o to, że nie możesz teraz zadzierać nosa i odcinać się ode mnie tylko dlatego, że czujesz się straszliwie mądra. Zajście w ciążę jest jedną z najprostszych rzeczy na świecie. I chociaż nie było to dla ciebie takie łatwe, nie masz prawa tak się z tym obnosić. Możesz być szczęśliwa - tak. Rozpromieniona - w porządku. Ale nie zarozumiała i nadęta. A przynajmniej nie w mojej obecności. Julia gapiła się na nią. Nie wiadomo kiedy podczas tego przemówienia błysk samozachwyty znikł z jej oczu. Westchnęła. Oparła się na łokciach i powiedziała:

- Nie mogę się zdecydować, powiedzieć ci czy nie.

Kiedy Michał wkroczył do gabinetu doktora Northfielda, ten wstał zza biurka, uścisnął mu dłoń i posadził na jednym z dwóch krzeseł, sam zajmując miejsce po drugiej stronie. Michał bacznie wpatrywał się w twarz doktora, chcąc z jego twarzy wyczytać powód wizyty, ale zobaczył tylko przyjazny, choć tajemniczy uśmiech profesjonalisty. Rejestrując kątem oka abstrakcyjne grafiki wiszące na kremowych ścianach, czarny, zgrabny notebook stojący na pustym, białym biurku, lśniąca, niklowana aparaturę oraz niewielką ilość mebli, Michał poczuł się wyobcowany. Pokój ten przypominał co prawda zwykłe biuro, ale Michał przyzwyczał się, że w takim pomieszczeniu odgrywał zwykle inną rolę. Gdyby spotkanie miało dotyczyć ubezpieczeń, rent czy odszkodowania, uznałby tę atmosferę za właściwą i pomocną. Ale tym razem był pacjentem, a ściślej mówiąc, mężem pacjentki, co sprawiło, że wydał się sobie słaby i podatny na ciosy. Przyszłe szczęście jego i Julii całkowicie zależało od tego budynku i jego mieszkańców, a to z miejsca określało jego defensywną pozycję. Zdał sobie sprawę, o ile lepiej czuł się w gabinecie Hewletta - stare meble, wielkie, mahoniowe biurko i wyblakłe, wygodne fotele dawały poczucie bezpieczeństwa.

- Czy z nią wszystko w porządku? - zapytał siadając. - Tak, proszę pana - odparł Antoni z ulgą. Nie on musiał rozpocząć rozmowę. - Tak jak mówiłem, ona czuje się do-

brze. Sądzę, że to, z czym mamy do czynienia, jest problemem natury emocjonalnej. Pańska żona poddana została ciężkiej próbie - te wszystkie lata, przez które nie mogła zajść w ciążę, musiały być dla niej niezwykle wyczerpujące - domyślałam się, że były trudne dla państwa obojga. Zarówno profesor Hewlett, jak i my wszyscy tutaj wyjaśnialiśmy państwu, że przebieg leczenia sam w sobie może być dużym obciążeniem. Dość często spotykamy się z przypadkami, kiedy powoduje on niepokojące efekty, jeśli chodzi

o psychikę.

Michał zaczął się odprężyć. Przez tyle lat przyzwyczał się do humorów Julii, nawet tych ostatnich, ale nic dziwnego, że zmiany nastrojów mogły sprawiać wstrząsające wrażenie. Zrozumiał nagle, Julia mogła równie dobrze być opryskliwa, trudna lub nieuprzejma dla lekarzy albo pielęgniarek. Mogła wymagać więcej niż inne pacjentki. Chciał powiedzieć, że tak naprawdę te jej zachowania nic nie znaczą, i Julia, jak tylko zda sobie sprawę, że kogoś nimi uraziła, bardzo ich żałuje.

Doktor Northfield ciągnął jednak dalej:

- Jest coś, na co, jak sądzę, powinienem panu zwrócić uwagę. Nie jest mi łatwo rozmawiać o tym z panem, ale jestem przekonany, że muszę o tym powiedzieć. Obawiam się, że pańska żona przejawia pewien... jak by to określić... emocjonalny, a może lepiej - romantyczny pogląd na temat spraw, które mają się nijak do rzeczywistości.

Michał czytał kiedyś, że w pewnych sytuacjach włosy na głowie stają dęba, ale nigdy sam tego nie doświadczył. Teraz poczuł, jak każdy włos podnosi się i staje na baczność

1 trwa w tej pozycji przez cały moment ciszy, która zapadła po słowach doktora.

- Przepraszam, ale... nie bardzo rozumiem... - zaczął. Antoni odchrząknął. Wiedział, że rozmowa nie toczy się

w sposób, jaki sobie wcześniej zaplanował. Kiedy układał ją w głowie, była zdecydowanie krótsza, bardziej zwięzła, a przede wszystkim łatwiejsza niż ta, która teraz miała miejsce. Niepewność sprawiła, że zaczął się wahać. Dlaczego wszystko było takie trudne? Przecież przez całe popołudnie powtarzał sobie, że nie pierwszy raz spotyka się z emo-

cjonalnym problemem u pacjentki. Jednak tym razem, z nieznanych powodów, sytuacja wydawała się poważna i naprawdę groźna. Kontynuując wyjaśnienia starał się mówić pewnie, choć wcale pewny nie był.

- Nie jest to może nic nadzwyczajnego, proszę pana, i normalnie nie musiałbym może o tym mówić, ale pańska żona rozwinęła owo przekonanie niezwykle mocno. Chciałbym być całkowicie pewien, że pan mnie źle nie zrozumie. - Ale to głupio powiedział. Być może ten mężczyzna nigdy by tego „źle” nie zrozumiał, gdyby sam mu nie podsunął tego pomysłu.

- Nadal niezupełnie pana rozumiem.

- Pani Evans cierpi z powodu łagodnych urojeń, które bez wątpienia są następstwem nadwrażliwości emocjonalnej, jakiej poddawała się przez dłuższy czas.

- Tak? - Michała zaczął drażnić sposób, w jaki mówił lekarz: celowo omijający sedno sprawy.

- Mówiąc otwarcie, pańska żona jest przekonana, że żywię do niej szczególne przywiązanie.

- Naprawdę? No cóż, to chyba nic poważnego, prawda? Podejrzewam, że po prostu chciała...

- Nie, pan wybaczy, może nie wyraziłem się dość jasno... Zadzwoiła do mnie dziś po południu, muszę powiedzieć, że przez moment miałem na ten temat pewne obawy, ale nie sądziłem, że sprawa zaszła tak daleko. Wszystko musiało się jej pomylić, teraz rozumiem to bez wątpienia. Te wymyślone rzeczy, o których mówiła, wskazują, że jest w poważnym błędzie. Jestem w raczej dziwnej sytuacji, ale uważałem, że to ważne, abym z panem o tym porozmawiał. Pana żona jest przekonana, że przez kilka tygodni przesyłałem jej jakieś sygnały i że coś nas ze sobą łączy. Jak pan widzi, musiałem panu o tym otwarcie powiedzieć, zanim usłyszałby pan to z jej ust i wyciągnął jakiegokolwiek błędne wnioski.

Antoni prawie się uśmiechał, ukrywając wzburzenie pod płaszczkiem nonszalancji. Ty zarozumiały bydlaku - pomyślał Michał. - Ty zarozumiały, próżny, egoistyczny bydlaku. Martwisz się tylko o swoją skórę. To o to w tym wszystkim chodzi. Julia powiedziała coś głupiego przez telefon, ty to źle zrozumiałeś i te-

raz się boisz, że ona może powtórzyć twoje słowa mnie i możesz mieć kłopoty.

- Proszę się nie martwić, doktorze, rozumiem pana doskonale - powiedział spokojnie. Ale - pomyślał - chciałbym tylko wiedzieć, czy miałeś jakiś wpływ na tę całą sytuację. Może na przykład flirtowałeś sobie z moją żoną? Albo zachowywałeś się w sposób troszeczkę zbyt zażyły? A może jakiś zabieg był nieco za przyjemny? Przez moment oczyma wyobraźni Michał ujrzał Northfielda z łapą między nagimi, rozwartymi nogami Julii i odebrało mu dech w piersiach.

- Zapewniam pana, że nie dałem pańskiej żonie żadnych powodów, aby mogła tak sądzić, i że nie mam wobec niej żadnych planów z wyjątkiem zawodowych, oczywiście.

- Dlaczego, do cholery to powiedział, przecież nie było na ten temat żadnych sugestii? Znowu się uśmiechnął i dodał:

- Jeszcze raz podkreślam, że nie jest to rzadki przypadek. Ale pewnie zgodzi się pan z tym, co powiem: będzie lepiej, jeśli nie będę brał udziału w leczeniu pana żony ani z nią rozmawiał; nie jest to konieczne. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie...

- Co panu powiedziała?

- Kiedy?

- Przez telefon, mówił pan, że telefonowała po południu.

- Mówiła coś o skutkach, jakie według niej...

- Nie, proszę dokładnie. Chcę wiedzieć, co dokładnie panu powiedziała.

Antoni westchnął i spuścił wzrok na swoje ręce, które trzymał splecione na podołku. Z jego twarzy zniknął uśmiech; wyglądał teraz na znużonego i bardzo poważnego. Michałowi prawie zrobiło się go żal.

- Powiedziała, że zrozumiała wszystkie znaki, jakie jej przesyłałem, że czas przestać udawać. Że wie, co do niej czuję, ze sposobu, w jaki na nią patrzę i co mówię, i że ona czuje to samo. Że chce, abym przestał ukrywać, co do niej czuję. Miała zamiar przyjechać tutaj, by wspólnie porozmawiać o naszej przyszłości.

Po chwili milczenia Antoni podniósł głowę i spojrzał Michałowi w oczy. Nabrał głęboko powietrza i łagodnie dokończył:

- I tak dalej w tym samym stylu. Nie byłem w stanie jej zaprzeczyć. Nie mówiłbym panu o tym, gdybym się nie obawiał, że na tym nie koniec. Chyba może pan sobie wyobrazić, że wolałbym nie być zmuszony, aby o tym opowiadać.

Michał domyślał się, jak czerwoną ma twarz. Płonął z gniewu i upokorzenia, oraz powstrzymywania nieodpartej chęci, aby się rozplakać. Jedyna osoba, z którą mógłby omówić tak osobisty i kłopotliwy problem, była jednocześnie jego sprawcą. Nagle poczuł się przeraźliwie samotny. Od czasu, kiedy się przeprowadził do Londynu, jego kontakty z rodzicami były sporadyczne i w swojej powściągliwości prawie oficjalne - parę telefonów, wizyty na święta, listy - tak więc w takiej jak ta chwili nie miał się do kogo zwrócić.

- Dlaczego mi pan o tym mówi? Antoni odpowiedział natychmiast:

- Uważam, że powinien pan zabrać żonę do psychiatry. W takich sprawach lepiej jest działać zawczasu, a specjalista z pewnością będzie mógł...

- Jest pan pewien, że to konieczne? Poza wszystkim, ona jest bardzo wrażliwa i...

Antoni miał poważny wyraz twarzy, co nadawało mu wygląd starszego, niż w rzeczywistości był.

- Tak, jestem pewien, proszę pana. Całkowicie. Podam panu namiary na kogoś dobrego i bardzo pana proszę, aby wizyta odbyła się jak najszybciej. To sprawa najwyższej wagi.

Rozdział 17

Julia zapadła w gorączkowy sen, który bardziej przypominał stan półśpiączki. Obok niej leżało cicho sztywne i zimne ciało niemowlęcia. Od czasu do czasu koło domu przejechał jakiś samochód, oświetlając blaskiem reflektorów dwie ludzkie postaci, które sporadycznie rzuciły cień na suficie pokoju. Gdyby nie nędzne i brudne otoczenie, przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że ma przed sobą śpiącą matkę z dzieckiem; ci dwoje po prostu zapadli w sen, w objęciach nocy oczekując świtu, aby nadchodzący nowy dzień przyniósł im szczęście i zwykłą normalność. Pustka żołądków, bladeść skóry i samotność nie były widoczne dla nikogo na zewnątrz, ukryte pod pozorami spokojnego i krzepiącego snu.

Przestała nawet śnić. Umysł Julii pograżył się w stanie głębszym niż ten, który kreował jej wirujące myśli i halucynacje. Wyczerpane, głodne i spragnione ciało Harry'ego w naturalnym odruchu samoobrony uśpiło wszystkie swoje funkcje, oprócz oddychania i krążenia krwi.

Szelest wciąż było słychać - chyba tak. Julia wykonywała tylko prawie niedostrzegalne ruchy głową, ocierając się o tkaninę kołnierzyka. Ale czy poza jej własnym uchem, które nadawało mu sens i wyolbrzymiało w nieproporcjonalny sposób w hałas, w ogóle istniał?

* * *

- Widzisz, Hat, stało się coś naprawdę wspianiałego, próbuję tylko uporządkować myśli, zanim przystąpię do rze-

czy. W klinice jest pewien młody lekarz, który mi się podoba...

- Ach tak? Jakiś przystojniaczek, mogę się założyć. No i co dalej? Cała zamieniam się w słuch. Coś ci zaproponował czy co? Zanoszą się na jakiś wstrząsający skandal? No dawaj, opowiedz mi soczystą ploteczkę!

Ale Julia nie roześmiała się z tego w sposób, którego oczekiwała Harriet. Zdawało się, że jest myślami zupełnie gdzie indziej - jednym uchem słuchała paplaniny przyjaciółki, ale jej uwaga skupiona była do wewnątrz, jakby tylko jej własna interpretacja tego, co ją otaczało, była właściwa. Wyraz jej twarzy przypominał Harriet pewną znajomą, która w wieku lat czterdziestu jeden nawróciła się na wiarę w Jezusa; od tego czasu każda racjonalna i twórcza dyskusja, jaką się z nią prowadziło, w obliczu przerażających, niepodważalnych opinii nieuchronnie zamierała. Po prostu osoba ta nie dopuszczała możliwości istnienia innego punktu widzenia. To samo przytrafiało się jej innym koleżankom, które zajęły się tak zwanym duchowym rozwojem. Uważały się za pępki świata, reprezentując pogląd, że wszystko, co widzą, czytają i słyszą, ocenić można za pomocą tego małego i bezużytecznego fragmentu ludzkiego ciała. Słyszając ludzi opowiadających o tym, że „odnaleźli własną przestrzeń”, „czuli się dobrze we własnej skórze” czy też „odnaleźli w sobie pokój”, Harriet brała nogi za pas. Wiedziała, że takie „podróże wewnętrzne” niechybnie kończą się katastrofą, a potem ona, tak zwana „doświadczona” kobieta musi leczyć rany. Pierwszą taką znajomą była Laura, uzurpatorka uczuć jej męża. Oburzona patrzyła, jak jej ukochany daje się złapać na piękne słówka, choć tyle razy sam się z nich wyśmiewał. Omal go nie uderzyła, kiedy pewnego dnia wspomniał, jak to Laura dopieszcza w nim „wewnętrzne dziecko”, które w domyśle ona, Harriet, ignorowała. Próby wyjaśnienia, że była zajęta zaspokajaniem potrzeb swoich dzieci „zewnątrznych” - karmieniem, myciem i tym podobnymi rzeczami - nie przynosiły rezultatów, wywołując jedynie ten sam wyraz cierpliwego i pobłażliwego zrozumienia, który teraz widziała u Julii.

- Hej, Julio, nie traktuj mnie tak serio, ja żartuję! Co z tobą?

- On mnie kocha, Harriet.

Od niepamiętnych czasów Julia nie powiedziała do niej Harriet. Ten oficjalny ton podziałał jak kubeł zimnej wody.

- No cóż, to świetnie. Dobrze ci. To miło mieć kogoś. Ale chyba ci tego nie powiedział? Jestem pewna, że oni nie mogą. Te wszystkie związki lekarz - pacjentka, no wiesz, mogliby go wylać. Julio?

- Ty nic nie rozumiesz. On mnie naprawdę rozpaczliwie kocha. A ja jego. To dla mnie najważniejsza rzecz na świecie. Nadzwyczajne. Wiem o tym już od pewnego czasu, ale teraz nadszedł moment, aby coś zrobić. Chcę odejść od Michała, rzecz jasna, wtedy będę wolna dla Antoniego. To wszystko jest tak niezwykle wyjątkowe.

Jej łagodny, jasny uśmiech nagle uświadomił Harriet, nawet bardziej niż treść tych słów, że Julia mówi poważnie.

- Julio, co się z tobą dzieje? Popatrz na mnie! Przecież to niemożliwe! Co będzie z dzieckiem? Nie wierzę, że mówisz prawdę. Czeka was najcudowniejszy okres w życiu; będziecie mieć dziecko, którego zawsze pragnęliście. Michał cię uwielbia, i to zarówno ze względu na dziecko, jak siebie samą; wreszcie wychodzicie z kryzysu. Cokolwiek powiedział ci ten głupi doktorek, musisz o tym zapomnieć, i to natychmiast.

- Och, Harriet, cały czas nie rozumiesz - uśmiechnęła się Julia. - Tu nie chodzi o żaden wybór ani o to, czy podjąć decyzję zapominania o czymś lub nie. Od momentu, kiedy przyszedłam do kliniki po raz pierwszy, on cały czas do tego zmierzał. Nie chcę teraz czekać ani chwili dłużej. Muszę z nim być. Dopóki to się nie stanie, nie będę sobą, zrozum. Nie rób takiej miny, po prostu nigdy ci się coś takiego nie przytrafiło, to wszystko.

- Więcej się z nim nie spotykaj. O to mi chodzi, Julio. To bardzo ważne. Nie wolno ci więcej zobaczyć tego faceta. Nie musisz wracać do kliniki, po prostu aż do dnia porodu rób sobie badania u położnej. Trzymaj się stamtąd z daleka. Słyszysz? Nie wiem, co u diabła dzieje się w tej twojej łepetynie, ale to szaleństwo, przewrócisz wszystko do góry nogami.

Julia roześmiała się i położyła dłoń na rękę Harriet.

- Nie, nie, nie...

- Julio - ciągnęła Harriet. - O jedno cię błagam: nie mów o tym nikomu. W tej chwili twoje emocje uderzają ci do głowy. Ach, to całe hormonalne leczenie; przypomnij sobie tylko, jak się czułaś przed każdym okresem, piekło na ziemi. No cóż, teraz to się po prostu potęguje. To taka gorączka przedporodowa. Czy wiesz, co ty wygadujesz? Wiesz dobrze, że inni tego nie rozumieją, pakujesz się w bagno po uszy. Powiedz mi Julio, ale poważnie, co ci ten facet powiedział. Czy w ogóle coś mówił?

- Patrzył na mnie - uśmiechnęła się Julia.

Ach, więc tu jest pies pogrzebany - pomyślała Harriet i mówiła dalej:

- Czyli to wszystko jest wyłącznie twoją decyzją, tak? Nawet jeśli tkwi w tym ziarnko prawdy, wyolbrzymiasz sprawę, moja droga. Mówię ci.

Facet ci coś powiedział, a ty to źle rozumiałaś. - Harriet czuła, że mówi zbyt szybko, ale rozpaczliwie chciała dotrzeć do przyjaciółki, przedrzeć się przez ten mur samooszukiwania, który stał pomiędzy nimi jak niewidzialna ściana. - Wymyśliłaś sobie to wszystko, musisz to

zrozumieć, to pewne. Nie wiem dlaczego, ale może w twoim wieku, staruszek, mogło się zdarzyć coś takiego; neurony ci się poplątały czy co? Julio, popatrz na mnie, ty bujasz w obłokach. Co się z tobą dzieje?

- Co za idiotka ze mnie - odparła Julia. - Powinam była wiedzieć, że nie zrozumiesz. Jak ktoś porzucony przez męża mógłby w ogóle pojąć, że ten piękny facet tak bardzo mnie kocha? Rozumiem twoją zazdrość, Harriet, ale nie ma potrzeby, abyś mnie uważała za tak głupią, jak sama jesteś.

To powiedziawszy wstała od stołu i spokojnie opuściła mieszkanie.

* * *

W eleganckiej sali konferencyjnej hotelu Intercontinental stało w rzędzie osiemnaścioro dzieci, przebranych za kurczątko. Czekwały na dziennikarzy. Każde z nich trzymało w rękach tekturkę z dużą literą, które w sumie tworzyły napis CENTRE FARM CHICKENS. Andrea przyglądała im

się z pewnej odległości, krytycznie mrużąc oczy. W związku z różnicą we wzroście poszczególnych dzieci literki znajdowały się na przeróżnej wysokości. Andrea dyskutowała o tym ze swoją asystentką, Jennifer.

- To nie wygląda dobrze, prawda? Byłoby o wiele lepiej, gdyby wszystkie litery były na równej wysokości. Nie mogłaś dobrać wszystkich o tym samym wzroście?

- Powiedziałaś, że dzieci mają być w wieku od czterech do dwunastu lat, więc takie wybrałam. Myślałam, że chodzi ci

0 wiek. Gdybyś powiedziała, że o wzrost, nie byłoby sprawy.

- Cholera. No trudno. W takim razie niech się ustawią według wzrostu, tak będzie lepiej, nie sądzisz? Jak myślisz, czy słowa powinny wznosić się od lewej czy prawej? Co będzie lepsze?

- No cóż, kluczowym słowem jest „chicken”, prawda? Może więc powinno być najwyżej. Z drugiej strony klient może pomyśleć, że nazwa firmy jest mniej ważna od samego produktu. Może niech każdy koniec będzie wyżej, a środek niżej?

- Spróbuj. Ale szybko.

Jennifer klasnęła w dłonie i w najbardziej autorytatywny sposób, jaki mogła z siebie wykrzesać, krzyknęła do dzieci:

- A teraz słuchajcie, chcemy, abyście ustawiły się inaczej. Niższe dzieci w środku, a na końcach wyższe, tak, aby w środku powstał taki dołek, zrozumiano?

Jennifer nie umiała radzić sobie z nikim poniżej lat osiemnastu.

Zdezorientowane dzieci robiły wszystko, aby ustawić się w nowy sposób, ale szybko stało się jasne, że rozbrykana gromadka nie jest w stanie sprostać temu zadaniu.

Andrea niecierpliwie wkroczyła do akcji. Zaczęła przestawiać dzieci z miejsca na miejsce, szybko zamieniając litery, tak aby zachować ustalony porządek. Jednak łatwiej było o tym mówić niż robić. Wkrótce przyłapała dwoje lub troje na stawaniu na palcach, młodsze zaczęły się skarżyć i odmawiać mierzenia się.

Andrea z przerażeniem stwierdziła, że żadna równa linia nie istnieje, słów nie daje się odczytać, więc jeśli nie pozbiera się w miarę szybko, przybyłych dziennikarzy powita

tłum szwendających się bez celu kurczaków. Zaniechała więc swych wysiłków i zdecydowała się na prostsze rozwiązanie: wyższe dzieci od lewej, wyrazy obniżają się stopniowo w stronę prawej.

-Najwyższy do mnie - warknęła, żałując, że nie może dzieciaków przyspilić na stałe do podłogi. - Trzymaj „C” .

W ten sposób zdołała ustawić pięcioro i już miała się zabrać za szóste, kiedy kątem oka dostrzegła, że puchate skrzydełko wraz z literą „E” , zajmującą w rzędzie drugą pozycję, wystrzela w górę.

- Czy mógłbyś przez chwilę stać spokojnie! - zawołała. -Jest mi naprawdę trudno to wszystko zorganizować, kiedy tak się wierzicie.

Skrzydełko pozostało jednak w górze, a z ust jego właściciela dobył się niezrozumiały bełkot.

- Do jasnej cholery - wymamrotała pod nosem Andrea. - O co ci chodzi? Nic nie słyszę.

Podeszła do numeru drugiego, który trzymając swoje „E” jednym skrzydłem nadal nie opuszczał drugiego.

- Proszę pani - spomiędzy białego pierza odezwał się cienki głosik. - Chcę siusiu.

- Jennifer! - wrzasnęła Andrea - zabierz dzieciaka do damskiej toalety. Myślałam, że zrobiłaś to wcześniej.

- Zrobiłam - odparowała Jennifer. Podeszła bliżej energicznym krokiem, ubrana w granatową garsonkę i machając brązowym kucykiem wzięła dziecko za rękę. - Ale to ty mówiłaś, żeby je wszystkie dobrze napoić, aby potem nie było problemów jak ostatnim razem. Niektóre opiły się sokiem pomarańczowym jak bąki. Wiedziałam, że tak będzie. A teraz dzieci - powiedziała głośniejszym głosem do pozostałych kurczaków - mam pytanie. Czy jeszcze któreś z was chce iść do WC? To ostatnia okazja, teraz albo nigdy. Zostało nam bardzo mało czasu.

W powietrze wystrzeliło jeszcze sześć skrzydełek. Jennifer pośpiesznie wyprowadziła upierzoną gromadkę z sali konferencyjnej, a w tym czasie Andrea usiłowała doprowadzić do porządku całą resztę.

Toalety znajdowały się dwa piętra wyżej. Aby dzieci mogły z nich skorzystać, Jennifer zmuszona była wyplątać je

z kostiumów. Wszystko jednak miało swoje granice, nawet kompetencje Jennifer. Kiedy się okazało, że dwa kurczaki są chłopcami, prawie straciła nadzieję. Z trudem zdołała ubłagać oporną babcię klozetową, aby im pomogła, po czym wróciła do panienek, oczekujących w damskiej części tego przybytku. Zanim rozebrała i ponownie ubrała każdą z nich, cierpliwie zniosła opory dotyczące dokładnego umycia rąk mydłem i osuszenia ich w elektrycznej suszarce, minęło dwadzieścia minut. Gdy wreszcie wróciła na parter, zobaczyła na miejscu jakiegoś dziennikarza. Trzymając w jednej ręce lampkę wina, a w drugiej foldery, bez większego zainteresowania wpatrywał się w przypadkowo ustawiony rząd nastroszonych kurczaków, tworzący tajemniczy napis „CTR FAM CKENS”.

- O nie! - usłyszała zawiedziony głos jednego ze swoich ptaszków. - Już zaczęli! Nie zdążyliśmy!

Jakiś inny zaczął płakać. Jennifer przykucnęła przed siąkającą kulką poliestrowych piórek i szepnęła, że jeśli przestanie płakać i będzie dobrym kurczaczkiem, dostanie pod koniec torbę cukierków. Kiedy zadowolona z sukcesu, jaki odniosła, wstała, ujrzała elegancką blondynkę, która zmierzała w jej stronę po czerwonym dywanie.

- Dzień dobry - powitała ją Jennifer. - Pani do Centre Farm? Proszę wziąć ze stolika folder. Zaraz zaczynamy prezentację.

- Andrea? - zapytała z uśmiechem kobieta.

- Nie, ja jestem Jennifer. Andrea jest tam. - O ta, w niebieskim kostiumie. Na pewno będzie jej bardzo miło. Pani jest z...?

- To nie ma znaczenia. Poczekam, aż będzie wolna. Dziękuję pani.

* * *

- I dosłownie w chwili, kiedy już miałam zacząć prezentację wideo, ta zdzira podeszła do mnie i spokojnym głosem oznajmiła, że się kochacie i chcecie założyć rodzinę. Chyba rozumiesz, że nie takie rzeczy chciałabym usłyszeć podczas pierwszej promocji tak ogromnie ważnego klienta. Musiałam zostawić wszystko Jennifer - która ma tyle poję-

cia o prezentacjach, co komar - i wyprowadzić tę cholerną babę na korytarz. Byłabym wdzięczna, gdybyś w przyszłości trzymał swoje wariatki z dala ode mnie. Tak właśnie, o ile oczywiście ona jest wariatką. Muszę przyznać, że nie jestem tego taka pewna. Była niezwykle przekonująca.

Andrea nawet nie zdjęła płaszcza. Napadła Antoniego, jak tylko weszła do domu, z wściekłością zapierającą dech opowiadając mu o swoim zajściu z Julią.

Antoni był zszokowany. Wziął ją za rękę i odpowiedział:

- Chryste, Andy. To jakiś koszmar! Miałem nadzieję, że będzie z nią spokój. Opowiadałem ci o niej, pamiętasz? Pamiętasz, jak ci o niej mówiłem? Wiedziałem, że jest trochę dziwna, ale muszę przyznać, że nie przewidziałem takiego obrotu spraw. Zadzwoiła do mnie wczoraj i paplała jakieś niesamowite rzeczy.

- Dzwoniła do ciebie? Po co?

- Właśnie po to. By powiedzieć mi to samo, co tobie. -Odłożył „Evening Standard”, który wcześniej czytał, i usiadł w fotelu.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie było powodu. Wiesz dobrze, że mam wiele szalonych pacjentek, które...

- Być może, ale nie z wszystkimi szalenie się kochasz, chcesz się wiązać i pieprzyć - a może już się pieprzyłeś, kto wie? Tak, oczywiście, co ze mnie za idiotka, dlaczego biorę to wszystko za fantazje? Zrobiłeś to, prawda? Pieprzyłeś się z nią. Fajnie było, co?

- Andy, na litość boską, zamknij się. Nie bądź śmieszna. Bardzo mi przykro, że popsowała ci twoją prezentację, ale ona jest chora i nie możesz mnie za to obwiniać.

- A to dlaczego? Na pewno ją zachęcałeś, inaczej nie myślałaby w ten sposób. - Bzdura. Wiesz dobrze, że mnie to nie bawi. To wszystko jest jej własnym wymysłem.

- Skąd wobec tego wiedziała o mnie? Skąd wiedziała, gdzie mnie znaleźć? - Na Boga, pewnie musiałem coś o tobie wspomnieć, sam nie wiem, kiedy byłem w robocie czy coś takiego. Może powiedziałem coś o twojej pracy. Z łatwością mogła... ale posłuchaj,

Andy, zdarzały się wcześniej takie rzeczy, prawda? Śmialiśmy się z nich. Ta kobieta jest trochę bardziej walnięta, to wszystko. Musiałem nawet porozmawiać o tym z jej mężem.

- Musiałeś co?!

- No cóż, tak właśnie zrobiłem. Wygadywała takie bzdury, Andy. Nic, co mogłem zrobić, nie było w stanie jej od tego odwieść. To było naprawdę dziwne. Ja mówiłem wszystko, żeby ją zniechęcić, a ona spokojnie mnie wysłuchiwała, tak jak mówiłaś, a potem zasypywała mnie tymi bzdurami. Musiałem mu o tym powiedzieć. Spodziewałem się, że ona wróci do domu i wszystko mu powtórzy, a właściwie wiedziałem, że tak chce zrobić. Wiem, że chciała mu powtórzyć to wszystko i jak ja bym wtedy wyglądał? Ta kobieta wymaga leczenia.

- Boże, jakie to upokarzające! Za moimi plecami rozmawiałeś o jej zauroczeniu, obsesji czy jak to nazywasz. Och! Co za ohyda, skóra mi cierpnie! To wszystko dotyczy także mnie, wiesz dobrze. Ona jest niebezpieczna. Powinieneś był mi powiedzieć.

Antoni nagle się wystraszył. Nie dość, że musiał znieść całą tę śmieszna scenę przez telefon i coraz trudniej było mu nie nienawidzić kobiety, która mu ją zrobiła, to jeszcze trzeba mu było poradzić sobie z zazdrosnym mężem i niedowierzającą, oskarżającą go dziewczyną. To wszystko odbierało mu odwagę; jednocześnie czuł, że Andrea znajduje w tym coraz większą przyjemność. Korzystała z wiedzy na jego temat po to, aby zaczął ją błagać, prosić i skamleć. Jak to się działo, że w takich sytuacjach zawsze ona brała górę? Był człowiekiem nękanym przez inną kobietę; to powinno go było uczynić tym bardziej pożądanym. Chciał wykrzesać z siebie potrzebną siłę, ale zamiast zabrzmieć władczo, usłyszał, jak jęczy.

- No dobrze. Myśl sobie, co chcesz. Potrzebuję teraz twój wsparcia, dobrze o tym wiesz, ale jeśli chcesz walczyć, nie żałuj sobie.

W tym momencie zadzwonił telefon. Andrea poczuła ulgę. Miała wymówkę, aby wykonać jakiś ruch. Gdyby nie to, nie wiedziałaby, jak się wyplątać z tej niewygodnej sytuacji, której przecież nie miała zamiaru wywołać. Wracając do domu,

wyobrażała sobie, że będzie cierpliwym rozmówcą, na tyle mądrym, aby nedorzeczne twierdzenia blondynki potraktować z należytych lekceważeniem. Jednak podczas rozmowy z Antonim zawładnął ją gniew i bezpodstawa zazdrość; stało się to całkiem nieoczekiwanie. Zdawała sobie sprawę, że jej emocje cały czas rosły. Telefon zadzwonił w najodpowiedniejszym momencie. Dzięki niemu mogła uniknąć osłabienia i zakończenia kłótni na kanapie sceną wzruszającego przeproszenia. Daleko jej było do tego! Podchodząc do telefonu postanowiła, że pozostanie chłodna i opanowana.

- Halo?

- Halo, Andrea, ty nadal tutaj? Mówi Julia. Czy mogę mówić z Antonim? Andrea rzuciła słuchawkę na stół. Ta poleciała po białym, lśniącym blacie, ześlizgnęła się z jego krawędzi i zawisała na spiralnym przewodzie.

- Twoja kochanka - rzuciła do Antoniego. - Pieprzcie się.

* * *

Michał i Anna spacerowali po szarym osiedlu, w którym położone było jej mieszkanie. Anna miała przy sobie pager. Dostała go od policji, by w razie jakichś wieści można było się z nią skontaktować. Wyciągnęła go teraz po raz trzeci z kieszeni i sprawdziła, czy jest włączony.

- W porządku? - zapytał Michał, obejmując ją ramieniem i lekko ściskając.

- Tak. Włączony. Ale mimo wszystko nie potrafię się nie denerwować. Zawsze mi się zdaje, że zapomnę, że go mam, i zadzwonią do domu, a mnie tam nie będzie i co wtedy?

- Ależ oni wiedzą, że go masz. Przecież po to ci go dali. Obiecuję, że nie zostaniemy tutaj długo. Chciałem tylko na kilka minut wyrwać cię z domu. Obejdziemy blok dwa razy i wrócimy, dobrze?

- Tak, dobrze.

Michał rozejrzał się po bezbarwnej okolicy. Otaczała ich brudna, betonowa pustynia. Jedyne znakiem życia była grupa trzech chłopców, na oko dwunastoletnich, którzy stali w cieniu bloku, oparci o kolumny i wyzywająco przyglądali się Michałowi i Annie. Michał chciał się spytać, dlacze-

go nie są w szkole, ale szybko porzucił tę myśl. Anna opowiadała mu o gangach młodocianych, które włóczyły się po blokach. Były to dzieci dziesięcio-, a może dwunastoletnie. Parały się handlem narkotykami albo drobnymi rozbojami, straszyły starszych ludzi, barykadując ich we własnych domach, i utrudniały życie pozostałym mieszkańcom.

Przyglądał się tym chłopcom i jak zwykły był robić w takich sytuacjach, wyobraził sobie, że jeden z nich jest jego synem. Jakie chłopak miałby szanse, wzrastając tutaj? W jaki sposób Michał miałby go przekonać, aby chodził do szkoły, skoro bez względu na zdobyte kwalifikacje szanse znalezienia pracy były znikome? Co za życie wiedli ci chłopcy? Ich twarze nosiły ślady cynizmu i zmęczenia.

Przypomniał sobie, jak sam siedział w wygodnym fotelu w domu i czytał w gazecie o cztero- i pięciolatkach pochodzących z tak zwanego marginesu, które całe swoje życie godzinami oglądają telewizję i filmy na wideo. Kiedy pokazać im książkę, patrzą na nią ze zdumieniem, nie wiedząc, do czego służy.

Przypomniał też sobie, jak ojciec chciał go zainteresować książkami, które sam jako dziecko uwielbiał, takimi jak „Emil i detektywi”, albo „O czym szumią wierzby”. Wtedy Michał go wyśmiewał i z całą swoją ośmioletnią powagą określał je mianem nudnych i staroświeckich.

Ostatnio wspominał takie chwile z nostalgią, i gdyby mógł, wróciłby do nich. Chciałby usiąść ojcu na kolanach i poczytać o przygodach Emila albo Mola, widząc na jego twarzy uśmiech. Jak wiele rzeczy uważał za naturalne! Tych dzieci nikt nie będzie tak rozpieszczał; były potencjalnymi nieukami i wyrosną na takich samych nieszczęśliwych i ułomnych dorosłych, jakimi byli ich rodzice.

- Co za nieszczęście - powiedział na głos. Anna spojrzała na niego, a potem na chłopców.

- Chodzi ci o nich? Są w porządku. Zostaw ich w spokoju.

- Nie to miałem na myśli. Po prostu zrobiło się mi ich żal, to wszystko.

- Nie musisz ich żałować. Nie bądź taki opiekuńczy; oni są bardziej wytrzymali niż my oboje razem wzięci. Nie lituj się nad nami. Nie chcemy litości, bo ona nie pomaga.

Rozdział 18

Julio, musisz mnie wysłuchać. Próbuję być wyrozumiały, jestem wyrozumiały, ale tym razem posunęłaś się za daleko. Nie wolno ci więcej kontaktować się z Antonim North-fieldem. Nigdy więcej. Możemy jeszcze wszystko uratować, ale pod warunkiem, że przestaniesz wariować.

- Michał, ty nic nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że ja mogę teraz cokolwiek przestać; na to jest już za późno. Zbyt długo razem z Antonim zaprzeczaliśmy naszej miłości i...

- Zamknij się! Po prostu się zamknij! - Michał rzucił się do niej i silnie złapał za ramiona. - Nosisz w brzuchu mojego syna, ty przekłeta kobieto! Naszego syna! Nie masz teraz wyboru, czy tego nie rozumiesz?! Zbyt długo znosiłem twój egoizm; nie zrobisz mi tego, Julio, nie pozwolę ci na to. Zostaniesz tu tak długo, dopóki nie urodzi się dziecko. Potem rób sobie, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi. Ale nie odbierzesz mi mojego syna - słyszysz?!

- Trudno go tak naprawdę nazwać twoim synem, czyż nie? Jeśli to syn, to dobrze. Uwielbiam, jak twoje śmieszne męskie ego nie dopuszcza do siebie, że to może być córka. Bo chyba nie chodzi ci o to, w czym nigdy nie byłeś dobry, co? Może skorzystaliśmy z twojego nasienia, ale jeśli chodzi o technikę, muszę przyznać, że Antoni ma takie same prawa do ojcostwa jak ty. Co ty sobie myślisz, że bez niego kiedykolwiek zaszłabym w ciążę?

- O czym ty gadasz, do diabła, ty głupia idiotko? Posłuchaj mnie. Po prostu przez chwilę spokojnie mnie wysłuchaj. - Michał odsunął się od niej, ręce opadły mu wzdłuż ciała, kiedy oparł się o ścianę. Wziął głęboki oddech i po-

woli, cicho zaczął mówić od nowa: - Chciałbym, abyś przemyślała od początku, jak to wszystko się stało i co jest teraz. Jestem twoim mężem. Nie mogłaś zająć w ciążę. Udaliśmy się do profesora Hewletta, ponieważ potrzebowaliśmy pomocy. Zajął to dużo czasu i przeszłaś przez wiele emocjonalnych prób. Powiedzieli, że tak się może zdarzyć. W końcu zaszłaś w ciążę, ku naszej radości, jak może sobie przypominasz, i wszystko szło dobrze. A teraz wymyśliłaś sobie tę ślepą miłość do tego przyjemniaczka doktorka i pozwalasz, aby wszystko wymknęło ci się z rąk. Wszystko ci się pokręciło, bo byłaś zdenerwowana i...

- Naprawdę, Michale, nie bądź dziecinny. Nie musisz opowiadać mi tej całej historii, wiesz dobrze. Nie oszalałam. Nic nie zapomniałam. Jestem całkowicie świadoma tego, co się dzieje. Jestem też świadoma miłości Antoniego, którą starałam się przed tobą ukryć tak długo, jak się dało. Myślałam, że jeśli zostawię sprawy własnemu biegowi, wszystko z czasem się ułoży. Ale to nie było takie proste. Bardzo mi przykro, kochanie, naprawdę. To nie jest coś, co możemy zmienić, rozważyć. Sam widzisz. Tak po prostu jest i ja muszę iść do niego.

W łagodnym, nawet pełnym współczucia tonie, jakim to powiedziała, było coś, co ostatecznie przekonało Michała, że Julia całym sercem wierzy w to, co mówi. Niechętnie przyznał w duchu, że Antoni Northfield miał rację: nie da sobie sam z tym rady.

- Julio, chodźmy na chwilę do bawialni. Przysięgam, że nie będę próbował ci nic wyperswadować. Proszę cię tylko, abyś usiadła ze mną na chwilę.

- Oczywiście.

Przeszli do małej, przytulnej bawialni, w której jeszcze tak niedawno Julia powiedziała mu, że jest w ciąży. Od dnia, kiedy przysiadła u jego stóp i przyniosła mu tę wiadomość, za każdym razem, kiedy tu wchodził, robiło mu się przyjemnie. Nawet fotel wydawał się płonąć z dumy, że w tak doniosłym momencie zajmował uprzywilejowaną pozycję. Zdał sobie nagle sprawę, że już wtedy w jej duszy czaiła się zdrada; pielęgnowała ją, ale nic nie powiedziała. W świetle tego odkrycia pokój wydał mu się smutny, pusty

i nieprawdziwy. Choinka mamila go fałszywymi obietnicami szczęścia. Kiedy ostrożnie pomógł Julii zdjąć płaszcz, na widok zwodniczo płaskiego brzucha, z którego jeszcze kilka dni wcześniej był taki dumny, poczuł strach.

- Usiądź Julio. Proszę.

- Dobrze, ale nie próbuj odwozić mnie od mojej decyzji. Nie jesteś w stanie tego zrobić. Mogę iść, dokąd chcę. Mam prawo.

Wszystko, co mógł zrobić, to powstrzymać się, aby nią nie potrząsnąć. Zamknął na chwilę oczy i zacisnął z wysiłku pięści. Po chwili usiadł obok niej.

- Zrób dla mnie jedno. Porozmawiaj o tym z kimś jeszcze. Z kimś obiektywnym, kto nie będzie chciał, abyś postąpiła wbrew sobie, ale może będzie mógł ci coś poradzić. Proszę cię, Julio. Zrób dla mnie chociaż tyle.

- Masz na myśli psychiatrę? Nadal uważasz, że sobie to wszystko wyobraziłam, prawda?

- Nie... no cóż, właściwie tak, ale nie zaczynajmy od nowa. To nie o mnie tutaj chodzi. Po prostu chodźmy do profesjonalisty, który może coś nam wyjaśni.

Przeraził go chłód jej spojrzenia, ale nagle, ku jego zdziwieniu, uśmiechnęła się pogodnie i odparła:

- Dobrze. Jeśli tego chcesz.

Był późny wieczór tego samego dnia. Antoni wrócił do swojego domu na Maida Vale. Zostawił samochód na parkingu i skierował się w stronę frontowego wejścia. Był zziębnięty, zmęczony i odrobinę przygnębiony. Przez historię z Evansami jego życie straciło dawny blask: obawy, które skrywał w podświadomości, ujrzały światło dzienne. Chciały go dopaść - a właściwie już go dopadły. Obsesja tej kobiety zniszczy sukces, na który tak ciężko zapracował; i to wszystko z jego własnej winy. Gdyby chociaż potrafił odnieść się do tej sprawy z chłodnym, profesjonalnym opanowaniem, nie byłoby problemu. Nic przecież złego nie zrobił, to brak nerwów sprawił, że wszystko stało się takie groźne. Znów poczuł się jak niezdarny syn i najstarszy brat; bez względu na to, jak bardzo się starał, nigdy nie mógł nadażyć

za triumfami pozostałej części rodziny; triumfami, które przychodziły im z taką łatwością i w porównaniu z jego własnymi zmaganiem zupełnie bez wysiłku.

Jej mąż rozmawiał już z Hewlettem. Wprawdzie profesor podczas dwóch dyskusji, jakie odbył z Antonim, starał się dodawać mu otuchy, ale Antoni wiedział, że drażni starego i powoli, aczkolwiek irracjonalnie, traci w jego oczach. Tak zwany image był w klinice czymś najważniejszym. Hewlett nigdy nie unikał reklamy i lubił brać udział w programach, do których go czasami zapraszano, czy dotyczyły one „wymarzonego dziecka dla pary rodziców, którzy stracili nadzieję”, czy też „dramatu pięćdziesięciolatki, spodziewającej się bliźniaków”. Cieszyło go wszystko, co przyczyniało się do rozgłosu metody zapłodnienia in vitro, i za każdym razem szczęśliwy biegł do telewizyjnego studia albo dołączał do telefonicznej debaty na ten temat. Czasami w zastępstwie wysyłał Antoniego, zwłaszcza wtedy, gdy urok osobisty mógł pomóc przy sprawach tak delikatnych jak ciąża mnoga albo selektywne niszczenie embrionów. Jakakolwiek plama na honorze jego pracowników, nawet zupełnie niezasłużona, była niewłaściwa dla wizerunku kliniki, a tym samym dla całego interesu. Dlatego właśnie Antoni tak się niepokoił.

W poszukiwaniu kluczy wepchnął rękę do kieszeni. W zimnym, wieczornym powietrzu jego oddech zamieniał się w parę. W lewej ręce ciążyła mu teczka. W ciszy spokojnej uliczki usłyszał swoje własne, gniewne pomruki. Pociągnął nosem, z którego zaczynało mu już ciec z zimna. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia ani śladu ruchu po tamtej stronie, w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego twarzy szeroko otworzyły się drzwi. Przez ułamek sekundy nie był w stanie zrozumieć tego, co zobaczył, nie wierząc własnym oczom.

- Witaj, kochanie. Czekałam na ciebie. Wejdz.

Automatyczny odruch wejścia z zimnego powietrza do środka był wystarczająco silny, aby przewyciężyć niechęć, jaką czuł na samą myśl o zbliżeniu się do promiennie uśmiechniętej Julii Evans, która stała w drzwiach, jedną ręką je przytrzymując, a drugą wyciągając w zapraszającym geście.

- Jezu Chryste - jęknął, przeciskając się jak najbliżej ściany, aby przypadkiem jej nie dotknąć. - Jakim cudem, do jasnej cholery, tutaj weszłaś!? Gdzie jest Andrea? Co robisz w moim domu?! Nie zamykaj drzwi! Wynoś się stąd natychmiast! Czy możesz stąd wyjść?!

Ale było już za późno. Julia zatrzasnęła drzwi i odwróciła się twarzą do niego, triumfująca i zdeterminowana. Ruszyła w jego stronę, podczas gdy on cofał się w głąb krótkiego korytarza. Kiedy stanął w drzwiach salonu, zatrzymał się i ręką zatarasował wejście, żeby nie mogła przejść. Stała i cierpliwie patrzyła, co on zamierza zrobić. Jej włosy były starannie wyszczotkowane i lśniąca kaskadą otaczały umalowaną twarz. Niechętny wzrok Antoniego przykuły jej krwistoczerwone usta. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy z jakiegoś lejącego, cienkiego materiału. Pasek podkreślał smukłość jej talii i kobiecą krągłość piersi oraz bioder. Początek ciąży nadał jej wyraz dojrzałej zmysłowości; mimo złości Antoni automatycznie przyznał, że wygląda naprawdę pięknie.

- Andrea pozwoliła mi wejść. Nie wyglądała na zadowoloną. -
Roześmiała się. - Ale wyszła. Może powinieneś dać mi klucze, kochanie?
Ciekawe, dokąd poszła.

W salonie zadzwonił telefon. Antoni, ruszając do pokoju ryknął na nią, wiedząc, że nie postępuje dobrze.

- Pani Evans, proszę się wynosić z mojego domu! Jeśli natychmiast pani nie wyjdzie, wezwę policję! Halo?

Odwrócił od niej wzrok i marszcząc brwi słuchał głosu po drugiej stronie słuchawki, po czym spojrzał na nią ponownie.

- Tak... Tak, jest tutaj. Proszę ją stąd zabrać, inaczej... Kiedy to mówił, Julia weszła do pokoju i stanęła przy małym stoliku z telefonem.

- Kto to? - zapytała. - Czego chcą?

Antoni ją zignorował, odwracając się plecami.

- No nie wiem. Nie jestem pewien, czy mogę... dobrze. Jeśli tak, to w porządku.

Odwrócił się do niej i zamarł z przerażenia. Nogi się pod nim ugięły, a twarz stała się purpurowa. Julia rozwiązała płaszcz, który zsuwał się jej teraz z ramion. Antoni ze zgro-

zą ujrzał duże, pełne piersi, biały brzuch i ciemny trójkąt u jego podstawy. Mieszanina paniki i odrazy odebrała mu dech w piersiach.

- O nie! - wydusił. - Wynoś się! Załóż swój płaszcz i się wynoś! - ryknął w słuchawkę. - Pańska cholerna żona stoi tutaj na golasa! Niech pan lepiej coś z tym zrobi, dobrze panu radzę, bo wezwę policję!

Co ja wyprawiam? - pomyślał. - Muszę się uspokoić. Poradzę sobie.

Rzucił słuchawkę i odwrócił się do rozebranej kobiety, która stała sobie spokojnie, zupełnie nie wzruszona jego zachowaniem.

- Chodź kochanie - wymruczała, wyciągając do niego ręce. - Chodź, mój ukochany, nie psuj wszystkiego. Wiem wszystko, już ci mówiłam. I nie nazywaj mnie pani Evans, głuptasie. Nie musisz...

Antoni podniósł z podłogi płaszcz i zarzucił go jej na ramiona, starając się bez dotykania rękami skóry zakryć tyle, ile się dało. W tym samym czasie popychał ją nieubłaganie w stronę drzwi wejściowych.

- Zabieram cię do domu - mruknął. - Wsadzę w samochód i zawiozę do domu.

- Co tylko rozkażesz, kochanie. Nie ma pośpiechu. Cokolwiek powiesz.

* * *

Zielone drzwi wejściowe, obite mosiężną blachą, przypominały pierś starego wojaka obwieszoną orderami; zniszczony, walący się budynek wyróżniał się robiącą wrażenie liczbą członków Państwowego Kolegium Lekarzy, którzy przewijali się przez niego od lat. Obecność śmietanki medycznego świata stawała się jeszcze bardziej oczywista wewnątrz. Jeśli klinika leczenia bezpłodności ukrywała swoją prawdziwą tożsamość pod wesołymi fotografiami personelu oraz domowym umeblowaniem, to ta udawała miejski dom dziewiętnastowiecznej rodziny.

Pod ścianami poczekalni stały ciemne, mahoniowe regały na książki, podłogę pokrywał olbrzymi, ponury perski dywan, a z pomalowanego w intrygujące wzory sufitu zwi-

sał zakurzony żyrandol. Recepcjonistka także zdawała się pochodzić z poprzedniej epoki: zarówno długa spódnica, jak i kardigan oraz siwe loki wyglądały jak pokryte grubą warstwą kurzu, kiedy zaś założyła na nos okulary, ich szkła okazały się matowe i nieprzezroczyste. Michał pomyślał, że musi na co dzień przebywać w jakiejś wilgotnej skrzyni, z której wywołuje ją dźwięk dzwonka do drzwi; wychodzi wtedy, aby swoją stęchłą i smutną melancholią powitać pacjentów.

- O Boże, wyobraź sobie, że masz depresję albo coś w tym rodzaju - szepnął do Julii, kiedy zasiedli do nienormalnie wypolerowanego stołu na niewygodnych, prostych krzesłach w pustej poczekalni. - Powinienem się obawiać, czy cię tutaj nie wykończą.

Julia odpowiedziała mu tym samym uprzejmym, nieobecny uśmiechem, jaki pojawiał się na jej ustach od czasu, gdy zgodziła się na wycieczkę do psychiatrii.

Michał westchnął. Znowu mówił do niej po staremu, spodziewając się, że przytaknie mu ze śmiechem i powie, że udawała, a wszystko, co mówiła o Antonim Northfiel-dzie, było głupim żartem. Nachylił się i ze stosu gazet, które piętrzyły się przed nim, wyciągnął numer „Country Life”. Nie zdziwił go fakt, że pochodził sprzed półtora roku. Po przewertowaniu kilku stron rzucił go na stół i oparł się na krześle, kiwając się na nim do tyłu.

- Nie sprawiałoby różnicy, gdyby był aktualny - powiedział na głos.

Równie dobrze mógłby mówić sam do siebie, ale przedzierając się przez bezlitosne lekceważenie siedzącej obok żony chciał choć trochę przełamać ciężką atmosferę, przynajmniej pozorując normalną rozmowę.

- Dowcipy rysunkowe debiutantów, które teraz zamieszczają w prasie, są zbyt jednoznaczne. Szkoda, że nie mogę obejrzeć nowych numerów.

Byłoby fajnie. Oczywiście mam na myśli „Puncha”. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak wiele zależy od tych wszystkich mało śmiesznych dowcipów, które rozśmieszają go w poczekalniach, dopóki ich nie zabraknie. Nie wiem dlaczego, ale stare „Tatlersy” czy też „Horse and Hound” nie mają w sobie tego samego poczucia humoru, wiesz, co mam na myśli.

W drzwiach pojawiła się zakurzona postać, oznajmując obojętnym szeptem, że „doktor Field jest gotów państwa przyjąć”. Michał pomyślał, że ten głos idealnie pasuje do osoby, a kiedy poszli za nią na tyły budynku, wyobraził sobie, jak dziwne by było, gdyby wyjrzała zza drzwi i wesoło zawołała: „Hej wy tam! Możecie do niego iść, wy dwoje. Zaraz was rozweseli, no chodźcie!”

Doszli do chyba najmniejszej windy, jaką w życiu widział, zainstalowanej w miejscu, które z pewnością było wcześniej dawną klatką schodową. Postać otworzyła im ciężkie, podwójne żelazne drzwi i wpuściła ich do środka, mrużąc coś pod nosem. Michał nie dosłyszał.

- Słucham? - zapytał, ale w tym samym momencie drzwi zostały zatrzaśnięte.

- Proszę nacisnąć dwójkę - powtórzyła. Odwróciła się i zniknęła w mroku korytarza.

Na drugim piętrze Michał z trudem poradził sobie z drzwiami. Z podziwem wspomniał ukrytą siłę zakurzonej. Widocznie to zużywanie energii na obsługę windy rzutowało na jej mowę. Na podeście czekał na nich człowiek w pasiastych spodniach, cały ubrany na czarno. Ku uldze Michała, powitał ich ciepło i gromko.

- Na całym świecie nie znajdzie pan większej windy, prawda? Pacjentów podejrzanych o klaustrofobię muszę prosić, aby wchodzili po schodach - stwierdził wesoło.

Michał i Julia uśmiechnęli się uprzejmie i podążyli za siwowłosym profesorem do jego gabinetu, który okazał się niewiele mniej ponury niż parter, chociaż osobowość właściciela rozświetlała jego wnętrze.

- Usiądźcie, proszę - powiedział, wskazując im dwa krzesła, stojące przy biurku pod oknem. Sam zasiadł naprzeciwko, uśmiechając się życzliwie i po ojcowsku. Michał pomyślał, że wygląda dokładnie tak, jak miły, choć ekscentryczny profesor: łysiejący, z kępkami siwych włosów nad uszami, paradujący w obowiązkowo półokrągłych okularach, zza których zerkał roziskrzonymi, niebieskimi oczami.

Wyciągnął z nich całą historię. Michał z ulgą stwierdził, że Julia mówi spokojnie i zgodnie z prawdą. Jednak w momencie, kiedy zaczęła się opowieść o „wielkiej miłości”,

Michał zacisnął zęby, wszelkimi siłami powstrzymując się od krzyku wściekłości. Tak bardzo czuł się upokorzony i znieważony. Wyczuwając być może katusze Michała, profesor poprosił o rozmowę z Julią w cztery oczy. Wyjaśnił, że nie chodzi tu o żadne tajemnice, jakie mogłaby mieć przed mężem. Ważne było to, aby opowiedziała swoją wersję bez zakłopotania, jakie mogłaby czuć w jego obecności.

- Potem także z panem chciałbym porozmawiać sam na sam - rzekł. - Rozmowa na osobności będzie bardzo pomocna, z tych samych przyczyn, które podałem wcześniej.

- Tak, oczywiście - powiedział Michał wstając z krzesła.

- Mam poczekać na dole czy...

- Pozwoli pan, że panu pokażę. - Profesor Field wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je i wskazał drugi koniec korytarza. - Proszę poczekać tam. - Uśmiechnął się do niego.

- To nie potrwa długo.

* * *

Na widok Antoniego recepcjonistka uśmiechnęła się szeroko:

- Cześć, podrywaczu - powiedziała. - Czeka na ciebie cała kupa listów, a to przyszło dzisiaj z samego rana.

Wyciągnęła spod biurka wielki kosz czerwonych róż i ze znaczącym chrząknięciem przysunęła go w jego stronę.

- O Chryste - westchnął. - Nigdy więcej! I nie śmiej się z tego, Lauro. To nie jest śmieszne. Podaj mi listy, proszę. Muszę się ich pozbyć, zanim zobaczy je profesor.

Wręczyła mu kupkę sześciu czy siedmiu kopert, adresowanych tym samym charakterem pisma. Sięgnął po kwiaty. Uśmiechnęła się znowu.

- Głowa do góry; jak będzie miała dziecko, jej hormony się uspokoją i zapomni o tobie - powiedziała szeptem.

- Dziękuję bardzo - odpowiedział, niosąc niechciany podarunek w stronę schodów. - To zaledwie osiem miesięcy. Gdyby dzwoniła Andy, ani słowa o kwiatkach, dobrze? Ani o listach.

- Jasne. Przepraszam, Antoni, tak naprawdę wcale się z ciebie nie śmiejemy. Cała ta burza wkrótce ucichnie, zobaczysz.

- Według mnie pańska żona cierpi na tak zwany syndrom Clerambaulta, *psychose passionelle*. Zna pan francuski, jak sądzę...

- Tak.

Profesor Field spoglądał na Michała znad okularów. Tym razem jego wzrok był poważny, a wesołe iskierki zniknęły. Nawet błękit oczu wydawał się mniej niebieski, jakby zszarzały.

- Nie jest to tak rzadka przypadłość, jak mógłby pan sądzić - ciągnął. - Dość rzadko jednak spotyka się ją w tak ekstremalnej postaci. Różni się ona od tego, co potocznie nazywamy paranoją erotyczną, choć są pewne podobieństwa. Pacjenci z syndromem Clerambaulta - głównie kobiety - są przekonane, że mężczyzna, z którym miały krótki (lub żaden) kontakt, jest w nich zakochany. Ofiara - proszę wybaczyć mi to słowo - może być politykiem, aktorem teatralnym lub telewizyjnym, księdzem albo - przerwał na ułamek sekundy - lekarzem.

Mówił spokojnie, ale stanowczo. Autorytatywny ton wypowiedzi z jednej strony uspokajał, ale z drugiej - z powodu wagi omawianego problemu - przerażał.

Skryta nadzieja, jaką żywił Michał, że to wszystko jest jedynie żartem lub złym snem, teraz prysła.

- To dla pana bardzo trudne chwile. Po tej pierwszej wizycie mogę stwierdzić, że na obecny stan Julii, jej nerwowość i brak poczucia bezpieczeństwa nie pozostaje bez wpływu anoreksja, którą przechodziła wcześniej, o czym, jak sama powiedziała, pan wie. - Zdjął okulary i ostrożnie odłożył je na biurko, po czym przetarł twarz dłonią. Potem położył ją na książce pacjentów i przyglądał się swoim palcom. - U ludzi z tym typem psychozy takie uczucia są bardzo silne; sam pan wie najlepiej. Bez swojej wyimaginowanej miłości ona czuje się nic nie warta. Jeśli ofiara zaprzecza jej wersji zdarzeń, ona uważa to za paradoks i komunikację poprzez ukryte emocje. Innymi słowy ona po prostu wierzy, że on ją naprawdę kocha. Może być zmieszana, ale zdania nie zmienia.

- O mój Boże - powiedział cicho Michał. Złapał się za głowę i wbił wzrok w ziemię. - Dlaczego... dlaczego to się stało?

- Mogę pana zasypać domysłami na temat pochodzenia tej choroby, takimi jak uraz związany z leczeniem bezpłodności, osobowość, ale byłbym bliższy prawdy stwierdzając, że tak naprawdę nie wiemy. Nie mogę jednoznacznie stwierdzić, co było przyczyną, chociaż jej przejścia z dzieciństwa mogłyby wskazywać na przyszłe zaburzenia emocjonalne w wieku dojrzałym. Najważniejsze, jak z tego wybrnąć. Mam nadzieję i wierzę, że leczenie będzie owocne, ale muszę pana ostrzec, że zabierze trochę czasu. Obawiam się, że będzie pan musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Tak, rozumiem.

- Jestem przekonany, że nie mógł pan zrobić nic, aby temu zapobiec, proszę mi wierzyć. Przynajmniej w tej sprawie pragnę pana uspokoić.

- Rozumiem. Dziękuję doktorze.

- Mam zamiar rozpocząć leczenie tak szybko, jak to możliwe. Z powodu ciąży naturalnie wykluczyć należy pewne rodzaje leków, jakich normalnie bym użył. Wciąż jednak pozostaje całe mnóstwo takich, które w podobnych okolicznościach są całkowicie bezpieczne. Chciałbym także wziąć ją do szpitala.

- O nie, tylko nie to. Ona nie może. Ona...

- Dlaczego pan sądzi, że to jakiś problem?

- Po prostu ona nie pójdzie. Nie znosi szpitali. Rozmawialiśmy nawet o porodzie domowym z powodu jej lęków.

- W porządku, proszę pana. W tej sytuacji będę polegał na pańskich odczuciach. Poza tym to pan jest dla niej najbliższą osobą i wie o niej najwięcej. Zawsze najbardziej wierzę partnerom. Musimy zadbać o możliwie największy dla niej spokój, to najważniejsze. Zorganizujemy dla niej leczenie ambulatoryjne. Pan musi być tak wyrozumiały i tolerancyjny, jak się da. Jej zachowanie jest podyktowane chorobą. Nie dotyczy pana ani tego, co ona do pana czuje. Musi pan o tym pamiętać.

- Dobrze. Dziękuję panu bardzo.

Rozdział 19

Julia rozpoczęła codzienne wizyty na Wimpole. Ku uldze Michała bez protestów ani przejawów widocznej niechęci zaakceptowała leczenie. Tematu Antoniego lepiej było nie podejmować. Każde jego wspomnienie tak go przygnębiało, iż lepiej było utrzymywać życie na poziomie względnie realnym, przechodząc nad emocjami, które czaiły się tuż pod powierzchnią, do porządku dziennego. Bożego Narodzenia nie obchodzili. Michał cieszył się z końca świąt; z przyjemnością myślał o chwili, w której będzie mógł wyrzucić ubraną choinkę. Jej wiszące, obeschnięte gałęzie, na których ciągle wisały sztuczne dowody wesołej zabawy, zdawały się z niego szydzić, dlatego znajdował przyjemność w ich niszczeniu. Zgodnie z radą profesora Fieldsa Julia zrezygnowała z pracy. Wskutek tej decyzji do Michała dzwonili jej współczujący współpracownicy, zapewniając go, że pani Evans, jako cenna pracownica, będzie mile widziana z powrotem, jak tylko upora się z domowymi problemami.

Na początku Michał wziął urlop i siedział w domu. Julia wydawała się spokojna i pogodzona z leczeniem, więc po jakimś czasie zaczął codziennie chodzić na kilka godzin do biura, chcąc przywrócić przez to im życiu choć odrobinę normalności. Wiedział też, że skoro wszystko już się skończyło, nieopuszczanie pracy było czymś bardzo istotnym. Kiedy wracał z biura, mimo widocznej akceptacji nowego porządku dnia przez Julię, zawsze miał niejasne uczucie niepokoju. Obawiał się, czy zastanie Julię w domu. Jeśli jej

nie było, przez godzinę lub dwie czekał w strachu na telefon albo dzwonek do drzwi, przynoszący upokarzające, żenujące wieści. Zawsze wracała bez słowa wyjaśnienia, prowokując Michała, aby to on zadawał pytania. Nigdy tego nie robił. Bał się usłyszeć, że przez całe popołudnie siedziała w swoim samochodzie pod kliniką na Weymouth albo jechała za Antonim do domu.

Po kilku tygodniach względnego spokoju Michałowi prawie wróciła nadzieja. Widział, że z czasem Julia staje się dawną sobą. Pewnego wieczoru zaryzykował i kupił jej bukiet kwiatów; drobny gest, który jeszcze przed Antonim i całą emocjonalną burzą był częstym elementem ich małżeńskiego pożycia.

Dotarł do domu około siódmej trzydzieści. W ręku niósł teczkę, a pod pachą trzymał szeleszczący pęk zapakowanych chryzantem. Gdy tylko otworzył wolną ręką drzwi, od razu wiedział, że coś jest nie w porządku. Z góry dobiegł go dziwny dźwięk, niepokojąco znajomy, choć od dawna już go nie słyszał. Po kilku sekundach stwierdził, że to płacz, właściwie nie płacz, lecz szloch, rozpaczliwe łkanie, tak przenikliwe, że Michał cały zadrżał. Rzucił teczkę oraz bukiet, który okazał się żałośnie nie na miejscu, i pędem pobiegł na górę, do sypialni. Na brzegu łóżka siedziała drżąca postać - Julia - z twarzą ukrytą w dłoniach i zgarbionymi plecami. - Julio, Julio, kochanie, co się stało?

Przykucnął obok łóżka i objął ją ramionami. Spojrzała na niego. Drgnął na widok jej czerwonej, opuchniętej twarzy, wykrzywionych brzydko ust, łez zmieszanych ze śluzem i śliną, od których błyszczała jej skóra.

Chlipała bezwiednie, cała się trzęsąc, a jej głowa drgała to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciała powstrzymać łkanie. Próbowwała mu odpowiedzieć, ale Michał nie mógł nic zrozumieć. Obawiał się, że usłyszy o jakimś kolejnym, wyimaginowanym znaku od Antoniego, który udaremnił jej obsesyjne plany. Przytłoczony ogromem jej smutku nie przerywał zadawania pytań, czując, jak nieuchronnie nadchodzi chwila jego kolejnego upokorzenia.

- Co? Co kochanie? - nalegał. - Co takiego? Co mi chcesz powiedzieć? O co chodzi?

Julia zachłysnęła się przeciągle powietrzem, a ściągną na jej szyi napięły się brzydko. Potem łkając wykrztusiła:

- O-o-on od-od-od-szedł...

- Co to znaczy „odszedł”?

- N-n-n-nie m-m-ma go tutaj - wydusiła.

Wbrew sobie przez ułamek sekundy Michał poczuł cień ulgi; po raz pierwszy w jego podświadomości pojawiła się myśl, że być może jego mimowolny rywal zniknął.

- Gdzie? Gdzie odszedł?

- Co?! - Wrzasnęła na niego z taką siłą, że instynktownie się odsunął. - Gdzie odszedł?! Jak możesz tak pytać?! Jak możesz być tak okrutny?! Skąd mam wiedzieć, dokąd odszedł? Nigdzie. Po prostu tam go już nie ma. Nie ma.

- Julio, błagam, to, co mówisz, nie ma żadnego sensu. Powiedz mi tak spokojnie, jak możesz, co się stało, a ja spróbuję ci pomóc.

Ona jednak odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach, płacząc tak żałośnie, że Michał znowu ją przytulił, przyciskając ją do swej piersi i głaszcząc po zmatowiałych włosach. Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Jej trzęsące się ciało z wolna zaczęło się uspokajać, a płacz stopniowo cichł. Michał wciąż gładził ją po głowie, ale w tym samym czasie uświadomił sobie, że oprócz kobiety w jego ramionach martwi go coś jeszcze.

Przyjrzał się swemu wnętrzu. Zaświtała mu nieuchronna myśl, tak bolesna, że natychmiast zapragnął o niej zapomnieć. Ale było już za późno. Strach ogarnął go lodowatą falą, od której każda cząstka jego ciała zaczęła drżeć, aż cały mózg przeppełniła groza. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Odsunął Julię od siebie i patrząc na nią, zapytał:

- Julio, kto odszedł? - Ze strachu kulił się w sobie, modląc się, aby to, co mu przyszło do głowy, nie było prawdą.

- Co? - wyszeptała. - Jak to kto? Dziecko, oczywiście. Moje dziecko.

Puścił ją z objęć, odchylił głowę do tyłu i coś zaczęło w nim wyć z bólu.

Wyszeptał umęczonym głosem:

- Boże drogi, nie, proszę, nie.

- Jestem pusta, Michale. Nosiałam w sobie życie, ale teraz go tam nie ma. -

Przestała się już trząść, ale jej głos nadal drżał z żalu. - Bicie serca, słyszałam je. Biło dla mnie,

a teraz przestało. On odszedł. Życie, które tu wzrastało, które było częścią mnie samej, było tam, w środku, a teraz nic tam nie ma. Nic nie rozumiem, było i skończyło się. Po prostu kawałek mięsa, Michale, był czerwoną galaretką. Boże, co ja teraz pocznę? Czerwona galaretka, wyslizgująca się spomiędzy moich nóg, nie wytrzymam tego. Włóż je tam z powrotem! Chcę je z powrotem! Nie odbierajcie mi go! Chcę moje dziecko! Boże, proszę, proszę! Boże, proszę, spraw, abym dostała je z powrotem!

- Och, kochanie, moje biedactwo, kochanie... - Michał przycisnął ją nagle do siebie, tak mocno, jak tylko mógł. Ogarnął go taki smutek i żal, że tulił ją z całej siły.

- Chcę moje dziecko, Michale, chcę moje dziecko, och, proszę! - szeptała przez łzy. - Proszę, och, proszę!

Nie potrafił się powstrzymać. Tuląc ją do siebie, z głową przy jej głowie zaczął rozpaczliwie, niepowstrzymanie szlochać. Mały pokój wypełniło wstrząsające, chrapliwe łkanie.

* * *

W zimnym, ciemnym pokoju na Streatham, w umyśle na wpół śpiącej na podłodze kobiety zapadła ostateczna decyzja. Być może po raz pierwszy od wielu tygodni zobaczyła sytuację z taką jasnością, że postanowienie było nieuniknione. Antoni nie przyszedł. Teraz to wiedziała, zrozumiała. To oczywiste. Nie mogła pojąć, dlaczego wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Szok spowodowany tą świadomością sprawił, że wróciła jej pełna przytomność. Wrodzony pragmatyzm i żal, że tak długo sama się oszukiwała, wykrzesaly z niej siłę, dzięki której mogła sięgnąć do leżącej obok torby. Wyjęła z niej butelkę chlorpromazyny.

Mimo zabezpieczenia z łatwością ją otworzyła. W ciszy rozległo się kliknięcie. Zaczęła napemniać usta małutkimi tabletkami i obejrzała się na drobne ciało, leżące obok.

- Biedne dziecko - wyszeptała. - Biedne dziecko. Gdzie jest twoja mamusia? Tak mi przykro.

* * *

Szok spowodowany utratą dziecka był na tyle silny, że zdołał przywrócić Julię do racjonalnego stanu, który we-

dług Michała był początkiem drogi do normalności. Nadal chodziła na wizyty do profesora Fielda i stosowała chlor-promazyne. Michał z zadowoleniem stwierdził, że obecna terapia jest skierowana w większości na prawdziwą stratę ukochanego dziecka niż wymyśloną miłość młodego lekarza.

Z powodu dziecka cierpiał bardziej, niż mógł kiedykolwiek sądzić.

Chociaż na zewnątrz wszystko wskazywało na to, że ich życie osiągnęło pewną stabilność, poczucie czegoś, czy raczej kogoś utraconego wisiało nad nimi jak chmura gradowa. Trochę o tym rozmawiali, ale prawdziwy smutek ukrywali przed sobą nawzajem z obawy, że zwierzenie się z niego nada sprawie jeszcze większą realność.

W tydzień po poronieniu Michał zadzwonił do pani Palmer. Zdziwił go przyływ sympatii, jaki poczuł do tej kobiety. Do czasu, kiedy usłyszał jej reakcję, nie zdawał sobie sprawy, jak wiele znaczyło dla niej być potencjalną babcią. Zawiadomił też Harriet, aby w razie kontaktu z Julią wiedziała, co się stało.

Julia nadal nie pracowała i poza wizytami u profesora Fielda większość czasu spędzała przed telewizorem albo krzątając się po domu. Michał pragnął mieć cichą nadzieję, że Antoni zniknął już z ich życia, ale wciąż zdarzały się dni, w które bez wyjaśnienia wychodziła z domu na kilka godzin, zostawiając go z głową pełną domysłów.

- Wiesz, że cię kocham - powiedział po jej powrocie pewnego dnia. - Nie będę pytał, gdzie byłaś, mam tylko nadzieję, że wiesz, że jestem tutaj, jak zawsze. Nie mogę zapomnieć o dziecku, i nawet nie chcę, ale wierzę, że może być jak dawniej, jeśli tylko będziemy cierpliwi i okażemy sobie nawzajem trochę więcej uczucia. I jeśli może trochę więcej będziemy ze sobą rozmawiać.

Stali w przedpokoju, do którego się udał, słysząc dźwięk klucza w zamku. Powoli zdjęła płaszcz i odwiązała apaszkę, przewieszając je sobie przez ramię. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Myślisz, że możemy znowu zacząć? - zapytała cicho.

- Tak, o tym właśnie mówię. Myślę, że możemy. Myślę, że...

- Nie, nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, czy możemy zacząć jeszcze raz. Z zapłodnieniem in vitro?

Michał gwałtownie odwrócił głowę, aby ukryć przed nią swą reakcję. W lustrze, które wisiało na ścianie, zobaczył wtedy swoje odbicie. Twarz, która na niego spoglądała - jak zwykle, gdy nieoczekiwanie przyszło mu siebie widzieć - była starsza i bardziej zmęczona niż ta, którą sobie co dzień wyobrażał. Lecz tym razem wyraz widocznego zdziwienia, połączony z czymś, co mogło być zarówno paniką, jak i nadzieją, sprawił, że naiwność zmiękczyła twardość rysów, tak że w sumie wyglądał prawie komicznie.

Przez chwilę uśmiechał się do siebie, po czym potarł twarz dłonią i wszedł do bawialni. Julia, przewiesiwszy płaszcz i szalik przez poręcz, podążyła za nim.

- Mówisz poważnie, Julio? - powiedział bardzo cicho, stojąc tyłem do niej. - Jeśli nie, nie mów tego więcej. Jeśli nie, nie byłbym w stanie przejść jeszcze raz przez to wszystko, nie zniósłbym tego.

- Oczywiście, że mówię poważnie.

Zapałł się w fotelu, oparł się i wziął głęboki oddech. Julia przycupnęła na podłodze u jego stóp i oparła się skrzyżowanymi rękami na jego kolanach. Ułożyła na nich głowę, tak że nie widział nic oprócz czubka jej głowy. Przedziałek w jej jasnych włosach był różowy, nagi i niewinny. W ciszy przejechał po nim palcem. Nic nie mówił, aby nie popsuć tej jakże kruchej chwili bliskości, jakiej od tak dawna żadne z nich nie doświadczyło.

- Uważam, że na to za wcześnie - szepnął w końcu. - Jeśli jednak jesteś gotowa i dobrze się czujesz, a czas jest odpowiedni, wówczas tak, spróbujmy jeszcze raz. Ale Julio - powiedział to tak poważnie, że uniosła głowę - nie wrócisz do kliniki. Do tej kliniki. Nigdzie w pobliże tego faceta. Nie wiem, co jeszcze czujesz... - Julia chciała coś powiedzieć, ale on nie pozwolił jej na to, głośno mówiąc dalej -... i nie chcę wiedzieć. Jeśli więc spróbujemy jeszcze raz, ma to być gdzie indziej i ktoś inny. Rozumiesz?

- Muszę tam pójść i z nimi porozmawiać.

- Co masz na myśli?

- No cóż, muszę zabrać kartę - spotkać się z profesorem Hewlettem - i powiedzieć im, co się stało. Nie mogę tak po prostu się wypisać, czy jak to sobie nazywasz. Zamierzam tam wrócić i załatwić wszystkie sprawy do końca. Wiesz o tym.

-Nie. -Co?

- Nie ufam ci. Nie, nie o to mi chodzi. Nie ufam twojej chorobie, czy temu czemuś, co cię odmieniło. Musi być jakiś sposób, aby wydobyć twoją kartę i znaleźć nową klinikę. Zajmują się tym chyba w szpitalu Hammersmitha, prawda? Mówili coś o niej, pamiętasz?

- Mhmm.

- Wszystko jedno, jest jeszcze za wcześnie. Przyjdzie czas, a znajdziemy sposób, nic się nie martw. Rób tylko to, o co cię proszę, Julio. Inaczej wszystko straci sens.

* * *

- Czy może pani pokroić mi ją bardzo cieniuteńko? I odciąć tłuszcz, zanim pani zacznie. Jest zbyt tłusta.

Pani Palmer lubiła kupować jedzenie w Selfridges Food Hall. Nigdy nie myślała, żeby kupować tam coś jeszcze; ubrania i sprzęty gospodarstwa domowego były niezmiennie nabywane u Harrodsa albo w jednym z elegantszych butików na ulicy Sloane. Odkąd jednak po raz pierwszy wpadła do tego dużego sklepu na Oxford (a było to po wizycie u optyka na Wigmore, wiele lat temu), zawsze robiła tu zakupy. Będąc kobietą tradycyjną, kontynuowała ten zwyczaj, ilekroć nie mogła czegoś kupić w pobliskich małych sklepikach spożywczych.

Młoda dziewczyna, która ją obsługiwała, nic sobie nie robiła z wielkopańskich rozkazów pani Palmer.

-Nie mogę odciąć tłuszczu. Muszę pokroić to tak, jak jest - stwierdziła. Obdarzyła klientkę promiennym spojrzeniem i trzymając w ręce dużą włoską szynkę, bez zakłopotania czekała na dalsze instrukcje.

- Na litość boską, dziewczyno, nie mogę przecież zaserwować moim gościom takiego tłuszczu! Odetnij go. Ten kawałek z góry odetnij, zanim ją pokroisz - rozkazała pani

Palmer, przechylając się nad ladą i machając w stronę szynki dłonią w rękawiczce.

Dziewczyna odsunęła się do tyłu, aby uniknąć jakiegokolwiek kontaktu białej, lśniącej skórki szynki, wyglądającej na niebezpiecznie smakowitą, z czarną skórą rękawiczki.

- Nie wydaje ci się poza tym, że jest trochę wyschnięta i ciemna? Popatrz, tamta druga wygląda na wiele świeższą! Pokrój mi tamtej.

Rękawiczka wskazała na drugą szynkę. Leżała za ladą, bezpiecznie owinięta w folię.

- Przykro mi, proszę pani, ale nie mogę napocząć nowej - odpowiedziało dziewczę, nieugięte broniąc swojej szynki.

- A czemu? Gdzie jest pan Albert?

- Dzisiaj nie przyjdzie.

Pani Palmer głośno westchnęła i zirytowana pokiwała głową.

- No cóż, w takim razie wezmę tę. Ale chcę uciętą, ma za dużo tłuszczu.

Wyrzucić także te pierwsze plasterki, są stanowczo zbyt wyschnięte.

Sprzedawczyni odwróciła się w stronę kralajnicy. Pani Palmer zobaczyła jej dumnie uniesioną, ubraną w biały czepek głowę i pomyślała sobie, że wszystkie te nowe fartuchy i obostrzenia dotyczące higieny nie są w stanie zapewnić dobrej obsługi, jaka to bywała za dawnych lat. Wtedy właśnie usłyszała, że ktoś wymawia jej nazwisko. Odwróciła się i ujrzała Harriet Aynsley, która szła do niej z działu z pieczywem, ciągnąc za rękę dwoje dzieci.

- Dzień dobry pani Palmer! Jestem Harriet. Przyjaciółka Julii.

- A tak, poznaję. Co u ciebie? Miło cię widzieć. A to są...?

- To jest Jessica, a to Adam. Dzieci, pamiętacie mamę Julii? Panią Palmer?

Dzieci wymamrotały jakieś ledwie słyszalne powitanie do pani Palmer, która równie wymijająco na nie odpowiedziała. Zauważyła wymięty płaszcz Harriet oraz pofałdowane skarpety dzieci i ich potargane włosy, przypominając sobie, jak była ostrożna, jeśli chodzi o przyjaźń tej kobiety z jej córką. Jeszcze kiedy chodziły do szkoły, uwa-

żała Harriet za nieodpowiednie towarzystwo, ale nie chcąc, aby na przekór Julia zacieśniła te więzy, nie okazywała jej tego. Jednocześnie dość wyraźnie dawała do zrozumienia, że jej nie aprobuje. Kiedy dziewczynki dorosły, była rozczarowana, widząc, że ich przyjaźń ma dalszy ciąg. Zastanawiała się, czy nie powinna być niegdyś bardziej stanowcza.

- Tak mi przykro z powodu dziecka - powiedziała Harriet. Adam oplótł się właśnie wokół jej nóg i jak sowa pohukiwał na siostrę.

- Tak, to smutne, nieprawdaż? Popatrz, czy nie uważasz, że ta szynka jest przeraźliwie ciemna i tłusta? Nie sądzisz, że powinnam kazać im otworzyć drugą? Jutro wydaję kolację. Nieczęsto ją podaję, ale...

- Nie, myślę, że wygląda dobrze. - Harriet rzuciła okiem na krajalnicę, gdzie cieniuteńkie plasterki prosciutto delikatnie, jeden po drugim łądowały na pergaminie. - Ona ma być taka. Wygląda dobrze. Chce ją pani podać z melonem?

Dziewczyna krojąca mięso przesłała nowo przybyłej nieme podziękowanie i kroiała dalej.

- Och, jaki dobry pomysł! Tak, tak ją właśnie podają, prawda? Tak, chyba tak zrobię.

Nieoczekiwanie Harriet poczuła się tą odpowiedzią wzruszona. Starsza pani w futrze (które kiedyś musiało być ostatnim krzykiem mody, a dzisiaj nie tylko wyglądało na staromodne, ale i nieekologiczne) wydała się jej nagle taka krucha, że Harriet podświadomie zmieniła zdanie na jej temat. Jak trudne musiało być nadażanie za wciąż zmieniającym się światem, w którym coś, co jedno pokolenie uważało za dobre, dla następnego stawało się oburzające. Harriet pomyślała o swojej matce, która latami uczyła się mówienia na czarnych „kolorowi” tylko po to, aby się dowiedzieć, że i to słowo nie jest właściwe, a jej język niepoprawny i atakujący. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych wydawanie kolacji musiało być dla tych kobiet proste - ograniczone menu, potrawy kupione i przyrządzone przez cudowną służącą; stół zawsze wyglądał tak samo i nie zmieniał się latami, goście byli przewidywalni i zadowole-

ni. Jak Cynthia Palmer dawała sobie radę w dzisiejszym świecie supermarketów, zagranicznego jedzenia i samoobsługi?

- Nie napiłaby się pani kawy? Marzę o filiżance. A jeśli nie dam dzieciom czegoś do picia i nie zaprowadzę ich do toalety, doprowadzą mnie do szału.

Pani Palmer spojrzała na Harriet z wdzięcznością, która wszakże szybko ustąpiła miejsca zwykłemu wyrazowi wyższości.

- Wspaniały pomysł. Dlaczego by nie? Chodźmy się napić kawy.

* * *

Kiedy Michał i Anna weszli do mieszkania, rozległ się dźwięk telefonu. Nieoczekiwanie w jego umyśle pojawił się przebłysk tego, co się zaraz stanie. Krzyknął. Był tutaj wcześniej. Wiedział, co się ma zdarzyć, i widział samego siebie, jak wchodzi w tę sytuację. Jakby postępował według ustalonego scenariusza tego, co nieuniknione.

- Biegnij, Anno, szybko, odbierz go. Coś znaleźli. Wiem to.

Patrzył, jak uważnie słuchała głosu po drugiej stronie słuchawki, z jej oczu i zmarszczonych brwi starając się potwierdzić informację, której był tak pewien.

- Tak - powiedziała - dobrze, rozumiem. O Boże, czy... W porządku. Jest tutaj... Proszę poczekać, już mu oddaję słuchawkę... Nie, chcę, żeby pan z nim porozmawiał.

Gwałtownie podała mu słuchawkę.

- Michał, porozmawiaj z nimi... Nie wytrzymam tego.

- Co się stało?

Potrząsnęła głową i przysunęła słuchawkę jeszcze bliżej jego twarzy.

Kiedy ją wziął do ręki, poczuł taki przyływ radości, że omal nie wybuchnął śmiechem. Skąd się wzięło to pasjonujące uczucie oczekiwania? Z jakiej racji miałby przeczuwać, że wydarzy się coś wspaniałego? To było niebezpieczne, wiedział to od chwili, kiedy dał się temu ponieść. I uśmiechnął się do telefonu z radością jednocześnie przerażającego oczekiwania.

- Mówi Evans, słucham?

- Proszę pana. Mamy niezbite dowody, że znaleźliśmy miejsce, gdzie przebywa pańska żona wraz z tym dzieckiem. Pomyślałem, że dobrze będzie, jak panu o tym powiem. Ekipa jest już w drodze i...

- Gdzie? Gdzie oni są? Już jadę. W tej chwili.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, proszę pana. Proszę mi wybaczyć, ale... tak naprawdę nie wiadomo, co tam znajdziemy i...

- Człowieku, wiem o tym, u diabła. Nie jestem głupcem. Po prostu mi powiedz, gdzie oni są.

Michał odłożył słuchawkę i spojrzał na Annę. Patrzyła na niego z takim lękiem, że zachciało mu się płakać. Szybko do niej podszedł, przytulił do siebie i szepnął do ucha:

- Idę ich znaleźć. Teraz. Idziesz ze mną?

- Nie, nie mogę. Nie mogę, Michale. Ty idź. No idź, szybko. Czuję się dobrze. Powiedz im, żeby po mnie przyszli. A teraz zostaw mnie tutaj i idź. Proszę. Chcę, żebyś poszedł.

Rozdział 20

Pani Palmer przyglądała się, jak przy stoliku obok dwoje dzieci pije coca-cole, i prawie czuła, jak z każdym łykiem psują się ich zęby. Miała zamiar zapytać Harriet, jak często piją takie kolorowe, słodkie napoje i co u licha jest złego w szklance wody lub mleka. Powstrzymała się jednak, przypomniawszy sobie, jak ostatnio uraziła pewną starą znajomą, dając jej poradę na temat wychowania wnuczki. W dzisiejszych czasach dzieciom pozwala się na wszystko. Robią to, na co mają ochotę; gdyby miała na to jakiś wpływ, ubrałaby tę dwójkę ładnie, posadziła prosto na krzesłach i dała do jedzenia jabłka albo herbatniki. Nie to, co teraz: podpieranie się na łokciach na całym stole i jedzenie czekoladowych batonów. Ale nie miała zamiaru się wtrącać. Wielu przedstawicieli pokolenia Harriet nieraz dało jej do zrozumienia, że rady nie zawsze są mile widziane. Wahala się także, czy zapytać wprost o samopoczucie Harriet; powstrzymała się od rozpoczęcia rozmowy na temat rodziny, pamiętając mgliście, że Julia wspomniała coś o rozwodzie Harriet. Łatwość, z jaką pary obecnie się rozchodzą, schodzą i znowu dzielą, była kolejnym zjawiskiem, którego nie mogła pojąć i które ją przerażało. Brakowało tematu, który można byłoby poruszyć bez obawy o kontrowersyjność, a podejmując dyskusję, nie mogła się powstrzymać od wygłaszania swoich poglądów, które były stanowcze i bezkompromisowe. Za jej czasów nikt by tego nie zniósł. Nie tylko przez wzgląd na dzieci, ale i przez lojalność, którą bardzo ceniono. I chociaż tylko kilka znajomych jej par

można było nazwać udanymi małżeństwami, nie był to dla nikogo powód, aby się zaraz rozwodzić. Kiedy była młoda, rozwiedzione pary obgadywano za ich plecami i uważano za coś szokującego. Co się zaś tyczy sposobu, w jaki dzisiaj dyskutowano o tych sprawach, to nadal ją zdumiewał, choć z drugiej strony jakaś jej część zazdrościła takiej otwartości. Czasami czuła się tak, jakby jej obolała dusza tylko czekała na okazję i życzliwe ucho, które chciałoby jej wysłuchać...

- Jak się ma Julia? - zapytała Harriet, mieszając posypane czekoladą cappuccino. - Od jakiegoś czasu nie mam od niej żadnych wieści - wiem, że jeszcze przed poronieniem miała jakieś kłopoty. Czy daje sobie radę? - Dziękuję, że pytasz, Harriet. Tak, dobrze. Jest bardzo praktyczna, co jak wiesz, stanowi podstawę udanej rodziny. Jestem pewna, że zniosła to wszystko bardzo dobrze. Ja także straciłam dziecko, jeszcze przed Julią. Ale w dzisiejszych czasach robi się wokół tego za dużo szumu, tyle jest teraz tych poradni i innych bzdur, a tu po prostu trzeba się trzymać razem i żyć dalej, prawda?

- Oczywiście.

Zapadła dziwna cisza. Dlaczego Harriet czuła, że starsza pani chce jej powiedzieć coś więcej? Wydawała się niezdecydowana. Marszczyła brwi nad kawą, jakby próbowała coś rozstrzygnąć. Nagle podniosła głowę i spojrzała Harriet prosto w oczy.

- Nie mam pojęcia - powiedziała żywo.

- Słucham?

- Nie mam pojęcia, jak ona się czuje. Tak naprawdę myślałam, że to ty ostatnio częściej się z nią widywałaś. Obawiam się, że nie chce ze mną rozmawiać. Nie rozumiem tego. Michał powiedział mi o dziecku - mam na myśli poronienie. To miło z jego strony. Próbowałam do niej kilka razy zadzwonić, ale zawsze się coś działo. Albo odpoczywała, albo -och, sama nie wiem. Nie chciała ze mną rozmawiać. O to chodziło.

Kiedy starsza pani mówiła, Harriet przyglądała się jej twarzy. Policzki trzęsły się lekko, skóra wokół ust wyglądała jak stary aksamit, a niestaranie nałożona szminka roz-

mazała się w nieokreślony sposób i w kącikach warg zmieszała się z kawą z mlekiem. Ciężki, różowy fluid nie zdołał ukryć starczych plam, a drobinki pudru osadziły się na włoskach nad górną wargą i na szyi. Harriet przesunęła się na krzesło, aby własnym ciałem osłonić twarz towarzyszki przed bezwzględnością ostrego światła, wpadającego przez okno.

- No cóż, ostatnio miała trudne chwile, nieprawdaż? Nie tylko ostatnio, właściwie było to parę lat. Nic dziwnego, że...

- Jesteś bardzo miła, Harriet, ale obawiam się, że tutaj szło o coś więcej. - Pani Palmer urwała i przez chwilę patrzyła przez okno. - Widzisz, myślę, że ją zawiodłam. Chciałam dla niej jak najlepiej, ale stało się coś bardzo złego. Kochana, tak mi przykro, wybac mi. To takie kłopotliwe...

- Nie, nie, wcale - zaprzeczyła Harriet. - Wcale. Czasami dobrze jest się wygadać. Niech pani patrzy - mam dzieci. Wiem, jakie to trudne - całe to wychowanie. Czytałam na ten temat wszystkie możliwe artykuły; jak je stymulować i tak dalej. Ale kiedy... - urwała i zerknęła na Jessicę i Adama, ale byli zbyt pochłonięci komiksami, aby podsłuchiwać. - Ale kiedy już je masz, zaczynasz rozumieć, że wszystko, co można zrobić, to starać się, aby przeszły przez życie bez szwanku. Zawsze wyobrażałam sobie siebie jako matkę ziemię - wie pani, luźne swetry, robione na drutach i wstążka we włosach. Dzieci na rękach. Drewniane zabawki i gry, żadnych słodyczy, pełnoziarnisty chleb domowej roboty - i tak dalej. Ale kiedy urodziła się Jessica i przyniosłam ją ze szpitala, aby ją karmić, przewijać i uspokajać, musiałam przerwać pracę. Wtedy samo ubranie się rano było sukcesem. Nikt nas nie uprzedził, co? Przynajmniej nie o tym. I tak to właśnie jest.

- No cóż, ja oczywiście miałam pomoc. Wtedy wszystkie miałyśmy. Wtedy było łatwiej, sama nie wiem dlaczego. Niania pakowała Julię do wózka i szła do ogrodu, gdzie większość dnia dziecko spało. Ale nie o to mi chodziło, tylko o późniejsze czasy. Kiedy była młodą dziewczyną. Wszystko się utrudniło. Chciałam tylko, aby była ładna.

Tak bardzo pragnęłam, aby była ładna, i chciałam jej w tym pomóc. Kiedy jest się młodym, tak łatwo przybrać na wadze; sama musiałam walczyć ze swoją. Myślałam, że tak dla niej będzie lepiej. A teraz ona mówi, że powinnam czuć się winna za jej problemy... no wiesz, te...

- Tak, tak, pamiętam. Już w szkole wiedziałam, że za bardzo schudła.

- Wszystko jedno, teraz tego żałuję. To takie proste, kiedy się spogląda wstecz. A ona nawet nie chce ze mną rozmawiać. Tuż przed świętami miałyśmy u Harrodsa małą przygodę, chciałam jej kupić ciążową sukienkę, i od tamtej pory nie odezwała się do mnie słowem. Kiedy dzwonię, Michał jest zawsze taki słodki; tłumaczy ją. Że jest właśnie w wannie, na zakupach albo gotuje. Ale ona nigdy nie oddzwania. Wiem. Wiem, o co chodzi.

- Mnie także unika. Nie może się pani winić, nie wolno. Jestem pewna, że wkrótce wszystko będzie po staremu. Potrzeba tylko trochę czasu. Wie pani, że ona chce znowu spróbować? Mówił pani Michał?

- Myślisz, że jest już za późno?

- Jak to? Żeby zajść w ciążę? O nie, jestem pewna...

- Nie chodzi mi o to, czy nie jest za późno dla mnie? Pani Palmer nachyliła się do przodu i Harriet poczuła słodki zapach perfum, zmieszany z aromatem kawy.

- Chcę jej jakoś pomóc. O Boże! Co mi się stało? Nigdy nie mówię w taki sposób, Harriet. Co sobie musisz myśleć...

- Wszystko w porządku. Naprawdę. Proszę mówić dalej. - Będę bliżej niej. Ona jest wszystkim, co mam; moja droga, czy to nie brzmi jak z jakiejś książki? Ale naprawdę. Odkąd umarł jej ojciec. Tak bardzo ją kocham. Zawsze kochałam. Ale nie potrafiłam jej tego okazać. Problem polegał na tym, że za moich czasów nie pokazywaliśmy swoich prawdziwych uczuć. Może to brzmi jak frazes, ale to prawda. Tak naprawdę nikt mnie nie zachęcał, aby to robić. Myślisz, że teraz jest za późno?

- Nie. Nie myślę. Jestem pewna, że nie. Dzieci patrzyły z zainteresowaniem na starszą panią, która siedziała z ich matką. Płakała.

* * *

- Andy! Andy, kochanie!

Andrea nie przerwała czytania „Marie Claire”. Leżała na łóżku z magazynem na brzuchu i lampką białego wina w ręce. Wyglądała na zadowoloną z siebie. Nadal wyśmiewała się z porażki Antoniego w związku ze sprawą Evansow, a ponieważ była przekonana o jego całkowitej niewinności, wykorzystywała w tej sytuacji swoją przewagę. W zależności od nastroju albo mu wybaczła, albo karała. Kontrast pomiędzy ciepłem a wrogością był dla niego dru-zgoczący, a ona z przyjemnością myślała o tym, jak to gorąco i chłód jej uczuć stopniowo, ale nieuchronnie doprowadzają go do uległości. Dał się złapać jak ryba na haczyk. Niepostrzeżenie wchodziła mu na głowę. Moment wyczerpania był coraz bliżej.

Wpadł do sypialni.

- Dlaczego mi nie odpowiadasz?!

- Och, przepraszam - powiedziała. - Zamyśliłam się. Co się stało?

- Dobre wieści. Naprawdę myślę, że ta przeklęta baba wyniosła się z mojego życia, kochanie. Nie wiem, co się stało, ale Hewlett znowu jest taki, jak dawniej. A w „Lancecie” wydrukują mój artykuł - mówiłem ci.

- To dobrze.

Wpatrywała się w otwarte czasopismo i artykuł na temat liposukcji.

Ciekawe, czy byłby to dobry sposób na wałeczki tłuszczu, które właśnie zaczęły się pojawiać w górze

jej ud.

- Andy?

- Hmm?

- Kocham cię, najdroższa.

Odpowiedziała mu cudownie zagadkowym milczeniem, rozważając jednocześnie, jak tym razem zagrać.

* * *

- Proszę usiąść, panie Evans.

Profesor Hewlett wskazał mu miejsce po przeciwnej stronie biurka.

Michałowi nagle wydało się, że minęło zaledwie kilka dni, odkąd usiadł na tym samym, dębowym

krześle i z cichą nadzieją wysłuchiwał sprawozdania o możliwościach owocnego leczenia, jakie roztoczył przed nim doktor. Tyle się od tego czasu wydarzyło. W postawie profesora wyczuwał odbicie trudnej sytuacji, która w pewnym sensie dotyczyła ich obydwu, ale było też coś, czego wcześniej nie zauważył. Coś nowego, czego nie można było zignorować.

- Czym mogę służyć? Jak się państwo czujecie?

Chłód jego pytania zdziwił Michała. Zdawał sobie sprawę, że krótkotrwała obsesja Julii przysporzyła klinice kłopotów i zamieszania, ale wiedział skądinąd, że profesor przywykł do histerycznych pacjentek i nie miał powodu, aby do ostatniej z nich żywić szczególną urazę.

- Dziękuję, dobrze. Chciałbym poprosić pana o radę. Moja żona nie wie, że tu przyszedłem, ale chciałbym zamienić z panem słówko, zanim cokolwiek zaczniemy robić.

- Jeśli będę w stanie panu pomóc... Proszę mówić.

Michał poczuł się tak, jakby znów był w szkole i odpowiadał przed nauczycielem. Ciszę pokoju zakłócało jedynie tykanie zegarka, które w czasach elektroniki i baterii wydawało się czymś nader rzadkim. Było bezpiecznie i jednocześnie jakby trochę strasznie. Profesor wpatrywał się w Michała nie dobrotliwie, ale raczej oskarżycielsko. Przy jego czarnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i srebrzystym krawacie gość czuł się nieco nędznie.

- Moja żona bardzo pragnęłaby spróbować jeszcze raz. Zaległa cisza. Profesor patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami, jakby nie zrozumiał, o co chodzi.

- Wie pan, chodzi mi o dziecko. Zdałem sobie sprawę, że teraz...

- Pan wybaczy, ale nie rozumiem. Mówi pan o ponownym podjęciu programu zapłodnienia in vitro?

- Tak.

Znowu nastąpiło milczenie, tym razem dłuższe. Michał zaczął się czuć niezręcznie, jakby sugerował coś tak niezwykłego, co w najlepszym razie trudno było zrozumieć, a w najgorszym - było szokująco niestosowne.

- Myślałem, że państwo zdajecie sobie sprawę, iż ta

kwestia nie podlega żadnej dyskusji. Jestem zdziwiony, że...

- Nie, nie o tym mówię. Orientuję się, rzecz jasna, że psychiczny stan mojej żony był przyczyną wielu problemów w klinice. Nie sugeruję, aby wróciła tutaj. Naturalnie, że nie. Sam bym sobie tego nie życzył. Po prostu pomyślałem sobie, że może mógłby pan *polecić* jakąś inną klinikę albo szpital. I wysłać tam jej papiery. Czuję, że ona...

- Pan wybaczy, panie Evans. Jestem zdziwiony, że mnie pan o to prosi. W przypadku pani Evans nie mogę brać pod uwagę kolejnego programu zapłodnienia in vitro. Myślałem, że to oczywiste.

- No cóż - próbował nadrabiać miną Michał, czując się coraz bardziej niezręcznie. - Muszę przyznać, że jestem nieco zmieszany. Wiedziałem, że nie będzie jej pan tutaj chciał, ale dziwi mnie pańska odmowa. Trochę dziwna postawa.

-A jakiej postawy pan ode mnie oczekiwał? W takich okolicznościach?

- Przypuszczam, że musiał pan mieć co najmniej kilka pacjentek z podobnymi, jak to nazywacie, zaburzeniami. Ale właściwie one nic nie zmieniły, czyż nie? Jestem pewien, że w trakcie trwania ciąży ona wróci do normy i zapomni o wszystkim. Tragedia ta...

Profesor Hewlett nachylił się tak gwałtownie, że Michał przerwał w pół zdania.

Doktor miał zmarszczone brwi i wyglądał na zakłopotanego. Jakby się przesłyszał i próbował rozszyfrować, co siedzący przed nim mężczyzna chce powiedzieć. Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwionego zrozumienia. Opadł na oparcie krzesła i głośno wypuścił powietrze.

- Proszę pana. Jest mi strasznie przykro. Boję się, że byłem w wielkim błędzie. Myślałem, że pan wie.

- Ze wiem co? - Michał poczuł, jak od domysłów cierpie mu skóra, a strach z wolna ogarnia całe jego ciało.

- Powiedziała nam, że zdecydowaliście razem. Może byłem głupcem, że jej uwierzyłem. Łatwo być mądrym po fakcie. Tak mi przykro.

- Co wiedziałem? Co?

- Pańska żona przyszła tutaj i poprosiła o zabieg.

Przez chwilę do Michała nie dotarła treść słów profesora. Błysk zrozumienia zatrzęsł nim jak huragan i zranił tak okrutnie, że z bólu chciało mu się wyć.

- Ja nic nie rozumiem. Ja...

Zamarł. Było jasne, że rozumie aż zanadto dobrze. Jego synek, ukochany synek. Nie żaden wypadek ani zrządzenie losu. Śmierć jego dziecka została zaplanowana. Była zamierzona i celowa.

- Przyszła do nas i poprosiła o przerwanie ciąży. Powiedziała, że omawialiście to wielokrotnie i że obydwoje nie jesteście przygotowani, aby ona urodziła dziecko. Jak pan się domyśla, wśród personelu wywołało to niemałe oburzenie. Statystyki udanych zapłodnień in vitro są wciąż o wiele niższe, niżbym sobie życzył, a olbrzymia ilość czasu i wysiłku, jakie za sobą niosą, że nie wspomnę o stronie finansowej, która dotyczy was, emocjonalnego wysiłku wszystkich, którzy są włączeni w tę procedurę, jest nieporównywalnie wielka. Muszę przyznać, że w całej karierze zawodowej coś takiego zdarza mi się po raz pierwszy. Osobiście uważam to za niezwykle przykre.

Michał był wciąż zbyt wstrząśnięty, aby mówić. Oparł się o krzesło. Był chory i przerażony. Nie chciał słyszeć nic więcej, a jednocześnie rozpaczliwie pragnął poznać szczegóły. Wbrew wszelkiej logice wciąż miał nadzieję, że to jakaś pomyłka, że mówią o innej kobiecie albo że coś źle zrozumiał.

Profesor Hewlett ciągnął:

- Rozmawiałem z nią bardzo długo. Robiłem wszystko, aby ją odwieść od tej decyzji. Była nieprzejednana. Stwierdziłem, że jej stan psychiczny jest całkiem stabilny, zadzwoniłem też do jej psychiatry, którego pan oczywiście zna - profesora Fielda. Bez jej zgody nie mogłem mu wyjaśnić, w jakiej sprawie się z nim konsultuję. Zapewnił mnie jednak, że mimo kontynuowanego leczenia jej stan jest na tyle dobry, iż może samodzielnie podejmować racjonalne decyzje, oczywiście te nie związane z jej urojeniem. Powiedziałem jej, że nie może tego zrobić tutaj, w naszej klinice. Nie widziałem jej od tamtego czasu, ale od jednego z lekarzy wiem, że istotnie kogoś znalazła. Mam tutaj tyle zde-

sperowanych kobiet, proszę pana, tak wiele nieznośnie smutnych historii tęsknoty i żalu. Jestem pewien, że rozumie pan, co czuję. Nie jestem w stanie polecić panu żadnej kliniki, prowadzącej program zapłodnienia in vitro. Nie mógłbym z pełnym przekonaniem zapewnić ich, że ona znowu nie zmieni zdania. Ale jeszcze bardziej mi przykro, że pan nie wiedział, dlaczego pańska żona straciła dziecko.

W Michale wzebrał tak straszny gniew, że zaczął się nim dławić.

* * *

Pigułki powoli wędrowały przełykiem Julii. Napotkawszy w połowie drogi wyschnięte ścianki błony śluzowej na skutek rozpuszczenia się substancji, która je powlekała, zaczęły się do niej przyklejać. Zator rósł, jako że z góry nadchodziło coraz więcej pastylek, które Julia wtłaczała sobie do ust. Do buntu przeciwko intruzom dołączył żołądek, który zaczął protestować, usiłując się pozbyć nie chcianych gości. Intensywne skurcze mięśni rozpoczęły zgniatanie zawartości przełyku, a to z kolei spowodowało, że żołądek zaczął wyrzucać treść na zewnątrz. Po kilkudniowej głodówce nie było jej wiele, ale widocznie dostatecznie dużo. Śluz, soki żołądkowe i flegma mieszały się ze spływającymi w dół pigułkami. Wymiotowała.

Do tej pory świadome postanowienie skończenia ze sobą nie było wystarczająco skuteczne, i być może nadal by nie było. Paradoksalnie jednak to właśnie instynkt samozachowawczy stał się ostatecznym powodem, dla którego jej plan miał się wypełnić. Gdy odrażająca ciecz znalazła się w jej ustach, ciało automatycznie i rozpaczliwie zapragnęło zaczerpnąć powietrza, ale zamiast tlenu płuca wciągnęły zwróconą zawartość żołądka. Kto wie, może taka była ostatnia wola umierającej, może jej ciało przeszedł impuls z wiadomością: „Nie staraj się za wszelką cenę przeżyć”. Co by nie mówić, potrzeba oddechu była z pewnością krótkotrwała i niewystarczająca. Po krótkiej chwili mózgowi zabrakło tlenu i przestał funkcjonować. Schodząc w dół agonального czarnego tunelu usłyszała wołanie Michała i jego zmarłego dziecka, z którym miała nadzieję się spotkać.

* * *

- Julio! Julio!

Znalazł ją w kuchni, gdzie robiła sobie herbatę. Widząc, jak ze zdziwieniem na niego patrzy, znów zaczął się zastanawiać, czy nie padł ofiarą jakiejś strasznej pomyłki. Czy ta kobieta, spokojnie wkładająca do kubka torebkę herbaty, naprawdę mogła zaplanować śmierć ich dziecka? Ta kobieta, która wraz z nim dołożyła tylu starań i zniosła tak wiele, aby zająć w ciążę, której od dawna pragnęli? Przez wszystkie przerażające tygodnie jej obsesji na punkcie Antoniego Northfielda cały czas widział w niej dawną Julię -pomimo wszystkich zmian, jakie w niej zaszły. Ale teraz, kiedy zdał sobie sprawę, jak daleko posunęła się w swoich kłamstwach, odebrało mu mowę. Tyle lat miłości, przywiązania, sprzeczek i wspólnych radości było niczym. Osoba, która mogła mu to zrobić - bez jego zgody, a nawet świadomości - nie była kobietą, którą znał. Z trudem się powstrzymał, aby jej nie chwycić i nie strząsnąć z niej tego samozadowolenia.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Jak to?

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że przerwałaś ciążę?

- Nie mówiłam, że nie. To ty wywnioskowałeś, że poroniłam. Wydawało mi się, że lepiej będzie tak to zostawić.

- Ale byłaś taka zdenerwowana! Pamiętasz - byłaś tak strasznie zdenerwowana. Jak mogłaś...

- Tak, byłam zdenerwowana. Zapewniam cię, że to nie było przyjemne. W dodatku od razu, kiedy to zrobiłam, zrozumiałam, że popełniłam błąd.

- W takim razie dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?! Jak mogłaś, Julio? Jak mogłaś to zrobić? Po tym wszystkim - nie rozumiem.

Myślałem, że pragniesz tego dziecka tak samo jak ja!

- Antoni nie chciał dziecka. Zapadła grobowa cisza.

- Ale nie miałam racji. Zdałam sobie z tego sprawę natychmiast po tym, jak to zrobiłam. To nie dziecko było problemem. Pomyliłam się. To ty. Dlatego chcę jeszcze raz zająć w ciążę. Zanim będzie za późno.

Michał wiedział, że powinno mu być jej żal, że powinien być wyrozumiały. Była chora. Nie mogła nic na to poradzić. Ale w tym momencie czuł coś, czego nigdy by nie podejrzewał. Nienawidził jej z całego serca i duszy.

Spojrzał na nią chłodno i cicho powiedział:

- Wiesz dobrze, że nie zgodzą się na kolejne leczenie. Po tym, co zrobiłaś. Nie mamy co marzyć. Mogłaś zrujnować mi życie, wykończyć syna, ale więcej ci na to nie pozwolą.

Po kilku sekundach Julia wolno odstawiła kubek. Wyszła z kuchni i wzięwszy z przedpokoju torbę i płaszcz, spokojnie wyszła z domu, cicho zamykając za sobą drzwi.

Michał więcej jej nie zobaczył.

* * *

Kiedy Michał przybył na miejsce, przed domem na Streatham stała już karetka i dwa policyjne samochody. Funkcjonariusz poprowadził go schodami na pierwsze piętro, do obskurnego pokoju, gdzie, mimo dużej liczby ludzi, natychmiast odnalazł wzrokiem postać, leżącą na ziemi. Dwóch mężczyzn w zielonych kitlach siedziało w kucki obok niej, a nad nimi stał wysoki człowiek w przeciwdeszczowym płaszczu. Rozmawiali przyciszonymi głosami, ale kiedy Michał do nich podszedł, szybko przestali.

- Proszę pana, tak mi przykro. Boję się, że mam dla pana złą wiadomość.

- Tak... tak, wiem.

Skąd wiedział, że nie żyła? Słyszał, że umarli ludzie wyglądają po prostu tak, jakby spali - ale z Julią tak nie było. Kiedy uklęknął przy niej, miał pewność, że odeszła - nie umarła, a właśnie odeszła. Że osoby zwanej Julią już nie ma.

Nigdy nie był religijny; Bóg istniał tylko w bajkach i legendach z zamierzchłych czasów - wydawało mu się oczywiste, że wobec straszliwego cierpienia świata, który stworzył, Bóg jest albo bezsilny, albo też całkowicie obojętny. Sam pomyślał, aby się modlić, zawsze uważał za śmieszny, ale gdy wziął w ramiona wychudłe ciało Julii, utulił jej głowę, coś w jego wnętrzu zaczęło krzyczeć przeciw okrucieństwu tego wszystkiego. Oparł głowę na jej czole i cicho zapłakał.

Detektyw położył mu delikatnie dłoń na barku i współczująco go uściskał. Kiedy Michał podniósł głowę, by na niego spojrzeć, zauważył, że tuż obok panuje straszne zamieszanie. Grupka lekarzy w zielonych fartuchach zebrała się wokół czegoś, co leżało na podłodze.

- Czy to...

- Robią, co mogą. Obawiam się, że z dzieckiem jest bardzo kiepsko.

- Ale żyje?

- Tak, proszę pana. Z tego, co widzę, nadal żyje. Michał jeszcze mocniej uściskał ciało Julii. Zanurzył

twarz w jej włosach i z bólu zacisnął zęby.

- Dobry Boże, spraw, aby dziecko przeżyło. Ona chciała tylko być matką, ty niegodziwcze - szepnął do jej zimnego, niesłyszającego ucha i do Boga, który nie istniał. - Nie była złą kobietą. Proszę cię, Panie, nie pozwól, aby zmarnowało się jeszcze jedno maleńkie istnienie; nie pozwól, aby ona go zabiła. Ona kochała to dziecko. Wiem, że musiała je kochać. Dobry Boże, spraw, aby przeżyło.

- Musimy ją teraz stąd zabrać, proszę pana. Proszę mi wybaczyć, ale musi się pan odsunąć, abyśmy mogli...

- Nie. Jeszcze chwilę. Jeszcze tylko chwilę.

Michał trzymał żonę w ciszy, z głową tuż przy jej szyi. Po chwili odsunął ją od siebie i popatrzył na jej twarz.

- Proszę się nie martwić, zobaczy ją pan jeszcze, jeśli pan chce. Aby się pożegnać na osobności.

- Dziękuję.

Michał położył ciało bardzo, bardzo delikatnie na podłodze, wstał i pozwolił podejść do niej dwóm mężczyznom. Ostrożnie podnieśli Julię, ułożyli na brezentowych noszach i wynieśli z pokoju. Patrzył za odchodzącą, małą procesją, która zniknęła w cieniu klatki schodowej, a potem spojrzął tam, gdzie leżało dziecko. Otaczała je gromada sanitariuszy. Kiedy chodzili tam i z powrotem, mignęły mu rurki, wskaźniki, guma i stal.

Nagle, pomiędzy wszystkimi urządzeniami, w przelocie ujrzał coś delikatnego i tak ludzkiego: maleńką, bladą twarzyczkę, zamknięte oczy, nosek i usta zasłonięte przezroczystym plastikiem maski tlenowej. Michał patrzył jak spara-

lizowany. W pokoju, który przepelniała śmierć, małe, wychudzone ciało zawzięcie walczyło o przeżycie. Starał się mu pomóc całą siłą woli. Wydawało się, że minęły godziny; nadśluchiwał. Jedyne odgłosy skupionych zmaganiań oraz sporadyczne, półgłosem rzucane polecenia pochodziły od mężczyzn, otaczających Harry'ego.

Wzdrynął się na widok nagłego poruszenia lekarzy. Częściowo uniósł się z klęzek. Ciało miał napięte, a wszystkie zmysły skierowane na to, co miało nadejść.

- Mamy go - powiedział cicho jeden z mężczyzn. A po kilku sekundach odpowiedź:

- W porządku, zabieramy go.

Wstali i powoli, z uwagą unieśli drobnutkie ciało, nadal podłączone do całej aparatury. Gdy ostrożnie podchodzili do drzwi, Michał podbiegł do detektywa i złapał go za ramię.

- Proszę pozwolić mi pójść z dzieckiem - poprosił. - Proszę pozwolić mi z nim pójść. Chciałbym to dla niej zrobić. Nie mogę pozwolić, aby umarł. Ona tego nie chciała, wiem, że nie chciała.

- Czemu nie, proszę pana. Ale proszę się pośpieszyć. Michał wsiadł do karetki. Napięty do granic patrzył, jak mały Harry walczy ze śmiercią. Był ciągle w szoku z powodu śmierci żony i czuł, że jeśli na jego oczach umrze i dziecko, nie będzie w stanie tego znieść, a serce pęknie mu z rozpacz. W jakiś sposób jego obecność, energia, myśli i nadzieja stały się integralną częścią siły życiowej Harry'ego. Jak gdyby siłą woli powstrzymywał to maleńkie istnienie od pogrążenia się w ciemnościach śmierci, a brak skupienia, choćby przez ułamek sekundy, spowodowałby klęskę.

Gdy dojechali do szpitala, był wykończony. Samochód zatrzymał się przed wyjściem, a jeden z mężczyzn ze współczuciem poklepał go po ramieniu.

- W porządku, proszę pana. Wszystko będzie dobrze. Utrzymaliśmy go przy życiu. Niech się pan nie martwi, przeszedł pan poważny szok. Proszę spróbować się odprężyć.

Michał wysiadł z karetki i udał się za małymi noszami korytarzem w kierunku Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej. Zatrzymał go czyjś nagły krzyk. Jakby na zwolnionym obrazku ujrzał bladą dziewczynę z czarnymi włosami, która biegła do nich z rozpostartymi rękami.

- Harry! Och, mój Harry! Żyje! Moje dziecko żyje! Michał omal nie skręcił się z bólu, jaki poczuł w klatce

piersiowej. Nie wiedział, czy to, co odczuwa, jest tak straszną radością, czy błogim bólem; zupełnie jakby wsadził rękę we wrzątek i nie potrafił powiedzieć, czy przypadkiem nie zamarzła. Patrzył, jak Anna podbiega do noszy i stara się nadgonić szybki krok niosących ich mężczyzn, a na jej twarzy maluje się taka ulga, miłość i szczęście, że na ten widok chciało mu się krzyczeć z radości. Stał, ciągle patrząc jak zahipnotyzowany, po czym opadł na jedno z krzesel, które stały wzdłuż ściany. Ukrył twarz w dłoniach. Przechodząca pielęgniarka zatrzymała się, podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Dobrze się pan czuje? Może mogę w czymś pomóc?

- Tak, dobrze - westchnął Michał, opierając głowę o ścianę i próbując złapać oddech. - Tak, dziękuję, dobrze.

- Przyjechał pan z dzieckiem, tak? Czy mam panu pokazać, gdzie oni są?

- Nie, nie, dziękuję. Teraz potrzebują siebie nawzajem. A ja muszę iść. Muszę iść do żony.

- Ach tak, rozumiem. W takim razie w porządku. - Pielęgniarka wyglądała na trochę zakłopotaną, ale kiedy wstał, uśmiechnęła się. - Skoro naprawdę dobrze się pan czuje.

- Ale siostró...

- Tak?

Michał stał i patrzył na nią. Miał zalaną łzami, zmęczoną twarz, ale w oczach zalśniła mu niewielka iskierka nadziei.

- Czy mogłaby siostra przekazać wiadomość tej młodej kobiecie, matce dziecka? Wiadomość ode mnie?

- Tak, oczywiście. Jaka?

- Proszę jej powiedzieć, że po nią przyjdę. Pozdrowienia

dla niej i Harry'ego. I ze...prosze powiedziec....ze wroce.